CENA Zł 40

NAUKA I SZTUKA

MIESIĘCZNIK

ROK I LISTOPAD — GRUDZIEŃ 1945 Nr 2/3

Zawiera:

WARSZAWA — KRAKÓW — JELENIA GÓRA

Cena zeszytu . . . . zł. 40.—
Prenumerata kwartalna . . . . zł. 120.—

Konto PKO Kraków IV—224
Warszawa I—926
Jelenia Góra — Narodowy Bank Polski

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Wydawców i autorów uprasza się o nadsyłanie nowości do recenzji w dwu egzemplarzach.

Artykuły do druku muszą być pisane na maszynie, względnie zostaną przepisane na koszt autora.

Cena ogłoszeń: Od 1 wiersza wys. 1 mm szerokości szpalty petitowej złotych 20.

Skład główny w księgarniach „Czytelnika".

NAUKA I SZTUKA

MIESIĘCZNIK

TOM I

PAŹDZIERNIK—LISTOPAD—GRUDZIEŃ
1 9 4 5

WARSZAWA—KRAKÓW—JELENIA GÓRA

Wydano z zasiłku Ministerstwa Kultury i Sztuki
oraz Ministerstwa Oświaty

Wydawca: zespół „Nauka i Sztuka"
Redaktorzy: Julian Krzyżanowski i Stefan Kuczyński
Redakcja: Warszawa, Krak. Przedmieście 26, Uniwersytet
Wydawnictwo: Jelenia Góra, Norwida 9

Zakłady Graficzne W. I. N. W. — Oddział w Jeleniej Górze

Czesław Białobrzeski

CZYM JEST MATERIA?

I.

Dzieli nas dokładnie 50 lat od roku 1895, który oznacza moment przełomowy w dziejach fizyki. W owym czasie odkrycie przez Röntgena promieni nazwanych jego imieniem, inaczej także nazywanych promieniami X, dało początek lawinie odkryć, która dotychczas jest daleka od wyczerpania. Już w roku następnym Becquerel odkrył własności promieniotwórcze uranu: to odkrycie miało konsekwencje szczególnie doniosłe, jak zobaczymy w dalszym ciągu.

A zatem rok 1945, pamiętny w dziejach ludzkości jako rok zakończenia drugiej wojny światowej, jest zarazem rokiem jubileuszowym w nauce o przyrodzie. To skłania nas do rzutu oka wstecz na ów okres półwiekowy i zdania sobie sprawy z tego, co w nim zostało dokonane. Wiadomo w szerokich kołach publiczności, że nastąpiły głębokie przeobrażenia w naszych poglądach na materię. Wydać by się mogło, że odpowiedź na pytanie postawione w tytule niniejszego artykułu nie nastręcza obecnie trudności. Otóż w rzeczywistości sprawa ma się inaczej.

Sprawdza się wyprowadzona od dawna z historii nauki konkluzja, którą obrazowo ująć można w sposób następujący: Wiedza nasza jest podobna do wyspy koralowej na oceanie Nieznanego; wyspa rośnie szybko dzięki wytrwałej pracy polipów-uczonych, ale zarazem wciąż wydłuża się brzeg, poza którym roztacza się Nieznane i jego bezmiar wydaje się jeszcze większym.

Przed półwiekiem uważano w szerokich kołach przyrodników zagadkę materii za rozwiązaną w głównych zarysach. Takie zdanie wypowiedział, między innymi, szczególnie dobitnie Berthelot, słynny chemik i zarazem działacz polityczny. Wówczas w chemii poznano wszystkie pierwiastki, z których są zbudowane ciała przyrody.

Według teorii atomistycznej każdy pierwiastek taki jak wodór, tlen, żelazo, rtęć itp. jest skupieniem cząstek niepodzielnych zwanych atomami. Ilość pierwiastków wynosi 92, a więc

tyleż — jak mniemano — mamy różniących się między sobą atomów. Pierwiastki zostały przez Mendelejewa uszeregowane wedle wzrastających ciężarów atomowych, od wodoru na 1-szym miejscu do uranu na miejscu ostatnim — 92-gim, przy czym wystąpiła na jaw periodyczność własności atomów. Gmach chemii był, zdawało się, bliski wykończenia.

W fizyce podstawą tłumaczenia zjawisk przyrody były prawa ruchu Newtona wyłożone w jego wiekopomnym dziele „Philosophiae naturalis Principia mathematica" (r. 1687); uważano je za niewzruszone i ostateczne.

W połowie XIX-go wieku dodano do nich dwa ogólne prawa obowiązujące w całej przyrodzie: prawo zachowania energii i drugie prawo nauki o cieple, czyli prawo wzrostu entropii, które stawia granice możliwościom zamiany energii cieplnej na inne rodzaje energii. A więc fizycy przeważnie także hołdowali przekonaniu, że najważniejsze tajemnice przyrody są już odgadnięte. Prelegent, który by w owym czasie wystąpił z odczytem na temat „Czym jest materia?", opisałby rozmaite rodzaje materii oraz prawa w niej panujące i mógłby na zakończenie powiedzieć: „oto czym jest materia, zgodnie z nauką współczesną".

W ciągu lat pięćdziesięciu nastąpiło nieoczekiwane nagromadzenie zdumiewających odkryć, w których wystąpiły na jaw całkiem nowe własności materii niweczące ustalone poprzednio pojęcia naukowe.

W rezultacie sytuacja zmieniła się tak, że wypada mi lojalnie uprzedzić czytelników, że ściśle rzecz biorąc nie wiem, czym jest materia.

Mimo to nie ulega zaprzeczeniu fakt, że nasza wiedza o materii wzrosła niepomiernie. Moim zadaniem jest naszkicowanie najważniejszych etapów i wyników tego procesu twórczości naukowej, pozostawiając samemu czytelnikowi swobodę sformułowania odpowiedzi na zajmujące nas pytanie, biorąc za podstawę materiał, który mu będzie tu przedstawiony.

W nauce panuje pogląd atomistyczny na budowę materii. Sięgnijmy na chwilę do historii, ażeby poznać początki tej doktryny. Napotykamy tu zaraz na wstępie, jak w innych wyższych przejawach działalności kulturalnej, cud grecki. Ludzie w toku rozwoju cywilizacji zdobyli od dawna liczne wiadomości o przyrodzie, ale były one związane z interesami praktycznymi życia potocznego albo z interesami religijnymi, mającymi na celu zyskanie opieki boskich potęg. Pierwsi

Grecy rozpoczęli szukać i zdobywać wiedzę bezinteresownie, dla niej samej. Warto, celem poznania dróg, często zawiłych, myśli ludzkiej, zobaczyć, jakie motywy doprowadziły Greków do poglądu atomistycznego.

Badania ich miały charakter filozoficzny: do Arystotelesa specjalizacja nauk prawie nie istniała.

Otóż szkoła Flejska, której głównymi przedstawicielami byli Parmenides i Zenon, zastanawiała się nad pojęciem bytu. Rozumowali oni tak: bytem jest to, co istnieje, a więc byt nie może przestać istnieć, w razie bowiem przeciwnym wpadamy w sprzeczność z pojęciem bytu jako istnienia. Każda zmiana polega na tym, że jeden byt przestaje istnieć i na jego miejscu powstaje inny byt. Stąd wynika, że zmiana zajść nie może i jest pozorem: prawdziwy byt jest niezmienny. Ale ten wniosek, logicznie nieodparty, wyłącza wszelkie stawanie się w przyrodzie, co znajduje się, oczywiście, w jaskrawej sprzeczności z doświadczeniem. Wyjście z tej trudności wskazała właśnie szkoła atomistów, której głównym przedstawicielem był Demokryt. W tym celu posługiwała się ona pojęciem próżni, która nie jest bytem. Przyroda, uczy Demokryt, jest utworzona z bytów niezmiennych, niezmiernie małych i niepodzielnych, nazwanych atomami. Atomy są rozmieszczone w próżni i znajdują się w nieustannym ruchu; ów ruch atomów ma tłumaczyć wszystkie zjawiska przyrody. Różnią się atomy tylko kształtem i wielkością. A więc niezmienność bytów rozdrobnionych na atomy została utrzymana, natomiast zjawiska sprowadziły się do ruchów atomów. Te idee odegrały rolę doniosłą w rozwoju przyrodoznawstwa. Odmienne poglądy wygłosili Platon i jego uczeń Arystoteles, najwięksi filozofowie greccy. Powiem parę słów o ideach tego ostatniego. Materia rozumiana przez niego jako nieukształtowane tworzywo rzeczy, nie jest właściwie bytem; istnieje ona potencjalnie, jako możliwość bytu i staje się bytem dopiero dzięki formie *(morphè)*, która, według Arystotelesa, nie jest tylko zewnętrznym kształtem rzeczy, lecz kształtującą je siłą, działającą z wewnętrzną celowością. W przyrodzie obserwujemy hierarchię form, wśród których niższe grają rolę materii w stosunku do form wyższych.

Łatwo spostrzec, że Demokryt za podstawę swego poglądu na świat wziął ciała nieożywione, stwarzając system materialistyczny, Arystoteles zaś — przyrodę żywą.

Nie kto inny jak Darwin uważał Arystotelesa za największego przyrodnika wszystkich czasów. Zauważymy jeszcze,

że Arystoteles negował istnienie próżni, w ostrym przeciwieństwie do atomistów. Poglądom jego hołdowały wieki średnie. Dopiero w epoce nowożytnej atomistyka znowu przyszła do głosu. Niebywały rozwój nauki w tej epoce dokonał się dzięki zastosowaniu metody, w której treści naukowej dostarczało doświadczenie, formy zaś — matematyka.

Głównym prawodawcą w fizyce był Newton, który na lat dwieście dał idee wytyczne w postaci praw ruchu, mających służyć do zrozumienia zjawisk przyrody jako ruchów ciał lub ich najdrobniejszych części. Bóg, powiedział on w swej Optyce, stworzył materię, jako zespół cząstek twardych, nieprzenikliwych i niepodzielnych: widzimy tu zgodność z atomistyką Demokryta.

Przenieśmy się teraz od razu na koniec wieku XIX-go, na przełomowy rok 1895 i rzućmy jeszcze raz okiem na sytuację ówczesną. Panowało, jak mówiliśmy, przekonanie, że podstawowe prawa przyrody nieożywionej, już zostały ustalone. A jak się rzecz miała z kwestią, czym jest atom chemiczny, w którym widziano ostateczny składnik elementarny materii? Tu ujawniał się słaby punkt nauki sprzed lat pięćdziesięciu. Lubo teoria atomistyczna stała się od początku wieku XIX-go, od czasu Daltona, podstawą chemii, jednakże chemicy nie wytworzyli właściwie żadnego pojęcia o naturze atomu.

Fizycy wprawdzie, w swych badaniach, musieli posługiwać się obrazem atomu, ale ich wyobrażenia niewiele odbiegały od poglądu Demokryta. Atom wyobrażano sobie zazwyczaj jako kulkę sprężystą, prawie sztywną, coś w rodzaju miniaturowej kuli bilardowej. Ażeby wytłumaczyć spójność ciał w stanach stałym i ciekłym, przypuszczano, że pomiędzy owymi kulkami działają siły przyciągające. Prymitywizm tego obrazu był rażący, lecz uczeni ówczesnego pokolenia przeważnie trzymali się w poglądzie na poznanie kierunku pozytywistycznego, który uważa, że nauka o przyrodzie ma na celu opis zjawisk dostępnych zmysłom i powinna unikać spekulacji o wewnętrznej istocie rzeczy, należących do dziedziny metafizyki, której pozytywizm nie uważał za naukę. Do takich spekulacji zaliczano także teorię atomistyczną, przypisując jej tylko pomocnicze znaczenie. Okres półwiekowy rozwoju fizyki, którym zajmujemy się, zaprzeczył w sposób jaskrawy słuszności tego stanowiska pozytywizmu, przynajmniej w jego skrajnej postaci.

Rozpatrzmy zatem zdobycze tej epoki mniej więcej w kolejności historycznej, ku zachowaniu której skłania fakt, że

w rozwoju historycznym wiedzy ludzkiej istnieje wewnętrzna logika. Nie będę wszakże niewolniczo przytrzymywał się kolejności w czasie.

Wskazałem, że otwiera naszą epokę odkrycie promieni X. Najpierw jednakowoż będę mówił o innym odkryciu, wcześniej przygotowanym i mającym znaczenie bardziej istotne w kwestii nas interesującej. Mam na myśli odkrycie elektronu. W połowie ubiegłego stulecia nauczono się wytwarzać, za pomocą pomp rtęciowych, daleko posuniętą próżnię. Zróbmy doświadczenie następujące: weźmy zamkniętą rurkę szklaną, z której powietrze zostało wypompowane tak, że pozostała mniej więcej stumilionowa część jego normalnej zawartości i wytwórzmy w tak rozrzedzonym gazie wyładowanie elektryczne. W tym celu do rurki są wtopione druciki platynowe, połączone z biegunami źródła elektryczności o wysokim napięciu Z; na jednym z drucików, połączonym z biegunem ujemnym jest osadzona blaszka metalowa: jest to katoda K; drucik połączony z biegunem dodatnim źródła, czyli anoda A znajduje się z boku. Zauważymy podczas wyładowania, że z katody wybiega słabo świecąca smuga, która padając na przeciwległą ściankę szklaną wywołuje żółtozielone świecenie, czyli fluorescencję szkła. Tę smugę nazwano promieniami katodowymi.

Na pytanie co do ich natury różnie odpowiadano. Wybitny uczony angielski Crookes, który wykonał z nimi wiele ciekawych doświadczeń, trafnie uważał je za rój cząstek niezmiernie subtelnych i upatrywał w nich czwarty stan materii, obok stanów stałego, ciekłego i gazowego.

Był to ten sam Crookes, który zyskał rozgłos w szerokich kołach publiczności dzięki doświadczeniom spirytystycznym z medium Florence Cook w latach 70-ch ubiegłego wieku. Gdy medium wpadało w głęboki sen (trans), pojawiała się zjawa w postaci pięknej kobiety odzianej w białe szaty, nazywającej siebie Katie King, która rozmawiała z Crookesem i zaproszonymi na seansy gośćmi, bawiła się z jego dziećmi i dawała się fotografować. W końcu każdego seansu znikała bez śladu. Śród analogicznych doświadczeń późniejszych wymienimy nader uderzające doświadczenia wykonywane w Warszawie z medium Frankiem Kluskim (Modrzewskim) oraz w Brazylii z medium Mirabellim.

Zjawisko materializacji form ludzkich niewątpliwie wprowadza do zagadnienia materii nową i zagadkową komplikację. Wielki fizyk lord Rayleigh, jeden z najtrzeźwiejszych umysłów

swego czasu, uważał badania w tym kierunku za bardziej doniosłe, aniżeli jakiekolwiek inne. Nie zapuszczając się tu jednak w rozważania na ten temat wróćmy do promieni katodowych.

W r. 1895 J. Perrin udowodnił, że te promienie niosą ujemny nabój elektryczny. Na koniec znakomity fizyk angielski J. J. Thomson wyświetlił w r. 1898 ich naturę, poddając je działaniu sił elektrycznych i magnetycznych. Pokazało się, że promienie katodowe są utworzone z jednakowych cząstek ujemnie naelektryzowanych nazwanych elektronami. Są to najmniejsze cząstki materii: masa elektronu równa się tylko 1/1840-ej części masy najlżejszego atomu chemicznego, mianowicie atomu wodoru; posiada on najmniejszy możliwy nabój elektryczności ujemnej, który nazywamy nabojem elementarnym. Wkrótce poznano rozmaite inne sposoby wydobywania się elektronów z materii. A więc żarzące się ciało, np. włókno zwykłej żarówki elektrycznej wysyła potoki elektronów. Dalej światło krótkofalowe padając na powierzchnie metali pobudza je do emisji elektronów. Zastosowaniem tego zjawiska zwanego fotoelektrycznym są fotokomórki, używane przy sporządzaniu filmów mówionych, w telewizji itd. Zaznaczę jeszcze, że w r. 1927 ustalono na podstawie motywów teoretycznych, że elektron ma nietylko nabój elektryczny, lecz jest zarazem elementarnym magnesem.

Odkrycie elektronu zrobiło pierwszy wyłom w pojęciu atomu, jako niepodzielnej cząstki materii. Nasuwało się bowiem naturalne przypuszczenie, że elektrony wchodzą w skład wszystkich atomów chemicznych, jako też, że elektryczność ujemna w przyrodzie występuje w postaci elektronów.

Mniej więcej w tym samym czasie zostały wykryte, również podczas wyładowań elektrycznych w gazach rozrzedzonych, promienie anodowe czyli dodatnie, tak nazwane, ponieważ składają się z cząstek naelektryzowanych dodatnio. Nie są to jednak elektrony dodatnie; badania bliższe wykazały, że mamy tu do czynienia z atomami albo cząsteczkami chemicznymi pozbawionymi jednego lub paru elektronów. Badania nad nimi mają znaczenie pierwszorzędne i dalej jeszcze do nich powrócimy.

Teraz powiem kilka słów o promieniach X.

Są to promienie niewidzialne, które, jak wykrył Röntgen, pojawiają się podczas wyładowań elektrycznych razem z elektronami, wychodzą bowiem z tych przedmiotów, na które elektrony padają. Wywołały one niezwykłą sensację swą włas-

nością przechodzenia przez predmioty nieprzeźroczyste względem promieni świetlnych. Ponieważ przenikają z łatwością tkanki miękkie ciała ludzkiego, lecz są pochłaniane przez kości, ze zdumieniem oglądała ówczesna publiczność, na ekranie fluoryzującym pod wpływem promieni X, cienie szkieletu ręki lub nawet całego ciała. Dla obecnego pokolenia stało się to rzeczą powszednią, jak wiele innych podziwu godnych odkryć.

Natura promieni X była z początku zagadką, na co wskazuje ich nazwa. Fizykom dość dawno znane już były dwa rodzaje promieniowań niewidzialnych, podczerwone i nadfiołkowe, z których pierwsze wykryto dzięki ich oddziaływaniom cieplnym, drugie — dzięki oddziaływaniom chemicznym, np. na płytę fotograficzną. Oba rodzaje promieniowań są zbliżone własnościami do światła widzialnego i niezbyt wiele różnią się od niego długością fali. Jak wiemy obecnie, światło jest falą elektromagnetyczną. Wtrącę tu parę uwag o zjawisku fali, które, jak zobaczymy, gra od niedawna rolę doniosłą w budowie materii.

Każdy miał sposobność obserwować falę na morzu lub na jeziorze, jako pewną periodyczną formę ruchu, polegającą na wytwarzaniu i rozchodzeniu się wzniesień i zagłębień powierzchni wodnej. Cząstki wody nie poruszają się wraz z falą, lecz wykonują ruchy periodyczne około stałych położeń równowagi. Słusznie mówiono o fali, gdy łacina była międzynarodowym językiem naukowym: „non materia ipsa progreditur, sed forma materiae" (posuwa się nie sama materia, lecz forma materii).

Długością fali jest odstęp dwu sąsiednich wzniesień (grzbietów) lub zagłębień (dolin) fali. Dźwięk również jest odmianą fali, która, rozchodząc się w powietrzu oddziaływa na nasz organ słuchu. Fale morskie mogą mieć długości bardzo znaczne, fale dźwiękowe, odpowiadające tonom muzycznym dość wysokim, mają długości wynoszące kilkadziesiąt centymetrów. W elektromagnetycznych falach rozchodzą się, jak ich nazwa wskazuje, siły elektryczne i magnetyczne. Ich długości fal zmieniają się w granicach nader szerokich: długości fal radiowych są zawarte między kilkoma kilometrami i kilkoma metrami, natomiast fale światła widzialnego mają długości kilku stutysięcznych części centymetra. Długość fali charakteryzuje barwę światła: fale światła czerwonego są najdłuższe, fiołkowego światła — najkrótsze. Charakterystyczną własnością wszystkich rodzajów fal są zjawiska interferencji i dyfrakcji.

Interferencja polega na tym, że fale wychodzące z dwu źródeł ruchu falowego, przy spotkaniu wzmacniają się wzajemnie w jednych miejscach i niszczą się w innych. Wzmocnienie następuje tam, gdzie spotykają się dwa grzbiety lub dwie doliny obu fal, niszczenie się — tam, gdzie grzbiet jednej fali napotyka dolinę drugiej fali. Dyfrakcją czyli uginaniem się fali nazywamy omijanie przez nią przeszkód znajdujących się na drodze jej rozchodzenia się: np., gdy postawię przed sobą ekran niezbyt duży, to fale dźwiękowe mojej mowy dosięgną uszu słuchaczy omijając brzegi ekranu czyli uginając się około nich. Ale uginanie fal wystąpi wyraźnie tylko wtedy, gdy rozmiary nie są wielkie w porównaniu z długością fali. Ekran, nawet mały, sprawi znikome ugięcie fal świetlnych z powodu niezmiernej małości ich długości. W zwykłych warunkach światło rozchodzi się prostoliniowo, czego najlepiej dowodzi tworzenie się cieni przedmiotów ustawionych na jego drodze.

Do wywołania potężnej dyfrakcji światła fizycy używają siatek dyfrakcyjnych, w których liczne cieniutkie przeszkody są rozmieszczone w odległościach równych i nie większych od długości kilku fal świetlnych. Siatkę taką otrzymamy np. przez nacięcie wielkiej ilości równoodległych rys na płytce szklanej: na milimetrze mieści się ich kilka setek — jest to jeden z cudów techniki.

W poszukiwaniu natury promieni X próbowano wywołać znanymi sposobami ich dyfrakcję, ale bezskutecznie. W r. 1912 fizyk teoretyk niemiecki Laue wskazał, że, być może, długość ich fali jest mała nawet w porównaniu z falami światła widzialnego, a wobec tego dyfrakcję ich powinny wywoływać kryształy.

W ciałach krystalicznych mamy do czynienia z prawidłowym rozmieszczeniem atomów, stanowiących przeszkody na drodze rozchodzenia się promieni X; odległości sąsiednich atomów są rzędu 10^{8} cm (stumilionowej części centymetra), a zatem przez nie mogą być uginane fale tegoż rzędu długości. Doświadczenie potwierdziło w zupełności te przewidywania: promienie X ulegają w kryształach potężnej dyfrakcji, co wskazuje, iż są one falami elektromagnetycznymi o długości, przeciętnie biorąc, tysiąc razy mniejszej od długości fali światła widzialnego. W ten sposób zagadnienie natury promieni X zostało rozwiązane. Nadmienię, że te promienie stały się potężnym narzędziem badania budowy kryształów. W tej

dziedzinie szczególne znaczenie ma metoda angielskich fizyków Braggów (ojca i syna). — Idźmy dalej w przeglądzie odkryć. W r. 1896 francuski fizyk Becquerel odkrył, że pierwiastek metaliczny uran jest spontanicznym źródłem niewidzialnego promieniowania, które oddziaływa na płytę fotograficzną. Tę własność uranu nazwano promieniotwórczością. Śród znanych wówczas pierwiastków promieniotwórczym obok uranu okazał się tylko tor. W następnym roku Polka Maria Skłodowska-Curie uczyniła spostrzeżenie, które stało się punktem wyjścia epokowych odkryć. Poszukując promieniotwórczości różnych ciał nader czułą metodą skonstatowała ona, że minerał zwany smółką uranową, pochodzący z Jachymowa w Czechach, posiada czterokrotnie większą promieniotwórczość, aniżeli wypadało według zawartości w nim uranu i toru. Stąd badaczka wyprowadziła śmiały wniosek, że w tym minerale znajdują się w ilościach znikomych nowe pierwiastki niewykryte przez analizę chemiczną i obdarzone potężną promieniotwórczością. Wniosek okazał się słusznym: w r. 1898 nastąpiło odkrycie przez oboje państwo Curie polonu i radu; były to przewidziane pierwiastki promieniotwórcze. W następnym roku Debierne odkrył aktyn. Później wykryto pokaźną ilość innych substancji posiadających naturalną promieniotwórczość.

Przyjrzyjmy się nieco ich własnościom. Substancje promieniotwórcze wydają trzy główne rodzaje promieniowań, które nazwano promieniami *alpha, beta, gamma*. Śród nich promienie *beta* i *gamma* mają znaną nam naturę, a mianowicie pierwsze są elektronami, drugie zaś są podobne do promieni X, o jeszcze krótszej od nich długości fali. Natomiast promienie *alpha* są czymś innym, odsłaniającym nowe tajemnice świata atomowego. Naturę ich wyświetliły głównie badania wielkiego fizyka angielskiego lorda Rutherforda, z którego nazwiskiem będziemy dalej wciąż się spotykali.

Pokazało się, że promienie *alpha* składają się z cząstek materialnych, które są atomami helu, pierwiastka następującego po wodorze według wzrastającego ciężaru atomowego. Cząstka *alpha* różni się od zwykłego atomu helu tym, że posiada podwójny nabój elementarny elektryczności dodatniej. Taka natura promieni *alpha* dawała wiele do myślenia. Stało się widocznym, że z pierwiastków promieniotwórczych wydziela się inny pierwiastek — hel: powstało pytanie, jak to należy rozumieć. Obok badań nad promieniami, ściślej cząstkami

alpha Rutherford ze współpracownikami najwięcej przyczynili się do wyjaśnienia innego uderzającego faktu: rad i niektóre inne substancje promieniotwórcze, obok promieni *alpha, beta, gamma,* wydzielają gaz promieniotwórczy, który początkowo nazywano emanacją. Teraz emanacja radu nosi nazwę radonu.

Okazało się, że emanacje zanikają mniej lub więcej szybko i na ich miejscu pojawiają się nowe substancje promieniotwórcze.

Wszystkie zawiłe własności ciał promieniotwórczych zostały wyjaśnione przez słynną teorię rozpadu atomowego wygłoszoną przez Rutherforda i Soddy'ego. Według niej w zjawiskach promieniotwórczości mamy do czynienia z rozpadem atomów chemicznych, skutkiem czego jedne pierwiastki przekształcają się na inne. Np. atom radu rozpada się na dwa atomy: jednym jest atom radonu, drugim — atom helu w postaci cząstki *alpha*. Radon rozpada się ze swej strony i ostatnim ogniwem w szeregu ciał promieniotwórczych powstających z radu jest polon, który rozpadając się wytwarza pierwiastek niepromieniotwórczy, mianowicie ołów. Czas rozpadu pierwiastków promieniotwórczych jest nadzwyczaj różny. Wskazuje się zazwyczaj tak zwany czas połowicznego rozpadu, w którym połowa atomów danego ciała promieniotwórczego ulega rozpadowi. Przytoczymy parę liczb: dla uranu ów czas wynosi $2 \cdot 10^9$ (2 miliardy) lat, dla radu 1590 lat, dla radonu 3,8 dni, dla polonu 136 dni.

Jak okazały późniejsze badania, wszystkie ciała promieniotwórcze mieszczą się w trzech grupach czyli rodzinach, których pierwszymi ciałami są uran, tor i aktyn. Do rodziny uranu należą między innymi rad i polon.

W toku przemian ciał promieniotwórczych wydobywają się z nich olbrzymie ilości energii. Cząstki *alpha* wylatujące z tych ciał mają prędkości rzędu 20 000 km/sek., elektrony zaś tworzące promienie *beta* niewiele różnią się prędkością od prędkości światła, która równa się 300 000 km/sek. Stąd staje się zrozumiałą własność wydzielania ciepła przez ciała promieniotwórcze. Umieśćmy np. rad w grubościennej rurce, która pochłania wszystkie promienie przez rad wysyłane: energia pochłoniętych promieni zamienia się na ciepło. A więc rurka ogrzewa się i ze znaczniejszą ilością radu szybko uległaby stopieniu, gdybyśmy przeszkodzili odpływowi ciepła od niej. Curie i Laborde wymierzyli, że gram radu wytworzyłby tym sposobem ilość ciepła wystarczającą do ogrzania grama wody o 135^0.

II.

Rok 1903, w którym ukazała się teoria rozpadu atomowego ciał promieniotwórczych stwierdzająca, że atom chemiczny nie jest niepodzielny i może przekształcać się na inny atom, można uważać za rok narodzin nowej chemii, która jest zarazem alchemią, ponieważ alchemicy usiłowali, wprawdzie przedwcześnie, przeobrażać pierwiastki chemiczne.

Równocześnie grunt był dostatecznie przygotowany, ażeby można było pokusić się o rozwiązanie zagadnienia budowy atomu. Na podstawie tych odkryć doświadczalnych, o których wyżej daliśmy pojęcie, zdobyto przekonanie, że elektryczność ujemna jest w atomie reprezentowana przez elektrony. Chodziło teraz o wyświetlenie natury elektryczności dodatniej. Atom bowiem chemiczny w stanie normalnym jest elektrycznie obojętny, czyli w nim musi znajdować się nabój dodatni w ilości równej sumie nabojów elektronów.

Tę kwestię rozstrzygnął Rutherford, opierając się na rezultatach doświadczeń wykonanych w jego laboratorium nad rozpraszaniem cząstek *alpha* przez cienkie listki metalowe. Cząstka *alpha* jest pociskiem atomowym, którego masa jest 7200 razy większa od masy elektronu. Wobec tego, przy przejściu cząstki *alpha* przez listek metalowy, elektrony atomów listka znajdujące się na jej drodze, są przez nią roztrącane, ale nie mogą przez swe oddziaływanie, zmienić dostrzegalnie kierunku jej drogi, przy niewielkiej liczbie spotkań z elektronami w cieniutkim listku. Pokazało się na odwrót, że cząstki *alpha* zbaczają ze swej drogi, niekiedy bardzo znacznie, co uwidocznia się faktem, że wiązka równoległa elektronów padająca na listek jest, po wyjściu z niego, wachlarzowato rozproszona we wszelkich kierunkach.

A zatem w atomie istnieje źródło siły zdolnej do wywołania znacznego odchylenia cząstki *alpha* z jej drogi. Jasną jest rzeczą, że to źródło powinno być związane z elektrycznością dodatnią atomu. Rutherford udowodnił, iż charakter rozpatrywanego zjawiska jest w zupełnej zgodzie z przypuszczeniem, że elektryczność dodatnia jest skupiona w jednej cząstce zajmującej w atomie położenie środkowe: tę cząstkę nazywamy jądrem atomowym. W ten sposób został w r. 1911 ustalony model atomu jądrowy, nazywany najczęściej modelem Rutherforda-Bohra. Jaką rolę odegrał Bohr, zobaczymy niebawem.

Przyjrzyjmy się temu modelowi nieco bliżej. Weźmy atom, który w stanie normalnym posiada N elektronów; ogólny ich nabój ujemny wynosi Ne, gdzie przez e oznaczyliśmy nabój jednego elektronu, czyli nabój elementarny. Na mocy tego, co powiedzieliśmy, w jądrze jest zawarty taki sam nabój Ne elektryczności dodatniej. Liczba N jest podstawową liczbą w fizyce świata atomowego i nazywa się liczbą atomową.

Okazało się, że, jeżeli uszeregujemy pierwiastki według wzrastającego ciężaru atomowego, to liczba atomowa będzie po prostu numerem porządkowym danego pierwiastka w tym szeregu. A więc liczbą atomową wodoru jest 1, helu 2, węgla 6, azotu 7, tlenu 8 itp.; takie same są w tych atomach liczby elektronów oraz ilości nabojów elementarnych w ich jądrach. Tylko w paru miejscach układu periodycznego, w którym obecnie pierwiastki szeregujemy według liczb atomowych, spotykamy niezgodność między kolejnością tych liczb i ciężarami atomowymi: np. argon (N = 18) znajduje się przed potasem (N = 19) mimo, że ciężar atomowy argonu jest równy 40, potasu zaś 39.

Zaznaczymy, że jądro atomu wodoru ma nabój dodatni równy nabojowi elementarnemu; otrzymało ono osobną nazwę protonu i, jak dalej zobaczymy, gra rolę nader ważną w budowie materii.

Należy także zwrócić uwagę na to, że w jądrze jest skupiona prawie cała masa każdego atomu, ponieważ masa związanych z jądrem elektronów jest stosunkowo znikoma.

Zapytajmy teraz, jak zachowują się elektrony w atomie zbudowanym według modelu Rutherforda-Bohra. Od czasów Newtona fizycy usiłowali sprowadzić zjawiska przyrody do ruchów mas. Zgodnie z tą dążnością większość fizyków wyobraża sobie, że elektrony krążą dokoła jądra pod wpływem jego siły przyciągającej podobnie jak planety dokoła słońca. Pominiemy na razie zastrzeżenia, jakie względem tego obrazu atomu wysuwają teoretycy.

Ażeby zdać sobie dokładniej sprawę z tego, jak wygląda materia zgodnie z powyższymi wyobrażeniami, weźmy pod uwagę rozmiary atomu, jądra atomowego i elektronu. Rozmiary liniowe atomu są rzędu 10^{8} cm, natomiast rozmiary liniowe jądra i elektronu mają jednakowy rząd wielkości równy 10^{13}.

Aby te liczby przemówiły do wyobraźni, przypuśćmy, że atom powiększył się do rozmiarów kuli o promieniu równym

10 metrom; wtedy promień elektronu i jądra stanie się mniej więcej równy 1/10 mm.

Dokoła takiego pyłku wyobrażającego proton krąży drugi pyłek elektron w odległości 5 metrów — i to jest atom wodoru w jego stanie normalnym. Jak widzimy, próżnia w ciałach materialnych przeważa w stopniu ogromnym nad wypełnieniem tym, cobyśmy nazwać mogli substancją.

Teraz zwróćmy się do rozpatrzenia tych idei, które wniósł Bohr do budowy atomu jądrowego. Ów znakomity teoretyk duński, przebywając w r. 1913 w laboratorium Rutherforda, przedsięwziął zbadanie, czy model atomu jądrowego istotnie nadaje się do wytłumaczenia rozmaitych własności przysługujących atomom chemicznym. Jedną z najważniejszych, na którą Bohr najpierw skierował uwagę, jest własność emisji promieniowań elektromagnetycznych charakterystycznych, które należą do dziedziny światła widzialnego oraz do dziedzin niewidzialnych — podczerwonej, nadfiołkowej i Röntgenowskiej. Gdy utworzymy widmo optyczne tych promieniowań, wystąpią one jako ostro zarysowane prążki charakterystyczne dla danego pierwiastka, któryśmy wprawili w stan świecenia. Ponieważ światło i dźwięk są natury falowej, można przeprowadzać między nimi analogię. Atom upodobnimy np. do fortepianu, którego tonami są promieniowania charakterystyczne: każdemu z nich odpowiada prążek widma i określona częstość drgań elektromagnetycznych podobnie, jak ton muzyczny posiada właściwą mu częstość drgań dźwiękowych (przez częstość rozumiemy ilość drgań w sekundzie).

Celem wytłumaczenia tej emisji promieniowania Bohr wprowadził dwa postulaty, nie oglądając się na zgodność ich z ustalonymi wówczas pojęciami fizycznymi. Atom na emisję promieniowania zużywa swoją energię, albowiem promieniowanie posiada energię, która, zgodnie z prawem jej zachowania, nie może powstać z niczego. Otóż pierwszy postulat Bohra opiewa, że energia atomu może przybierać tylko szereg ściśle określonych wartości, które oznaczymy przez $E_1, E_2, E_3, \ldots, E_n, \ldots$; wartości pośrednie energii istnieć nie mogą.

Ażeby uzmysłowić te stosunki, weźmy najprostszy atom wodoru, w którym jeden elektron krąży dokoła protonu. Przypuśćmy dla prostoty, że tory krążącego elektronu są kołowe. Postulat Bohra oznacza, że tory te nie mogą być dowolne, lecz są ściśle wyznaczone: poruszając się na torze pierwszym elektron ma energię E_1, na torze drugim — energię E_2 itd. Te wyróżnione wartości energii są często nazywane poziomami

energetycznymi. Zależą one od rodzaju atomu i mogą być obliczane za pomocą reguł mechaniki kwantowej.

W atomie wodoru promienie wyróżnionych torów kołowych są proporcjonalne do kwadratów liczb całkowitych, a zatem, jeżeli oznaczymy przez a promień pierwszego toru, to promienie torów 2-go, 3-go, ... n-go będą 4a, 9a, ... n^2a. Natomiast stałe wartości energii elektronu na tych torach są

$$E_1 = E_0 - A,\ E_2 = E_0 - \frac{A}{4},\ E_3 = E_0 - \frac{A}{9}, \ldots E_n = E_0 - \frac{A}{n^e},$$

gdzie E_0 i A oznaczają znane liczby stałe. Widzimy, że $E_1 < E_2 < E_3 \ldots < E_n$.

Drugi swój postulat Bohr związał z hipotezą kwantów energii, którą wygłosił w r. 1900 wybitny teoretyk niemiecki Planck. Badając teoretycznie promieniowanie ciał pod wpływem ogrzania do wysokiej temperatury Planck doszedł do wniosku, że tego promieniowania nie można uważać za proces ciągły, lecz jest ono utworzone ze skończonych i niepodzielnych porcyj energii nazwanych kwantami energii. Wielkość kwantu wynosi hv, gdzie h oznacza stałą wielkość grającą nader doniosłą rolę w fizyce świata atomowego, v jest to częstość drgań elektromagnetycznych rozpatrywanego promieniowania jednorodnego (mającego określoną barwę w przypadku światła widzialnego).

Otóż brzmienie drugiego postulatu Bohra jest następujące: atom wysyła promieniowanie wtedy, gdy zachodzi zmiana jego energii, np. z wartości większej E_n na wartość mniejszą E_m, przy czym to promieniowanie jest jednorodne i ma częstość v określoną przez prostą zależność $E_n - E_m = hv$, czyli atom wysyła zawsze jeden kwant energii.

Jest rzeczą godną podziwu, że te proste pojęcia i postulaty wystarczają do opisu i uporządkowania niezmiernej rozmaitości widm atomowych. W zastosowaniu do atomów o większych ciężarach atomowych największa komplikacja teorii polega na tym, że poziomy energetyczne poszczególnych elektronów zależą nie od jednej liczby kwantowej n, jak w przypadku atomu wodoru, lecz od czterech liczb kwantowych, które zazwyczaj są oznaczane przez n, 1, m_e, m_s. Pierwsze trzy liczby są całkowite i znajdują się w związku wzajemnym, ostatnia zaś liczba m_s może mieć tylko dwie wartości $\frac{1}{2}$ i $-\frac{1}{2}$, określające własności magnetyczne elektronu.

Za pomocą tych czterech liczb kwantowych, łącznie z tak zwaną zasadą Pauli'ego osiągnięto nowy wielki sukces, jakim niewątpliwie jest wyjaśnienie budowy układu periodycznego pierwiastków. Wymieniona zasada stwierdza, że żadna para elektronów należących do danego atomu nie może mieć czterech jednakowych liczb kwantowych: elektrony muszą różnić się jeden od drugiego przynajmniej jedną liczbą kwantową. Gdy zastosujemy tę zasadę do atomu jądrowego, okaże się, że elektrony w nim muszą tworzyć grupy wyraźnie oddzielone jedna od drugiej. To ugrupowanie elektronów jest przyczyną faktu, że własności atomów w układzie periodycznym Mendelejewa powtarzają się periodycznie, wprawdzie w odstępach nierównych, na co wskazuje nazwa układu.

Zauważymy jeszcze, że własności chemiczne atomu oraz większość własności fizycznych zależą głównie od zewnętrznej warstwy elektronów, najwięcej oddalonej od jądra i skutkiem tego najsłabiej z nim związanej.

Teraz zwróćmy się do bliższego zapoznania się z własnościami jądra atomowego. Zjawisko promieniotwórczości naturalnej dowodzi, że jądro atomu ma budowę złożoną. Gdy na przykład rozpada się atom radu, zachodzi emisja cząstki *alpha*. Jak wiemy, jest ona atomem helu, mającym dwa naboje elementarne elektryczności dodatniej. Otóż atom helu zajmuje drugie miejsce w układzie periodycznym, a więc jego liczba atomowa jest 2. Znaczy to, że dokoła jądra posiadającego dwa dodatnie naboje elementarne krążą dwa elektrony. Gdy atom helu te elektrony utraci, pozostaje jądro z dwoma dodatnimi nabojami elementarnymi. Stąd wnosimy, że cząstka *alpha* jest jądrem atomu helu. Na zewnątrz jądra w atomie radu, jak w każdym innym atomie, znajdują się tylko elektrony. Znaczy to, że cząstka *alpha* wchodzi w skład jądra radu, które zatem ma budowę złożoną. To samo, przypuszczalnie, stosuje się do wszystkich innych pierwiastków, z wyjątkiem wodoru. Wobec tego otwiera się kwestia budowy jądra atomowego. Skoro jest ono złożone, można je rozszczepić na części składowe i poznać ich naturę. Takiego rozbicia jądra dokonał pierwszy Rutherford w r. 1919, bombardując azot cząstkami *alpha*. Okazało się, że cząstka *alpha* przyłącza się do jądra azotu, z którego równocześnie wydobywa się proton. Przytoczę prosty wzór tej jądrowej reakcji: ${}_7N^{14} + {}_2He^4 \rightarrow {}_8O^{17} + {}_1H^1$.

Ażeby symbolika tu użyta stała się jasna, weźmy pierwszy symbol ${}_7N^{14}$ oznaczający atom i zarazem jądro azotu. Liczba 7 u dołu oznacza liczbę atomową równą ilości nabojów ele-

mentarnych w jądrze, liczba 14 u góry oznacza ciężar atomowy. Jak widzimy ze wzoru, po przyłączeniu jądra helu $_2He^4$, powstaje jądro tlenu $_8O^{17}$ i proton $_1H^1$, który zostaje wyrzucony na zewnątrz z wielką prędkością. Osobliwością jest to, że ciężar atomowy tlenu wynosi 17 zamiast 16: mamy tu do czynienia z izotopem tlenu. O izotopach w ogóle powiemy nieco później.

Z tego doświadczenia i wielu innych wynika, że w skład jąder atomów wchodzą protony. Zauważymy jeszcze, że w reakcjach jądrowych sumy górnych i dolnych znaczków z lewej i prawej strony wzorów je przedstawiających powinny być jednakowe, na mocy praw zachowania masy (znaczki górne) i naboju elektrycznego (znaczki dolne).

Dodam, iż w roku 1932 Cockcroft i Walton wywołali rozbicie jąder za pomocą sztucznie wytworzonych strumieni protonów.

Początkowo przypuszczano, że obok protonów w składzie jąder znajdują się elektrony. To przypuszczenie nie dało się utrzymać. Decydującym w ustaleniu budowy jądra było odkrycie w r. 1932 nowej cząstki elementarnej materii, nazwanej neutronem. Powiem parę słów o tym ważnym odkryciu. W r. 1930 Bothe i Becker spostrzegli, że pierwiastek beryl bombardowany przez cząstki *alpha* wysyła promieniowanie, które ci uczeni utożsamili z promieniami *gamma*, ponieważ nie składa się ono z cząstek naelektryzowanych. Dalej słynna para uczonych, Irena Curie-Joliot, córka Skłodowskiej-Curie, i jej mąż Frédéric Joliot uczynili najważniejsze w tej kwestii spostrzeżenie, a mianowicie, że promienie wysyłane przez beryl wyrzucają protony z substancji zawierających wodór, np. z parafiny, dogodnej do tego celu. Otóż promienie *gamma* tej zdolności nie posiadają. Ostateczne ustalenie natury rozpatrywanego promieniowania jest zasługą Chadwicka, który wówczas należał do personelu laboratorium Rutherforda w Cambridge. Chadwick udowodnił, że promieniowanie berylu składa się z cząstek mających masę prawie równą masie protonu, ale neutralnych, to znaczy bez naboju elektrycznego.

Skutkiem tego owe cząstki odznaczają się niezmierną przenikliwością, bowiem jądra atomowe i elektrony nie działają na nie zdala siłami przyciągania lub odpychania. Widzieliśmy, że tylko znikoma część objętości atomu przypada na jądro i elektrony. Neutron więc swobodnie przechodzi przez materię i tylko z rzadka zostaje zatrzymany lub odrzucony, gdy mu

się przytrafi wprost zderzyć się z jądrem atomu. Najwięcej neutrony tracą energię podczas przejść przez związki wodorowe, a to z powodu równości mas neutronu i protonu. Wobec tego neutrony przechodzą łatwo przez warstwę ołowiu półmetrowej grubości, natomiast warstwa parafiny o grubości 20 centymetrów pochłania je całkowicie.

Przy zderzeniu z jądrem atomu neutron często przenika wewnątrz jądra i wywołuje w nim rozmaite przemiany, o których jeszcze będzie mowa.

Po odkryciu neutronu rosyjski fizyk Iwanenko i znakomity teoretyk niemiecki Heisenberg wysunęli hipotezę, że jądra atomowe są skupieniami neutronów i protonów. Ten domysł utrzymał się w nauce i stanowi obecnie podstawę teorii jądra. Oznaczmy przez p liczbę protonów w danym jądrze, przez n — liczbę neutronów. Każdy proton ma elementarny nabój dodatni, neutron nie ma naboju; stąd jasną jest rzeczą, iż $p = N$ ($N =$ liczba atomowa). Dalej $p + n = A$, gdzie A oznacza zaokrąglony do liczby całkowitej ciężar atomowy pierwiastka. Ponieważ N i A są znane dla każdego pierwiastka, znajdziemy liczby protonów i neutronów: $p = N$, $n = A - N$.

Okazuje się, że w pierwiastkach lżejszych (w sensie ciężaru atomowego) $A = 2N$, czyli $p = n$: ilości protonów i neutronów są równe. W przypadku pierwiastków cięższych $A > 2N$ i $n > N = p$: ilośc neutronów przewyższa ilość protonów. Tłumaczy się to w następujący sposób: między neutronami i protonami działa w odległościach niezmiernie małych przyciąganie, protony zaś w odległościach większych wzajemnie się odpychają według prawa Coulomba (odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu odległości). Gdy mamy w jądrze znaczną ilość protonów, siły odpychające między nimi rozsadzają jądro i, ażeby utrzymać je w równowadze, musimy powiększać liczbę neutronów.

Zastanówmy się z kolei nad ważnym w teorii jądra pojęciem defektu mas. Weźmy, w celu wyjaśnienia tego pojęcia, dowolny pierwiastek. Skonstatujemy zawsze, że jądro jego ma masę mniejszą od sumy mas protonów i neutronów z których jądro jest utworzone. Masę jądra bierzemy równą rzeczywistemu (nie zaokrąglonemu) ciężarowi atomowemu naszego pierwiastka, odniesionemu do tlenu, którego ciężar atomowy, wedle umowy, równa się 16.

Różnica pomiędzy sumą mas protonów i neutronów z jednej strony i rzeczywistą masą jądra z drugiej strony nazywa się właśnie defektem (niedoborem) jego masy. Celem wytłuma-

czenia tego defektu powołujemy się na prawo równoważności masy i energii ustalone w teorii względności: według niego istnienie masy oznacza zawsze istnienie energii. Związek między masą m i energią E wyraża się wzorem Einsteina: $E = mc^2$, gdzie c oznacza prędkość światła w próżni równą 3×10^{10} cm/sek. Defekt masy powstaje skutkiem tego, że łączeniu się protonów i neutronów, wytwarzającemu jądro atomowe, towarzyszy strata energii, czyli wydzielanie się jej na zewnątrz podobnie, jak w zwykłej reakcji chemicznej, np. podczas palenia się węgla, czyli łączenia się jego z tlenem, wydziela się energia w postaci ciepła.

Zobaczymy, ile energii wydziela tworzenie się z neutronów i protonów tylu gramów helu, ile wynosi jego ciężar atomowy (= 4,002). Elektronów wchodzących w skład atomów helu możemy nie brać po uwagę w tym rachunku. W jądrze helu są połączone dwa protony i dwa neutrony, których masy (w odniesieniu do masy atomu tlenu) można przyjąć równymi 1,008. A zatem 4,002 gramów helu tworzą się z $4 \times 1{,}008$ gramów protonów i neutronów i defekt masy wynosi $4 \times 1{,}008$ do $4{,}002 = 0{,}03$ g; wzór Einsteina da odpowiadającą mu wydzieloną energię: $0{,}3 \times c^2 = 0{,}27 \times 10^{20}$ ergów $= 6{,}9 \times 10^8$ kaloryj (kilogramowych).

Ta energia jest, z gruba biorąc, dwadzieścia milionów razy większa od energii spalania tyluż gramów węgla. Widzimy, jakie zapasy energii wchodzą w grę podczas reakcji jądrowych.

Zauważę, iż opisana reakcja powstawania helu w ziemskich warunkach nie zachodzi, natomiast przypuszcza się, że odbywa się we wnętrzu słońca i gwiazd i jest głównym źródłem energii promieniowania wysyłanego przez te ciała niebieskie.

W r. 1933 Anderson zrobił ważne odkrycie, dostrzegłszy w promieniach kosmicznych, o których będziemy mówili później, istnienie elektronów dodatnich nazywanych pozytronami. Obecnie umiemy je otrzymywać licznymi sposobami. Brak tu miejsca na rozpatrzenie pytania, dlaczego elektrony ujemne są wszędzie w materii obecne, podczas gdy elektrony dodatnie są zjawiskiem rzadkim. Dodam tylko, że pozytrony łatwo łączą się z elektronami i wtedy obie cząstki znikają, przeobrażając się na falę elektromagnetyczną nader krótką. Odwrotnie, w pewnych warunkach, z podobnej fali może powstać para cząstek-elektron i pozytron. Zjawisko pierwsze często nazywają dematerializacją materii, drugie zjawisko — materializacją promieniowania, ale te nazwy, ze stanowiska głębszej teorii, nie są właściwe.

W dalszym ciągu musimy parę słów poświęcić jeszcze jednemu odkryciu o szerokim zasięgu, dokonanemu w niniejszym stuleciu: mam na myśli odkrycie izotopów. Nazywamy izotopami pierwiastki różniące się ciężarem atomowym, ale o tej samej liczbie atomowej, ale mające ten sam nabój jądra i tę samą ilość krążących dokoła jądra elektronów: wobec tego zajmują one w układzie periodycznym to samo miejsce. Zgodnie z teorią budowy jądra, izotopy danego pierwiastka mają w jądrach jednakowe ilości protonów i różne ilości neutronów. Zwykłe pierwiastki, otrzymywane metodami chemicznymi, są z reguły mieszaninami izotopów. Np. chlor, którego ciężar atomowy równa się 35,5, jest mieszanią dwu izotopów mających ciężary atomowe 35 i 37, z przewagą, oczywiście, izotopu pierwszego. Wielką ilość izotopów wykryto śród substancji promieniotwórczych. Przy wykrywaniu izotopów szczególnie potężna jest metoda promieni dodatnich, polegająca na przekształcaniu atomów i cząsteczek chemicznych na jony dodatnie i następnie oddziaływaniu na nie siłami elektrycznymi i magnetycznymi. — Na początku lat trzydziestych tego wieku odkryto nader interesujący izotop wodoru, zwany deuteronem albo ciężkim wodorem, którego ciężar atomowy jest równy 2. Jak wiemy, jądrem zwykłego lekkiego wodoru jest proton, natomiast w jądrze ciężkiego wodoru proton znajduje się w połączeniu z neutronem. Obecnie nietrudno otrzymywać w dość znacznych ilościach ciężką wodę, utworzoną z tlenu i ciężkiego wodoru.

Zagadnienie izotopii pierwiastków chemicznych przybrało nową postać z chwilą, gdy zostały odkryte izotopy promieniotwórcze, w związku z tak zwaną sztuczną promieniotwórczością. Tego odkrycia jednego z największych, dającego się porównać z odkryciem promieniotwórczości naturalnej, dokonali państwo Joliot w r. 1934, na krótko przed zgonem Marii Skłodowskiej-Curie.

Ażeby dać tu pojęcie, czym jest sztuczna promieniotwórczość, przytoczę pierwszy jej przykład wykryty przez uczoną parę. Doświadczenie wykonane przez nich okazało, że glin (Al) bombardowany cząstkami *alpha* wysyła neutrony i przekształca się na izotop fosforu (P) według wzoru. ${}_{13}Al^{27} + {}_{2}He^{4} \rightarrow {}_{15}P^{30} + {}_{0}n^{1}$ (zwykły fosfor atomowy 31); ${}_{0}n^{1}$ służy, w zrozumiałej dla nas symbolice, do oznaczenia neutronu. Ale na tym sprawa się nie kończy: badacze zauważyli, że wytworzony izotop fosforu ${}_{15}P^{30}$ jest promieniotwórczy i rozpada się wy-

syłając pozitrony ($_1beta^+$) przy czym przekształca się na izotop krzemu (Si): $_{15}P^{30} \rightarrow Si^{30} + _1beta^+$ (ciężar atomowy zwykłego krzemu jest 28). Czas połowicznego rozpadu tego promieniotwórczego fosforu jest krótki i wynosi 3 minuty. Póżniej wykryto inny promieniotwórczy izotop fosforu, którego czas połowicznego rozpadu jest 14 dni.

Znakomity włoski teoretyk Fermi wskazał, że najbardziej sprawnymi pociskami do wzbudzania w ciałach sztucznej promieniotwórczości są neutrony, ponieważ najłatwiej przenikają do jąder atomowych; doświadczenie w zupełności potwierdziło ten domysł. We wszystkich laboratoriach świata, posiadających odpowiednie warunki, rozpoczęło się polowanie na sztuczną promieniotwórczość i w ciągu 5 lat, do wybuchu wojny r. 1939, zostały wykryte izotopy promieniotwórcze wszystkich pierwiastków. A wiec zamiast 92 pierwiastków przed 50 laty znamy obecnie około 500 pierwiastków, śród których z górą 200 są promieniotwórcze. Można z pewnością twierdzić, że izotopy promieniotwórcze odegrają pierwszorzędną rolę w lecznictwie oraz w badaniach biologicznych. Nie można pominąć, chociażby ze względu na zastosowanie do bomby atomowej, specjalnego rodzaju sztucznej promieniotwórczości, którego zbadanie jest, w głównej mierze, zasługą niemieckiego fizykochemika Hahna i jego współpracownika Strassmanna. Pierwiastki sztucznie promieniotwórcze, przy swoim rozpadzie, wysyłają z reguły albo elektrony albo pozitrony, przez co ich ciężar atomowy nie ulega zmianie. Otóż najcięższy pierwiastek uran, bombardowany przez neutrony okazuje zjawiska rozpadu nader skomplikowane, przy czym częściowo rozpada się na atomy niezbyt wiele różniące się między sobą ciężarem atomowym.

Szczególnie łatwo ulega takiemu rozpadowi, pod wpływem powolnych neutronów, izotop uranu mający ciężar atomowy 235, który, jako drobna domieszka, występuje w zwykłym uranie o ciężarze atomowym równym 238. Produktami rozpadu są następujące pary pierwiastków, których liczby atomowe, wskazane w nawiasach, dają liczbę atomową 92 uranu: Brom (35) — Dantan (57), Rubid (37) — Cez (55), Stron (38) — Ksenon (54), Ytr (39) — Jod (53), Cyrkon (40) — Telur (52), Niob (41) — Antymon (51).

Uran zwykły rozpada się tylko pod działaniem szybkich neutronów i daje inne produkty rozpadu.

We wszystkich tych produktach mamy nadmiar neutronów, skutkiem czego one ulegają dalszemu przekształceniu z emisją

elektronów, a więc są promieniotwórcze. Znamienną cechą rozpatrywanego rozpadu jest fakt, że mu towarzyszy emisja neutronów w ilości większej, niż ilość neutronów użytych do bombardowania. Otóż wyswobodzone neutrony ze swej strony wywołują rozpad nowych atomów uranu połączony z emisją zwiększonej ilości neutronów, i proces ten rozwija się automatycznie jak w substancji wybuchowej, dopóki nie zostanie rozłożona cała wzięta masa uranu.

Tej wybuchowej reakcji jądrowej towarzyszy wydzielanie się energii w ilości niepomiernie większej, aniżeli w jakiejkolwiek zwykłej reakcji chemicznej takiej, jak palenie się węgla. Teoretycznie obliczono, że, jeżeli wywołamy opisany proces w metrze sześciennym sproszkowanego tlenku uranowego, to w ciągu ułamka sekundy zostanie wyzwolona energia, wystarczająca do podniesienia miliarda ton ciężaru na wysokość 27 kilometrów. Tego rodzaju zapas energii może przez szereg lat zastąpić wszystkie użytkowane przez człowieka źródła energii na całym globie ziemskim.

Dodam, że podobny rozpad skonstatowano także w przypadku toru i protaktynu; w tych pierwiastkach wywołują go szybkie neutrony[1].

Otóż po krótce tu przedstawione zjawisko rozpadu jądra atomu uranu służy za podstawę wynalazku bomby atomowej; tajemnica jej polega na szczegółach praktycznego wykonania. Jak widzimy, odsłonięcie przez naukę głęboko ukrytych jej tajemnic świata atomowego otwiera przed ludzkością perspektywy olśniewające i zarazem groźne. Czy siły moralne, jakie ludzkość, mimo wszystkie swe upadki, zdołała nagromadzić w swym rozwoju, wystarczą, ażeby tę groźbę zażegnać, przyszłość pokaże; ufajmy, że ewangeliczny pokój ludzi dobrej woli nie jest mrzonką.

III.

Dotychczasowy nasz przegląd własności materii odkrytych w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu wykazał, jak daleko odbiegliśmy od naiwnego poglądu na atom, jako na kulkę twardą, która w sposób tajemniczy jest źródłem sił przyciągających inne atomy. Zdobyliśmy niezliczoną mnogość nowych faktów, rozszerzających i pogłębiających nasze pojęcia o materii. Ów obraz materii tak urozmaicony odznacza się zarazem imponu-

[1] Wiadomości zużytkowane w tym artykule nie sięgają dalej r. 1942.

jącą prostotą wewnętrzną. Pokazało się, że ostatecznie wszystkie rodzaje materii są zbudowane z trzech elementarnych cząstek — elektronów, protonów i neutronów. Co więcej, teoria uczy, że proton i neutron mogą być rozpatrywane jako odmiany jednej cząstki, której dano nazwę nukleonu. Zdawało by się, że uczony współczesny z większym prawem, niż dawniejszy, mógłby twierdzić, iż wie, czym jest materia. Tak wszakże nie jest. W ciągu tychże lat pięćdziesięciu odkryto jeszcze inne własności materii i promieniowania, które do gruntu przekształciły podstawowe pojęcia o przyrodzie. Dla fizyka końca XIX-go wieku materia utworzona z atomów i promieniowanie, będące falą elektromagnetyczną, były odrębnymi realnościami. Wprawdzie fala miała swe źródło w materii, ale sama nie była materią, lecz formą ruchu. W sposób nieoczekiwany fizyka współczesna materię i falę ściśle zespoliła, obdarzając z jednej strony cząstki materii własnościami fali, z drugiej strony falę elektromagnetyczną — własnościami cząstek materii czyli korpuskularnymi.

Najpierw zostały ujawnione własności korpuskularne promieniowania czyli fal elektromagnetycznych. Chodzi tu o zjawisko fotoelektryczne, o którym już wspominaliśmy. Pod działaniem światła z powierzchni metalowej wylatują elektrony; fizyk niemiecki Lenard znalazł, że energia elektronów nie zależy od natężenia światła, jest natomiast proporcjonalna do częstości fali świetlnej. Wytłumaczyć tego faktu z własności ruchu falowego niepodobna; staje się on zrozumiałym, jeżeli przypuścimy, że fala światła jednorodnego albo innego promieniowania elektromagnetycznego składa się z kwantów energii Plancka. Taki kwant ma, jak widzieliśmy, energię $h\nu$, gdzie ν oznacza częstość promieniowania. Wyobrażamy sobie, iż jest skupiony w nader małej objętości. Padając na elektron ów kwant energii może ulec pochłonięciu, oddając elektronowi całą swą energię, która jest proporcjonalna do częstości promieniowania, w zgodzie z prawem Lenarda. Obecnie kwanty energii promieniowania nazywamy fotonami. Jeszcze wyraźniej występuje charakter korpuskularny promieniowania w zjawisku rozpraszania promieni X przez materię, zbadanym przez amerykańskiego fizyka Comptona w r. 1923.

Z drugiej strony zjawiska interferencji i dyfrakcji nie mogą być wytłumaczone inaczej, jak na gruncie falowej teorii promieniowania. Otóż światła, czy promieniowania w ogólności nie można wyobrażać sobie równocześnie jako niezmiernie drobnej cząstki — fotonu i zarazem jako fali zajmującej

znaczną rozciągłość w przestrzeni. Wyobrażenia cząstki i fali są sprzeczne, jeżeli stosujemy je do tego samego przedmiotu. W pojęciu promieniowania powstał zatem nie dający się wyjaśnić dualizm. Ta logicznie nieznośna sytuacja pogłębiła się z chwilą, gdy w r. 1924 młody teoretyk francuski Louis de Broglie wysnuł z praw kwantowych, o których wyżej daliśmy pojęcie, że z cząstką materii taką, jak np. elektron jest połączona zawsze fala posiadająca określone dla danej cząstki własności.

Przewidywania de Broglie'a znalazły w r. 1927 całkowite potwierdzenie w doświadczeniach amerykańskich fizyków Davissona i Germera, którzy skonstatowali, że wiązka elektronów padająca na kryształ metaliczny okazuje zjawisko dyfrakcji bardzo podobne do znanej nam dyfrakcji promieni X, z której wywnioskowaliśmy ich falową naturę. A więc sprzeczność fali i cząstki ujawniona w promieniowaniu przeniosła się także na materię.

Pogwałcenie logicznej zasady sprzeczności czyni zrozumienie przedmiotu niemożliwym. Fizyka stanęła w obliczu niepokojącej zagadki. W tym miejscu trzeba odpowiedzieć na pytanie, jakim sposobem dwa oblicza, korpuskularne i falowe, promieniowania i materii, godzą się w doświadczeniu. Przyroda urządziła to w sposób bardzo prosty. Wszystko zależy od charakteru doświadczeń. Doświadczenie, w którym wyraźnie występuje oblicze korpuskularne, czy to promieniowania, czy materii, nie okazuje zupełnie oblicza falowego i na odwrót. Oba oblicza wyłączają się w doświadczeniu, przez co nie ma między nimi kolizji. Ale ten brak kolizji nie usuwa niemożliwości przypisywania temu samemu przedmiotowi cech sprzecznych.

Dalej wskazane przez nas postulaty kwantowe Bohra, na których opiera się teoria jądrowego modelu atomu chemicznego, są w rażącej niezgodzie z fizyką klasyczną. Wszystko to razem wzięte sprawiało, że fizyka świata atomowego około r. 1924 była pełna wewnętrznych sprzeczności. I oto w ciągu trzech lat 1925, -6 i -7 wysiłek myśli młodego pokolenia teoretyków, śród których na wyróżnienie zasługują imiona Niemców Heisenberga i Schrödingera oraz Anglika Diraca, zdołał przezwyciężyć trudności, zdawało by się, niepokonane. Została opracowana mechanika kwantowa, która daje obraz matematyczny procesów atomowych tego rodzaju, że w nim własności falowe i korpuskularne materii i promieniowania są logicznie powiązane.

Ten olbrzymi sukces myśl naukowa okupiła ograniczeniem form umysłowych tak pierwotnych i pozornie niewzruszonych, jak zasada przyczynowości, na której jest osnuty determinizm procesów przyrody.

W rozumieniu fizyka teoretyka wyrazem determinizmu będzie teza następująca: jeżeli w danej chwili stan układu materialnego jest dokładnie znany, to może być przewidziany i obliczony stan jego w każdej chwili przyszłej. Tę możliwość przewidywania ogranicza w mechanice kwantowej zasada Heisenberga, która stwierdza, że stan układów atomowych nie może być znany w żadnej chwili z całkowitą dokładnością. W ten sposób do nauki o przyrodzie został wprowadzony indeterminizm, niedopuszczalny w dawnej fizyce.

Ażeby zdobyć bliższe pojęcie o tym indeterminizmie oraz zrozumieć, jak tu jest zachowana prawidłowość biegu zjawisk przyrody, którą dawniej zabezpieczała zasada przyczynowości, rozpatrzmy prosty przykład. Zarazem wyjaśni się, chociażby w pewnej mierze, rola fali w dualistycznym falowo-korpuskularnym obrazie materii. Weźmy pod uwagę preparat radu; atomy jego, jak wiemy, ulegają rozpadowi jeden po drugim w biegu czasu, ale dopiero po upływie 1590 lat połowa obecnych w danej chwili atomów radowych rozpadnie się na atomy radonu i helu. Jakaż jest przyczyna, że jeden atom radu rozpada się w tej właśnie chwili, a drugi atom ten los spotka za lat kilkaset lub kilka tysięcy? Mechanika kwantowa odpowiada na to pytanie, że taka przyczyna w ogóle nie istnieje: wszystkie atomy znajdują się w tych samych warunkach i jest zawsze możność rozpadu, ale nic nie determinuje, czy dany atom rozpadnie się dziś, czy w dalekiej przyszłości. Ścisła prawidłowość rozpatrywanego zjawiska wyraża się tym, że dla poszczególnego atomu istnieje określone prawdopodobieństwo rozpadu, wobec czego w zbiorowisku olbrzymiej ilości atomów panuje doskonała prawidłowość statystyczna. Jeżeli prawdopodobieństwo rozpadu w ciągu sekundy jest p znaczy to, że śród N atomów ulegnie rozpadowi, średnio biorąc, p N atomów w sekundzie.

Ażeby stało się widoczne, jaką rolę w tym procesie gra oblicze falowe materii, wyobraźmy sobie jądro radu w postaci kulki wypełnionej protonami i neutronami. Jak wiadomo, przy rozpadzie atomu, jadro jego opuszcza cząstka *alpha,* uposażona w ogromną energię. A więc cząstka *alpha,* którą stanowi ścisłe połączenie dwu par protonów z neutronami, musi być obecna w jądrze radu; można wyobrażać sobie, że ona krąży

wewnątrz jądra. Ale, na mocy powyższych wywodów, że nasza związana z jądrem cząstka jest także falą. Zgodnie z teorią kwantową, której tu bliżej rozważać nie możemy, ta fala nie ogranicza się do obszaru jądra, lecz rozpościera się poza jego granice. Jakie ma ona znaczenie fizyczne? Teoria uczy, że wszędzie, gdzie natężenie jej jest większe od zera, może znajdować się cząstka *alpha*. To natężenie jest stosunkowo olbrzymie w obrębie jądra i znikomo małe na zewnątrz jego. A zatem prawdopodobieństwo znajdowania się cząstki *alpha* wewnątrz jądra mało różni się od pewności; ponieważ jednak nie jest ono zerem poza jądrem, w ogromnym zbiorowisku atomów radu nadzwyczaj mała część cząstek *alpha* w nich obecnych opuszcza je, zachowując swą energię posiadaną w jądrze atomu.

Ponieważ fala wyznacza tylko prawdopodobieństwo emisji poszczególnej cząstki *alpha* z jądra, jest ona właśnie wyrazem indeterminizmu świata atomowego. Należy widzieć w niej jakąś realność, ale zrozumienie konkretnej natury tej realności nastręcza trudności dotychczas niepokonane.

Celem przeprowadzenia dyskusji nad doniosłymi kwestiami, częściowo wkraczającymi w dziedzinę filozofii, które postawiła przed myślą naukową mechanika kwantowa, odbyła się w r. 1938, pod auspicjami Komisji Międzynarodowej Współpracy Umysłowej przy Lidze Narodów, konferencja w Warszawie, której miałem zaszczyt przewodniczyć. Wzięli w niej udział wybitni fizycy-teoretycy, z Nielsem Bohrem na czele; niektórzy spośród zaproszonych nie mogli przybyć z powodu już wówczas zawikłanej sytuacji politycznej.

Zjazdy lub konferencje nie rozstrzygają wielkich zagadnień naukowych, dostarczają wszakże nieocenionych podniet i drogowskazów dla pracy badawczej. To zadanie konferencja warszawska z pewnością spełniła.

Przegląd zdobyczy naukowych związanych z istotą materii nie byłby zupełny, gdybyśmy nie dotknęli, choćby w kilku słowach, zjawiska promieni kosmicznych. Najczulszej metody do wykrywania niewidzialnych promieniowań rozmaitego rodzaju dostarcza jonizowanie przez nie gazów. Przez jonizację rozumiemy wytwarzanie w gazie jonów, to znaczy cząstek naelektryzowanych, co się odbywa w ten sposób, że, pod wpływem tych lub innych promieni, od cząsteczek lub atomów chemicznych odszczepiają się elektrony. Pozbawiona elektronu cząsteczka staje się jonem dodatnim, wyswobodzony

zaś elektron przyłącza się do neutralnej cząsteczki gazu, tworząc jon ujemny. — Rutherford i Mc Lennan skonstatowali istnienie słabej jonizacji gazu w grubościennych zamkniętych naczyniach metalowych, po wyłączeniu wpływu substancji promieniotwórczych obecnych w ziemi i w atmosferze. Na tej podstawie wypowiedzieli oni domysł istnienia pozaziemskich źródeł promieniowań jonizujących.

Domysł ten znalazł przekonywujące potwierdzenie, gdy fizyk austriacki Hess wzniósł się balonem, wraz z przyrządami do pomiaru jonizacji, na wysokość kilku kilometrów i znalazł, że natężenie promieniowania jonizującego szybko rośnie z wysokością, jak być powinno, jeżeli pochodzenie jego jest pozaziemskie: atmosfera bowiem to promieniowanie w znacznej mierze pochłania. Od tego czasu datuje się nazwa promieniowania kosmicznego. Badanie jego, ze względu na tajemniczość pochodzenia i niezwykłe własności, szczególnie pociągało fizyków, dzięki czemu zebrano materiał doświadczalny nader obfity. Z tego materiału wybierzemy tutaj tylko nieliczne fragmenty.

Wskażę najpierw, że natężenie promieniowania kosmicznego zmiejsza się nieco wraz z szerokością geograficzną, to znaczy w kierunku od biegunów ku równikowi. Stąd wywnioskowano, że to promieniowanie składa się przeważnie z cząstek naelektryzowanych, prawdopodobnie z elektronów i pozitronów, w polu bowiem magnetycznym ziemi cząstki naelektryzowane, przybywające z przestrzeni wszechświata, powinny kierować się, na mocy praw elektrodynamiki, ku biegunom magnetycznym ziemskim, które znajdują się niedaleko od biegunów geograficznych: tym się tłumaczy mniejsze natężenie promieniowania w szerokościach niższych.

Najbardziej charakterystyczną cechą promieniowania kosmicznego jest jego niezmierna przenikliwość. Promień kosmiczny jest zdolny do przejścia przez całą grubość atmosfery ziemskiej i ponadto przez warstwę wody do 600 metrów głębokości. Tę przenikliwość zawdzięcza on niezwykle wielkiej energii. Ażeby dać o niej pojęcie, zwróćmy się znów do zwykłej reakcji chemicznej takiej, jak np. palenie się węgla; energia cieplna wydzielająca się w tej reakcji i odniesiona do jednego atomu węgla wynosi około 2 elektrono-woltów (elektronowolt jest to jednostka energii używana przez fizyków w zastosowaniu do świata atomowego, równa energii, jakiej nabywa elektron w ruchu pod działaniem różnicy napięć równej jednemu woltowi). Energia reakcji jądrowej, której

przykładem i miarą może być energia cząstki *alpha* wysyłanej przez atom promieniotwórczy jest rzędu kilku milionów elektronowoltów. Otóż wśród promieni, ściślej cząstek kosmicznych spotykamy takie, których energia jest jeszcze milion razy większa. Energia całkowita promieniowania kosmicznego jest mniej więcej równa energii promieniowania wszystkich gwiazd, z wyłączeniem słońca. Skonstatowano, iż pada ono na powierzchmię ziemską równomiernie ze wszystkich stron.

Pochodzenie promieni kosmicznych pozostaje całkowicie niewyjaśnione, pomimo rozmaitych prób odgadnięcia jego, z których żadna nie jest przekonywująca. — Nie możemy tu rozpatrywać rozmaitych i skomplikowanych oddziaływań promieni kosmicznych na materię. Wspomnimy tylko jeszcze, że jednym ze skutków tego oddziaływania jest pojawienie się nowych cząstek o wielkiej przenikliwości, które mają nabój elementarny ujemny, masę zaś mniej więcej 160 razy większą od masy elektronu. Te cząstki nazywają się mezotronami lub mezonami i grają obecnie ważną rolę w teorii jądra. Mezotron jest nietrwały i rozpada się na zwykły elektron i hipotetyczną cząstkę neutralną, tak zwane neutrino.

Skończyłem ten filmowy przegląd materiałów, jakich fizyka dostarczyła w ciągu ubiegłego półwieku do dyskusji na temat. czym jest materia.

Z naszego przedstawienia rzeczy narzuca się, ponad wszelką wątpliwość, wniosek negatywny, że materia, z punktu widzenia naukowego, jest czymś całkiem odmiennym od tego wyobrażenia, jakie o materii wytworzył zdrowy rozsądek na podstawie codziennego doświadczenia oraz wytworzyła nauka do końca XIX-go wieku na podstawie doświadczeń nad dostępnymi zmysłom własnościami materii.

Co się tyczy wniosków pozytywnych, to możemy wskazać na sprowadzenie wszystkich tak różnorodnych rodzajów materii, jakie daje zwykła obserwacja i w naukowej klasyfikacji chemia, do kilku składników elementarnych. Można nawet mówić o pramaterii, którą byłby nukleon, występujący, jak widzieliśmy, w postaciach protonu i neutronu, przy czym elektron grałby rolę cząstki pochodnej.

Głębszemu wniknięciu w istotę materii stoi na przeszkodzie ów wyżej uwydatniony dualizm korpuskularnych i falowych jej własności, którego konkretnej interpretacji nie posiadamy.

Indeterminizm zjawisk atomowych nasunął analogię ze swobodą woli, naczelnym zagadnieniem psychologii. Zbyt

jednak głęboka różnica pojęciowa dzieli zjawiska psychiczne od zjawisk materialnych, ażeby ta analogia mogła być naukowo uzasadniona.

W bliższe zetknięcie fizyka współczesna zdaje się wchodzić z biologią, ale rozważania na temat tego stosunku mogłyby stanowić przedmiot osobnego artykułu. Na razie w tej dziedzinie nie wychodzimy poza hipotezy, wprawdzie interesujące, ale niedostatecznie ugruntowane.

W artykule niniejszym starałem się przedstawić utrwalone w nauce i niesporne wiadomości o materii, zdobyte za pomocą badań świata atomowego.

Warszawa, 30. X. 1945.

Władysław Tatarkiewicz

TERAŹNIEJSZOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ

Praesens tempus brevissimum est,
adeo quidam ut nullum videatur.
Seneca. — De brevitate vitae.

Zadowolenie z całości życia jest zadowoleniem nie tylko z tego, co jest, ale także z tego, co było i co będzie; nie tylko z teraźniejszości, ale także z przeszłości i przyszłości. Do poczucia szczęścia potrzebny jest zatem nie tylko dodatni stan obecny, ale także dodatnia ocena przeszłości i dodatnie widoki na przyszłość. Wielość ta jest dla szczęścia istotna. Chwila obecna, nawet najprzyjemniejsza, nie może zapewnić szczęścia istocie myślącej, pamiętającej przeszłość i niepokojącej się przyszłością. Nie tylko rzeczy istniejące aktualnie i działające bezpośrednio na jednostkę stanowią o jej szczęściu, ale także rzeczy, które już nie istnieją i jeszcze nie istnieją. Szczęście ma, z natury rzeczy elementy retrospektywne i prospektywne.

Trzy chronologiczne składniki szczęścia, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, nie występują w poczuciu szczęścia izolowane: działają na siebie wzajem i działają łącznie, by wspólnie wytworzyć to poczucie. Radosna *teraźniejszość* nie tylko cieszy sama, ale rzuca swe światło na niepewną jeszcze przyszłość, a nawet na dokonaną już przeszłość; w chwili, gdy doznaje się radości, bóle minione widzi się przez szkła zmniejszające, a minione radości przez powiększające. Gdy teraźniejszość zmieni się na gorsze, od razu gorszą wydać się może przeszłość i przyszłość. Tak samo pomyślne i niepomyślne doświadczenia *przeszłości* nie tylko są przyjemne i przykre same przez się, ale zarazem stanowią podstawę do presumpcji dodatniej lub ujemnej dla teraźniejszości i przyszłości: zabarwiają na różowo lub na czarno nie tylko nieznaną przyszłość, ale też znaną teraźniejszość. Co więcej, nawet *przyszłość*, zanim jeszcze przyszła, zabarwia — przynajmniej ludziom o pewnym typie psychicznym — ich realną przeszłość i teraźniejszość; chwila obecna rozjaśnia się nieraz w świetle swych marzeń o przyszłości, a kiedy indziej troska o przyszłość nie pozwalą się chwilą obecną cieszyć. Wszystko to

jest naturalne, gdyż każdą rzeczywistość można apercypować jako lepszą i gorszą zależnie od postawy, jaką się wobec niej zajmuje.

Pomimo wzajemnego oddziaływania tych trzech czynników szczęścia, każdy z nich ma jednak w szczęściu ludzkim swą odrębną pozycję. I pozycja ta jest nierówną. W potocznym mniemaniu nieporównanie najważniejsza jest teraźniejszość, bo ona jedna istnieje realnie. „Ce qui n'est plus ne fut jamais", jak powiada francuski wiersz. Co minęło, tego już nie ma, ani też nie ma tego, co dopiero ma być. Zapewne, — a jednak mniemanie, że teraźniejszość najwięcej stanowi o szczęściu jest fałszywe. Naturalnie, istnieje aktualnie tylko teraźniejszość i odczuwamy jedynie teraźniejsze uczucia — nic nie jest pewniejsze ponad to — ale uczucia teraźniejsze są wywoływane nie tylko przez rzeczy teraźniejsze. Doznania minione i oczekiwane wywołują — w istotach posiadających pamięć i wyobraźnię — uczucia teraźniejsze, a przez to rzeczy, których już nie ma albo jeszcze nie ma, wpływają na szczęście i nieszczęście ludzkie. Jeżeli doznajemy w chwili obecnej zadowolenia, to jest zadowolenie aktualne i realne, ale niekoniecznie aktualne i realne zadowolenie jest zadowoleniem z rzeczy aktualnie i realnie istniejących.

A. Rzeczy t e r a ź n i e j s z e mają właśnie stosunkowo mały udział w szczęściu. Są wprawdzie obecne i przez to doznawane bezpośrednio, a skoro bezpośrednio, to i silniej. Ale za to jest ich nieporównanie mniej niż rzeczy nieobecnych, o których człowiek pamięta i których się spodziewa. Teraźniejszość jest realna, ale krótka. Powiada o niej Seneca w „De brevitate vitae", iż jest tak krótka, że niektórym wydaje się, jak gdyby jej wcale nie było. „Ante desinit esse, quam venit".

Naturalnie zachodzą tu znaczne różnice między ludźmi: chwila teraźniejsza znaczy dla jednych mniej, dla drugich więcej w bilansie szczęścia. Dziecko ma jeszcze niewiele wspomnień, żyje przeto tym, co mu daje chwila obecna; obecna przyjemność i obecne cierpienie decydują o jego ogólnym samopoczuciu, o zadowoleniu i niezadowoleniu z życia. Ale inaczej jest u ludzi dorosłych: tylko bardzo intensywne rozkosze i cierpienia zdolne są skupić całą ich świadomość na teraźniejszości.

1. Rzadko świadomość nasza pochłonięta jest całkowicie przez teraźniejszość: żyjemy również, a nawet więcej jeszcze wyobraźnią i pamięcią, oczekiwaniem i wspomnieniem. Skoro zaś więcej nimi żyjemy, to i przyjemności i przykrości, jakie

nam niosą, grają większą rolę w naszym ogólnym zadowoleniu i niezadowoleniu, w szczęściu i nieszczęściu.

2. W razie konfliktu teraźniejszości z przeszłością czy przyszłością bynajmniej nie zawsze teraźniejszość ma przewagę. Wprawdzie silny ból zagłuszy najmilsze wspomienia i najpiękniejsze oczekiwania, ale także niełatwo jest człowiekowi, którego niedawno spotkał cios albo którego gryzie niepokój o przyszłość, znaleźć rozrywkę, niełatwo mu o taką aktualną przyjemność, którąby zmieniła kierunek jego myśli, oderwała ją od wspomnień i niepokojów. Najlepsze przedstawienie go nie obchodzi, najwyszukańsze dania nie smakują.

3. Przyjemności i przykrości, które mamy za teraźniejsze, nie zawsze są czysto teraźniejszego pochodzenia: wpływa na nie wczorajszy wypoczynek czy zmęczenie, wczorajsze powodzenie czy zawód. Te wczorajsze zdarzenia wypowiadają się w dzisiejszych przyjemnościach. Nawet gdy przedmiot uczuć należy do teraźniejszości, to źrodła ich mogą być w przeszłości. Głos czy zapach, który nas dziś cieszy, cieszy nieraz dlatego, iż przypomina to, cośmy dawniej przeżyli.

4. Niekiedy wydaje się, że przyjemności terąźniejsze wystarczają same, że same już dają pełne zadowolenie. Jednakże one dają je wtedy tylko, gdy nie dolega przeszłość i przyszłość. Takie w najpełniejszym słowa znaczeniu teraźniejsze przyjemności, jak nasycenie głodu, smaczne jadło i dobry napój, istotnie wytwarzają nieraz stan zadowolenia. Ale, aby go wytworzyły, na to trzeba nie tylko zdrowego żołądka, lecz i głowy wolnej od trosk i niepokojów.

Mówi się nieraz, że praca daje człowiekowi szczęście. Ale przeważnie jest ona połączona z wysiłkiem, zmęczeniem, walką, nieraz wręcz z cierpieniem. Jeżeli więc uszczęśliwia to nie przez przyjemności czerpane z teraźniejszości, lecz pamięć i oczekiwanie nie przez samą pracę, lecz przez jej wyniki osiągnięte lub spodziewane.

5. Oczywiście nikt nie może twierdzić, że teraźniejszość jest dla szczęścia obojętna. Wszak z chwil teraźniejszych, uciekających, oddzielnie nieuchwytnych wyrasta cały zapas doświadczeń życiowych człowieka, materiał dla jego radości i smutków, szczęścia i nieszczęścia. Trzeba wszakże odróżniać: teraźniejszość, jako przedmiot zadowoleń teraźniejszych i jako materiał dla zadowoleń przyszłych. Dla niektórych ludzi jest ona tylko tym materiałem na przyszłość, bo bezpośrednio nie mogą się nią cieszyć; ich realne życie układa się źle, dobrem stanie się dopiero we wspomnieniu. Może nawet zdarzyć się

życie, w którym chwile obecne dawały tylko cierpienia, a które mimo to było życiem szczęśliwym — jak życie pionierów, którym trudności obecne wynagradzała myśl o przyszłych radościach.

Chwile obecne nie są naturalnie obojętne dla szczęścia. Ale znaczenie ich jest mniejsze, niż się sądzi potocznie. Jest zależne od usposobienia i losów jednostki: i jeżeli dla niektórych jednostek jest nawet dość duże, to dla innych jest bardzo małe. A nic może nie przyczynia się tak bardzo do szczęścia, jak poczucie, że *teraźniejszość* właśnie *nie jest ważna*, że życie się dopiero zacznie i wszystko dobre i ważne jest jeszcze przed nami. Przy takim nastawieniu nieuniknione niedoskonałości, jakie teraźniejszość w sobie zawiera, tracą na znaczeniu i przestają być przeszkodą w szczęściu.

B. Nic nie jest pewniejsze od udziału *przeszłości* człowieka w jego szczęściu i nieszczęściu. Pamięć tego, co było, idzie za nim i zapełnia część jego świadomości. Po wtóre, w przeszłości formowały się jego wyobrażenia i sądy: przeszłość uczyniła, że są pogodne czy posępne, ufne czy nieufne. I po trzecie: uformowane w przeszłości wyobrażenia i sądy stanowią „masę apercepcyjną", wedle której człowiek ujmuje i ocenia teraźniejszość. Każdą zaś bez mała teraźniejszość można ująć jako bardziej dodatnią czy bardziej ujemną, a w zależności od tego odczuć radośnie lub boleśnie. Dwu ludzi dostaje bólu głowy; jeden wie z doświadczenia, że poboli i przejdzie. dlatego też niewiele sobie z bólu robi i mniej go odczuwa; drugi pamięta że tak zaczynają się ciężkie i przewlekłe choroby, nie może oderwać zalęknionej myśli od swego cierpienia i grożącej mu choroby, i potęguje ten ból.

Stąd wnioski: 1. Udział przeszłości w szczęściu i nieszczęściu polega nie tylko na tym, że jest ona *przedmiotem* zadowolenia i niezadowolenia; w części też i na tym, że jest *przyczyną* zadowolenia i niezadowolenia z teraźniejszości. W pierwszym wypadku cieszymy się przeszłością świadomie, w drugim zaś możemy wcale nie zdawać sobie sprawy z tego, że uciechę zawdzięczamy przeszłości. Przeto dwojaki jest jej wpływ na szczęście: świadomy i nieświadomy.

2. Zadowolenie z przeszłości nie jest jednakże niezbędnym warunkiem szczęścia: ludzie bywają szczęśliwi, nie będąc ze swej przeszłości zadowoleni. I zdarza się nawet, że są zadowoleni przez nią, choć nie z niej. Właśnie wyzwolenie się ze złej przeszłości, z której nie można było być zadowolonym

wzmaga radość z dobrej teraźniejszości. W takich wypadkach właśnie niezadowolenie z przeszłości wpływa na zadowolenie z teraźniejszości, a przez nie na zadowolenie z życia w ogóle.

3. Jeżeli wyobrażenia nasze mogą deformować obraz teraźniejszości to tym bardziej i obraz przeszłości. Wszak przeszłość jest już tylko obrazem, obrazy zaś jest łatwiej przekształcać niż spostrzeżenia. Jak scena oświetlona różnymi reflektorami, tak też obraz przeszłości może z różowego od razu stać się szarym i posępnym, w zależności od nastroju, w jakim się znajdujemy. Ocena emocjonalna przeszłości w większym jeszcze stopniu niż ocena teraźniejszości może się opierać na jej deformacji. I przez to o szczęściu naszym i nieszczęściu decyduje nie tylko prawdziwa przeszłość, ale niekiedy i wyfantazjowana, której naprawdę nigdy nie było. Deformacja bywa tu zresztą na ogół — sprzymierzeńcem szczęścia. Iluż jest tych, co idealizują „le bon vieux temps" i żyją w atmosferze minionego szczęścia, którego — nie było. Ale znów nieraz — tak splatają się rzeczy w świadomości ludzkiej — ludzie nie cieszą się wcale owym rzekomym szczęściem, lecz, przeciwnie, smucą się, że rzekomo minęło; mierząc zaś teraźniejszość miarą szczęśliwej jakoby przeszłości, widzą teraźniejszość gorszą niż jest; i wtedy z powodu rzekomo złej teraźniejszości cierpią więcej niż cieszą się z powodu rzekomo dobrej przeszłości.

4. Udział przeszłości w szczęściu nie jest stały. Dobre wspomnienie może być niekiedy milsze niż dobra teraźniejszość, „un souvenir heureux est peut-être sur terre plus vrai que le bonheur", jak pisał Musset. Ale także — w myśl Dantego — największym cierpieniem może być wspominanie szczęśliwych czasów. A podobnie jest i z nieszczęściem: są cierpienia pozostawiające ranę, która się nie goi i odnawia za każdym przypomnieniem. A kiedy indziej jest właśnie inaczej: „Im się więcej cierpi, tym wspominać słodziej", jak pisał Wacław Potocki w Argenidzie. Co dobra i zła przeszłość mogą dla szczęścia, to zależy właśnie nie tylko od nich, ale także od tego, czy teraźniejszość jest dobra i czy dobre są widoki na przyszłość.

5. Wartość, jaką przypisujemy przeszłości, bywa często zupełnie różna od tej, jaką miała dla nas wówczas, gdy była teraźniejszością: Świadczy o tym tak sławna w starożytności rozmowa Krezusa z Solonem o szczęściu: Krezus życie swe, póki było teraźniejszością uważał za szczęśliwe, natomiast gdy umierał i życie było już poza nim — stało się już przeszłością,

nie mógł dopatrzeć się w nim szczęścia. Częściej jednak dzieje się odwrotnie: że ludzie zdają sobie sprawę ze swego szczęścia dopiero wówczas, gdy minęło. Przytem sąd o szczęściu minionym jedni odczuwają jako najbardziej pewny, inni zaś właśnie jako mniej pewny, niż sąd o szczęściu teraźniejszym: pewny — bo pamięć jest bezstronna, a niepewny — bo nie jest wierna.

6. Przeszłość zdaje się mieć tę szczególną własność, że — jakakolwiek jest, dobra czy zła — częściej i więcej przyczynia się do szczęścia niż do nieszczęścia. Ma ta własność związek z tym, co nazwano „optymistyczną tendencją pamięci". Tendencja ta występuje w dwu postaciach. Najpierw, pamięć częściej pomija przeżycia przykre, a zachowuje przyjemne, działa jakby celowo, przeprowadza selekcję wspomnień oddziaływujących dodatnio na psychikę. I przeżycia przyjemne na skutek częstszego wspominania co raz mocniej utrwalają się w pamięci. Po wtóre zaś pamięć przestawia znaki uczuciowe z ujemnych na dodatnie: zdarza się, że tym, co niegdyś boleśnie przeżyliśmy i opłakiwaliśmy w dzieciństwie, cieszymy się w latach późniejszych jako przyjemnym wspomnieniem.

A wreszcie: 7. W teraźniejszości ulegamy tysiącom bodźców, z których jedne są przyjemne, a inne przykre, i wskutek tej mnogości i różnorodności trudno nam nieraz ze stanowczością orzec, czy teraźniejszość jest szczęśliwa czy nie. Częściej mieni się różnymi światłami, niżli utrzymuje w jednym świetle. A gdy wydaje się nam szczęśliwa, to nieraz lękamy się innym, a nawet sobie samym przyznać się do tego; lękamy się by przedwcześnie nie nazwać siebie szczęśliwymi.

Gdy tedy teraźniejszość jest niewyraźna, to znów przyszłość jest niepewna, zawsze można się jej lękać. Inaczej jest natomiast z przeszłością: nie jest ani niewyraźna ani niepewna. Już minęła, więc nie potrzebujemy jej się obawiać i możemy już orzec, czy była szczęśliwa czy nie. A inna rzecz, że orzeczenie to z czasem może ulegać przemianom; bo gdy się sami zmieniamy, to wraz z nami przemienia się nasz obraz własnej przeszłości. I w miarę jak odchodzimy od niej, może stawać się dla nas mniej czy więcej szczęśliwą. Jednakże w niej jednej — w przeciwieństwie do teraźniejszości i przyszłości — możemy widzieć szczęście już bez wahań, a także bez niepokoju. I w tym sensie rozumieć można dziwne zdanie Guyau, które szczęście a tak samo i nieszczęście ogranicza do przeszłości: „Szczęście i nieszczęście to już właśnie przeszłość, to znaczy coś, co już nie może być".

C. P r z y s z ł o ś ć — choć nie ma jej jeszcze — wpływa już na poczucie szczęścia i ocenę życia, wpływa nie mniej niż teraźniejszość i przeszłość. Nie są rzadkie wypadki gdy ona i bez mała tylko ona decyduje o tym poczuciu. Przeszłość? Wielu ludzi powiada: „co było a nie jest, nie pisze się w rejestr". Pozostaje tylko teraźniejszość i przyszłość. „Aut praesentibus torquemur aut futuris", jak pisał Seneka, eliminując przeszłość z rachunku szczęścia. Ale teraźniejszość? Wszak jest tylko chwilą, a chwilę nawet najgorszą przetrzymam. Przetrzymam bylem wiedział, że b ę d z i e lepiej. Tak odczuwa to wielu ludzi. Świadomie czy nie, wiążą oni swe szczęście wyłącznie z przyszłością, mierzą je miarą tego czego jeszcze nie ma, a może nigdy nie będzie. Oni tę przyszłość już przeżywają z góry, widzą ją jako dobrą czy złą i jako dobrą czy złą odczuwają. Zapewne zależy to od usposobienia: jedni żyją chwilą lub żyją retrospektywnie, ale inni żyją prospektywnie. O ich szczęściu decyduje ufność w przyszłość, choćby była złudną, a o nieszczęściu nieufność, choćby była nieuzasadniona. Inna rzecz, że ich ufność czy nieufność często ma źródło w tem, co przeżyli w przeszłości lub co teraz przeżywają. Jednakże ma takie źródło nie zawsze: są niepoprawni optymiści, tak samo jak niepoprawni pesymiści, przewidujący przyszłość w b r e w temu, czego nauczyła ich przeszłość i czego uczy teraźniejszość.

Lęk przed bólem dokucza nieraz więcej niż ból, a perspektywa zabawy cieszy więcej niż sama zabawa. Wyobraźnia bowiem retuszuje rzeczywistość, wzmacnia barwy; życie najczęściej jest szare, bo złożone z barw zarówno jasnych jak ciemnych, ale wyobraźnia je albo wybiela, albo wyczernia.

Nie lękamy się przeszłości, skoro już minęła, i często ją chwalimy, choć była zła. Teraźniejszości też się nie lękamy, bo wiemy, że niebawem minie, wszak samo jej istnienie nie jest niczym innym, jak zapadaniem się w przeszłość. Zato przyszłość całym swym ciężarem leży na naszej świadomości. I dlatego oczekiwanie zła i dobra znaczy dla nieszczęścia więcej, niż ich doznawanie i wspominanie. Przeszłość i teraźniejszość, lepsza czy gorsza, mniej stanowią o szczęściu i nieszczęściu niż p e r s p e k t y w y n a p r z y s z ł o ś ć.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość wpływają na to, jak przeżywamy kolejne chwile naszego życia, i każda z nich ma swój udział w zadowoleniu czy niezadowoleniu, jakie z tych chwil wynosimy i zespalamy w ostateczne zadowolenie czy niezadowolenie z całości życia. Każda ma w tym udział inny,

ale udziały ich splatają się ze sobą. Przeszłość zachowana w pamięci wpływa na odczuwanie teraźniejszości i przyszłości. Chwilę obecną nie tylko przeżywamy bezpośrednio, ale przez jej pryzmat widzimy również przeszłość i przyszłość. A tak samo przyszłość, zanim jeszcze przyszła, wpływa także na to, jak odczuwamy przeszłość i teraźniejszość. Oczekiwanie dobrej przyszłości pozwala zapomnieć o złej przeszłości i godzi ze złą teraźniejszością, a obawa złej przyszłości może zatrzeć wszystko dobre, co się dotąd przeżyło.

A rzeczywista przeszłość, rzeczywista teraźniejszość i rzeczywista przyszłość, nawet razem wzięte, nie decydują jeszcze o szczęściu i nieszczęściu. Obok nich bowiem działają: przeszłość, jakiej nie było (ale taka, jaką my widzimy w perspektywie czasu), a również teraźniejszość jakiej nie ma i przyszłość jakiej nie będzie. Gdyż w szczęściu i nieszczęściu chodzi nie tylko o to, co było, jest i będzie naprawdę lecz o to, co my sobie wyobrażamy i odczuwamy.

Z tych chronologicznych rozważań nad szczęściem wynikają między innymi dwie rzeczy. Po pierwsze, że na tle wzajemnego oddziaływania przeszłości, teraźniejszości i przyszłości wytwarzają się deformacje rzeczywistości, wpływające na poczucie szczęścia. Deformacje te rzadko stwarzają całkowite fikcje, często natomiast, zmieniają perspektywiczny obraz rzeczy. Są to tylko złudzenia w lokalizacji, dokładniej mówiąc: w lokalizacji w czasie przyczyn zadowolenia i niezadowolenia. Chwalimy bowiem i ganimy teraźniejszość za to, co pochodzi z przeszłości, i odwrotnie.

Po drugie zaś, wynika z tych rozważań: że bezpośrednie doznawanie teraźniejszego dobra i zła jest tylko cząstką szczęścia i nieszczęścia, i to bynajmniej nie najważniejszą. Wspomnienie i zwłaszcza oczekiwanie znaczą tyleż i więcej. Wyobrażenie znaczy nieraz tyleż i więcej niż wrażenie, oczekiwanie tyleż i więcej niż chwila obecna z całą jej realnością. A przez to o szczęściu stanowią również rzeczy, których nigdy nie było i których nigdy nie będzie. Stanowią o nim realne sprawy życia, doznane na własnej skórze, ale nierealne stanowią także. Jeśli w chwilowej przyjemności i przykrości odbijają się przeszłość i przyszłość, to tym bardziej w szczęściu, które jest stosunkiem do całości życia.

Z tym wiąże się w szczęściu przewaga czynników psychicznych nad fizycznymi. Nastawienie psychiczne uśmierza ból i potęguje radość. Nie potrzeba było Couégo, by wiedzieć, że wolą i zabiegami czysto psychicznymi można opanować cier-

pienie i wzbudzać radość życia. Już Marek Aureliusz radził: „Pamiętaj przy każdym zdarzeniu, które cię do smutku przywodzi, o zasadzie: to nie jest nieszczęście". Wołodyjowski mówił „nic to", by dodać sobie hartu. Siła czynników psychicznych polega na tym, iż obejmują przeszłość i przyszłość, podczas gdy czynniki fizyczne nie sięgają poza teraźniejszość. We wrażeniach mogą korzystać z tego tylko, co jest, a w wyobrażeniach również z tego, co było i będzie. I Epikur, który jak mało kto znał się na przyjemnościach życia, mimo wszystkie swe materializmy i sensualizmy przypisywał wyższość przyjemnościom psychicznym nad fizycznymi.

W tym wszystkim najbardziej szczególną rzeczą wydać się może tak bardzo ograniczony udział teraźniejszości w szczęściu i nieszczęściu. Wynik ten, niezgodny z potocznym poglądem, wyjaśnia się jednak dość łatwo: trzeba tylko pamiętać o tym, że pojęcie teraźniejszości jest używane dwuznacznie.

Oto do teraźniejszości należy w jednym rozumieniu to co w danej chwili przeżywam. Natomiast w drugim rozumieniu należy to wszystko, co w danej chwili istnieje. Nie wszystko zaś przeżywam od razu w chwili, w której istnieję. Wiele z tego już przeżyłem poprzednio i przeżyję dopiero później. Może nieraz upłynąć sporo czasu, zanim to, co się w tej chwili dzieje, dojdzie do mej wiadomości. Co wówczas istniało, mogło już tymczasem przestać istnieć. Nie potrzeba na to nawet stosunków astronomicznych, gdzie słońce widzimy takim jakim było przed 8 minutami, najbliższą gwiazdę, jaką była przed 4 laty, a dalekie mgławice, jakimi były przed setkami milionów lat.

Teraźniejsze zdarzenia przemijają w chwili, w której się dokonały, ale w przeżyciach naszych trwają dłużej. Przeżywamy je przeważnie nie przez jedną chwilę, lecz przez jakiś okres czasu, który może być krótszy czy dłuższy. Los na loterii pada w jednej chwili, ale ten, na kogo padł, będzie się nim cieszyć, póki nie straci tego, co wygrał. A i odwrotnie: teraźniejsze przeżycia przemijają nieraz w jednej chwili, a rzeczy, które je spowodowały, trwają dalej. Czyli to, co w rzeczywistości trwa chwilę, rozkłada się w naszym przeżyciu na cały okres czasu, a znów to, co przeżywaliśmy przez chwilę, trwa nieraz w rzeczywistości przez cały długi okres.

Najczęściej bywa tak, że układ warunków, jaki istnieje w teraźniejszej chwili, istniał już w chwilach, które je bezpośrednio poprzedziły, i istnieć będzie w tych, które przyjdą bezpośrednio po niej. Daje nam to podstawę, by te chwile

poprzedzające ją i następujące po niej łączyć z chwilą teraźniejszą, by włączać je do teraźniejszości. I tak rzeczywiście robimy. A wtedy *teraźniejszość* przestaje być *chwilą* i staje się *okresem*. Jest mianowicie okresem, w którym trwa ten sam układ warunków, co w teraźniejszej chwili. Jest *okresem otaczającym z obu stron chwilę przeżywaną*.

Okres ten idzie wraz z naszym życiem, posuwa się z nim naprzód. A przytem posuwając się naprzód, przesuwa się i przekształca. Nie obejmuje stałej ilości dni, miesięcy czy lat; zwęża się do niewielu dni, to rozszerza daleko w przyszłość i przeszłość, raz rozszerza się więcej na przeszłość, to znów na przyszłość. W dniu, w którym zaczynamy nowy okres życia, dzień wczorajszy jest już nam przeszłością; gdy natomiast stajemy wobec zmienionych a nieznanych nam warunków, to nasza teraźniejszość kończy się w dniu dzisiejszym, a jutrzejszy należy już do nieznanej przyszłości.

To pojmowanie teraźniejszości jako rozciągniętej w czasie jest jej normalnym pojmowaniem przez myśl potoczną. A jeśli tak ją pojmować, to czas nie dzieli się już na dwa okresy — przeszłość i przyszłość — oddzielone od siebie, niby linią, chwilą teraźniejszą; lecz dzieli się na trzy równorzędne okresy. In tria tempora — jak pisał Seneka — vita dividitur: quod est quod fuit et quod futurum est.

Udział tak pojętego okresu teraźnieszego jest w szczęściu i nieszczęściu ludzkim naturalnie inny, niż udział samej tylko chwili teraźniejszej. Udział chwili jest nikły: jest ona więcej materiałem niż przedmiotem zadowolenia. Natomiast udział okresu teraźniejszego jest rozległy. O tej teraźniejszości nie można już powiedzieć że minęła, zanim zdążyliśmy ją sobie uświadomić. Ona nie jest już tylko każdą ostatnią chwilą przeszłości czy każdą pierwszą chwilą przyszłości. Należy do niej wczoraj i jutro, bliska przeszłość i bliska przyszłość. Nie jest już samym tylko materiałem szczęścia, jest jego przedmiotem. Kto jest z niej zadowolony, ten ma już dużą część tego, co potrzebne do zadowolenia z całości życia. Ogromną wiekszość ludzi przeszłość *dawniejsza* nie grzeje ani nie ziębi, ale przeszłość bliska, wczorajsze bóle i radości, tak samo cieszą i bolą jak dzisiejsze. Większość ludzi nie myśli też o *dalekiej* przyszłości, natomiast jutro jest dla nich nie tylko równie ważne, ale ważniejsze niż dzień dzisiejszy.

Mieczysław Milbrandt[1]
(1915—1944)

TRZY SZKICE

Arystoteles i Kaznodzieja Salomonowy

Arystoteles widział źródło filozofii w zdziwieniu. Filozofia byłaby więc przedłużonym okrzykiem zdumionego dziecka, które ujrzało świat poraz pierwszy i chce z innymi podzielić się radosnym faktem. Filozofować — to wyrażać zdziwienie dorosłe do głębi i tajemnicy świata i które zostało ujęte w znaki. Jednakże Kaznodzieja Salomonowy gdzieindziej szukał genezy teoretycznej aktywności człowieka. „I przyłożyłem do tego serce swe, abym szukał i doszedł mądrością swą wszystkiego co się dzieje pod niebem. (Tę zabawę trudną dał Bóg synom ludzkim, aby się nią trapili)". Pan Jingle w „Klubie Pickwicka" stanowczo stoi po stronie Ekklezjasty, zaliczając filozofów do ludzi „nie mających nic do roboty i jeszcze mniej do zarobienia"; i jest w tym bardzo współczesny. Gdyby jego myśl pozbawić uroku słów Dickensowskich ludzi nie z tego świata, starczyłoby na dobrą formułę dla współczesnej niechęci względem filozofii. Znajdujemy w niej trochę zabawy i dużo melancholijnego i beznadziejnego wysiłku; wszystko przeznaczone dla nielicznych, którzy wymyślają odpowiedzi, a nawet tworzą całe systemy na pytania, które nikomu do głowy nie przychodzą. I oto alternatywa: albo konieczność wyrosła i związana z życiem, albo zabawa poza rzeczywistością i układaniem myśli w zawiłe szarady.

Cywilizacja usunęła zdziwienie filozoficzne, pozostawiając filozofię jako dziwaczny twór bez sensu; coś w rodzaju banku w ustroju bezpieniężnym. Wytwory cywilizacji stanęły w postaci wymyślonego i sztucznego świata pomiędzy człowiekiem a rzeczywistością, przez co zabiły bezpośrednie uczucie obco-

[1] Mieczysław Milbrandt (ur. 2 lutego 1915 w Łodzi, poległy w szturmie na Sejm w Warszawie 8 sierpnia 1944), wychowanek i (od 1938) asystent przy katedrze filozofii ścisłej Uniw. Warszawskiego, czasu wojny wykładający historię filozofii na kompletach podziemnych, napisał zaginioną pracę o etyce współczesnej i kilka rzeczy pomniejszych, z których uratowały się jedynie ogłoszone tu szkice.

wania istoty ludzkiej z otoczeniem. Żyjemy w mieście a nie w świecie, chodzimy po asfalcie a nie po ziemi. Żelbeton, kolejka podziemna, aeroplan i radio odgrodziły nas od świata, tworząc nasz dom wśród obcego żywiołu, ale przez to wielką przygodę zamieniliśmy na nudną wycieckę z Bedeckerem.

Zdziwienie filozoficzne jest faktem naturalnym jak wschód słońca, oddychanie i zwężenie źrenicy pod wpływem światła; jest bardzo zbliżone do bólu, który nie tylko „poetom i kurom gdakać każe" ale i filozofom myśleć. Jego widocznym kształtem jest problem. Dla pewnych oczu zjawiska układają się w znak zapytania. Zagadnienie filozoficzne nie jest sztucznie włączone w życie, jak secesyjny budynek w krajobraz wiejski. Jest to wiejska chata przytulona do topól. Życie jest problemem. Nie wiadomo ku czemu zdąża i w jakim miejscu się znajduje Początek znikł z oczu, a końca nie można dostrzec; możliwe również, że jest absurdem mówić o początku i krańcu, czyli przenosić na całość to, co widzimy we fragmentach, tłumaczyć zatem budowę statku za pomocą opisu żagli. A przytem jeszcze jedna trudność. Kto chce dobrze postawić pytanie, musi już coś wiedzieć. Nie znamy istoty świata, możliwe więc, że zadano dotychczas tysiące fałszywych pytań, ale nie zostały one wymyślone; wyrosły ze świata i człowieka, więc mają tyle rzeczywistości, ile świat i człowiek.

W świecie cywilizacji panuje natomiast ciekawość. Ciekawi nas kiedy samolot osiągnie tysiąc kilometrów na godzinę i jaka jest budowa telewizora. Ciekawość, jako produkt cywilizacji, można wytworzyć sztucznie: czytając powieść sensacyjną, albo na seansie spirytystycznym. Przypominają się słowa Kanta: „Że wola moja porusza ręką moją, nie jest dla mnie bardziej zrozumiałym, niż gdyby mi ktoś powiedział, że wola ta powstrzymać może księżyc w jego biegu, różnica jest tylko ta, że doświadczam pierwszego, drugie zaś nigdy nie było przedmiotem mojej obserwacji."

Problemy filozoficzne nie są ciekawe; nie muskają wyobraźni lekko i bez nadmiernego ekscytowania — są zaborcze. Przypominają raczej morfinę niż czarną kawę; bywały także śmiertelne. Wymagają więcej niż trochę uwagi i zdolności myślenia. Kto nie filozofuje sercem, trzewiami, krwią, rokiem który był, a także następnym dniem, ten najczęściej powtarza słowa bez treści.

W świadomości człowieka współczesnego świat dialogów Platona napewno nie jest tym, w którym istnieje Hollywood.

Nie ma przecież idei aparatu fotograficznego. W świecie naszym monada Leibniza jest niezrozumiałym wymysłem, a absolut Plotyna gadulstwem, które usiłuje osiągnąć rekord w pomyśleniu niemożliwości. Człowiek okazał się nie większy od szabatu.

Mury naszych miast zostały kiedyś zbudowane. Rzeczywistość, w której żyjemy jest wymyślona i zbudowana. Chicago nie jest starsze niż dwa wieki; jakże więc pytać w nim o wieczność świata. Wśród obcego i wrogiego świata cywilizacja zbudowała własny. Pewne rzeczy są w nim ciekawe, ale nie ma niepojętych; wszystko jest znane i określone. Nie ma racji ani Calderon ani Zola, życie nie jest ani snem ani zwierzyńcem; jest hotelem „bezpiecznym jak samolot" — jak mówi pilot w „Nowym wspaniałym świecie"; chyba że „pustoszeje królestwo rozdzielone samo przeciwko sobie". Pochodzenie każdego elementu świata jest jasne, sens mierzy się użytkowością. Ciekawość można zaspokoić opisem.

Czas w świecie ludzkich wytworów podzielił los zegarków; niewidocznie znaczy godziny w rytmicznym biegu, w którym nic się nie dzieje. Jest ten sam dziś co i wczoraj, o ile ma tę samą cyfrę. Pewne zaniepokojenie budzi czas fizjologiczny zmarszczek, starości, a przede wszystkim śmierci. Jest to gość z innego świata. Autentyczny a przez to nieprawdopodobny. Człowiek czuje się obrażony faktem śmierci, ponieważ posiada radio i aeroplan. Śmierci nie można wymyśleć i zrobić z niej użytecznego przedmiotu. Nie można jej również tak zatruć słowami, aby stała się tylko interesująca.

To jednakże, że śmierć — a raczej nieśmiertelność — jest ważnym przedmiotem myśli filozoficznej nie uratowało filozofii od zaliczenia jej do jednej sfery z beletrystyką i kinem jako pewnych użytecznych funkcyj cywilizacyjnych; może dlatego, że wielu filozofów chętniej myśli o życiu, które zawsze warte jest śmierci. Człowiek cywilizowany nie widzi zagadnień, więc nie rozumie rozwiązań; ich sens i wartość leży tylko w pytaniu, z którego się wzięły. Co to znaczy, że istnieje idealny świat, jeżeli żadna część „doskonałego świata" nie zmusza do pomyślenia idealnego bytu.

Drzewo może dać człowiekowi schronienie, pożywić go, nie rzadko dzielić jego samotność; jest istotą pełną niepokojącego życia; ma duszę. Piecyk elektryczny jest beznadziejnie martwy.

Dla wielu ludzi wielkie dziedziny piękna pozostają zamknięte; nie tylko niewidomi nie widzą piękna postaci Botticellego; wielu nie słyszy Chaconny. Piękna nie można nauczyć; można je wskazać. Podobnie wskazać tylko można problemy filozoficzne. Zagadnienie zaczyna się w duszy pytającego, albo nie zaczyna nię nigdy; „tego — pisze w liście Platon — kogo nie łączy z przedmiotem więź pokrewieństwa, nie uczyni widzącym ani łatwość przyswajania wiadomości, ani dobra pamięć."

Prawdy się nie poznaje — żyje się w niej.

Potrójne życie.

Legenda o Prządkach Życia jest smutna; nie dlatego, że jedna z nich przetnie nić. Śmierć przedstawiona w tak lapidarnym skrócie nie ma tragicznej twarzy; jest to melancholijny akord mołowy, zbyt piękny, aby szukać dla niego rzeczywistego sensu; smutne jest to, że z tysiąca możliwych nici te właśnie zostały wybrane; wszystkie inne stracone są bezpowrotnie.

Dziecko w kołysce może przebyć swoje życie w tysiąc sposobów; może być wodzem, krawcem, geniuszem, albo genialnym krawcem; jego przyszłość jest jeszcze pustynią, którą może zaludniło nieśmiałe marzenie matki. Ma tysiąc żywotów, bo ma tysiąc możliwych żywotów. Każdy rok zmniejsza jednak zakres możliwości; na krańcach pustyni powstają nieprzebyte mury, wzniesione ręką samego człowieka czy kataklizmem momentu historycznego. Z wszystkich dróg tylko jedna zostaje wybrana; dobra czy zła, przewidywana czy niespodziewana, ale będzie to tylko jedna z tysiąca możliwych. Każdy moment może być przeżyty tylko raz i w jeden sposób.

„I te chwile — myślę sobie — mijają, zapadają w wieczność, chwile jedyne, ruchy i gesty niepowrotne, stosunki nieodwołalne, dni, godziny i minuty nie cofnięte na wieki. Któż zliczy te wszystkie rzeczy, których nie widziałem nigdy i których nigdy nie ujrzę, te dźwięki których nie usłyszałem nie usłyszę nigdy, dzieje których nie poznałem i o których nie dowiem się nigdy, namiętności, których nie doświadczyłem i których nie doświadczę nigdy, zagadki, których nie pojąłem i których nie rozważę nigdy" (Papini).

Istnieje pewna inadekwacja pragnień i możliwości ich spełnienia. Niewielkiej wyobraźni trzeba, aby przekroczyć

ostatni kraniec realnego świata: najmniejsza tysiące światów zawiera; a przecież jest to miejsce narodzin pragnień. Tam pragnienia biorą początek i tam poją się wodami „trzech rzek ognistych" — „pożądliwością ciała, pożądliwością duszy i pychą żywota" i żadna realność ich nie zaspokoi: „Oko nie nasyci się widzeniem, a ucho nie napełni się słyszeniem" — zawodzi Ekklezjasta.

Jedne z pragnień rzucone w świat odbijają się od granic zdeterminowanych momentem historycznym, psychiką człowieka, i zacieśniają obraz rzeczywistości. Inne w chwili narodzin otrzymują pierwiastek zagłady; są wewnętrznie sprzeczne. Niewiele z nich zamanifestuje się czynem, wejdzie w nowy świat realności. Ale cóż z nich pozostanie — jedynie ich realizacja, którą tylko pamięć łączy z pragnieniem. Co ma wspólnego urzeczywistnione dzisiaj z tęsknotą dnia wczorajszego? Zawstydza nas nieudolnością. W dialogu księcia d'Alençon z Elżbietą Angielską (z Fontenelle'a) słyszymy takie zdanie: „Prawdziwym jednak tajemniczym powodem mego postępowania było doświadczenie, że najmilszą rzeczą jest układać projekty, czynić przygotowania, a nie prowadzić niczego do skutku. To, czego pragnie się najgoręcej, traci wartość, gdy jest osiągnięte, żadna rzecz nie przechodzi ze sfery wyobraźni w sferę rzeczywistości bez straty."

Pragnienia nieurzeczywistnione wiodą niepewny żywot trwożliwych chęci, niedomówionych tęsknot, westchnień wiecznie młodocianych, aż zginą w ciemnych kanałach marzeń, tworząc złudną dekorację rzeczywistości. Z ciemnych wód kanału powstają opary, ukazujące światy, które mogłyby być stworzone, a które czynią ludzi nieszczęśliwymi, — albo bohaterami. Marzycieli zaś należy szukać wśród ludzi poniżej lat stu; zdaniem Adlera wielu dorosłych mogłoby zacząć swoje rojenia od słów: „Gdy kiedyś dorosnę..."

Twory wyobraźni, pozostawione poza realnością, nie mają jednakże życia idei platońskich: nie są wieczne ani niezmienne. Nie tylko to co należy do świata przekształca się; wystarczy aby było częścią życia, a musi się zmienić. Marzenia, karmione tęsknotą mają swoją młodość, starość i śmierć: umarłe, siłą bezwładu, wracają, a odepchnięte pozostawiają osad zniechęcenia. Na ich miejsce muszą powstać nowe obrazy.

Marzenie jest często wyrazem smutku: jakaś wartość nie została zrealizowana, jakaś chęć zawisła ponad realnością; idea sprawiedliwości nad Atenami, w których Sokrates wypił

cykutę. Ale marzenie nie jest aktem krańcowego pesymizmu; ten nie zna urojeń.

„Smutek i pesymizm — mówi Chesterton w studium o Dickensie — poniekąd się wykluczają. Wszak smutek wypływa z przywiązywania wartości do rzeczy, zaś pesymizm z zaprzeczenia ich wartości." Smutek jest manifestacją pogwałcenia zaufania w realizację wartości; jest optymizmem rozczarowanym. Powstają z niego marzenia, ponieważ istnieje coś, czego warto pragnąć i za czym warto tęsknić. Pesymizm krańcowy nie manifestuje się smutkiem; niczego nie oczekuje, nic dla niego nie ma wartości; nie zna marzeń, ponieważ nie ma przedmiotu, za którym wartoby tęsknić. Dlatego „Podróż do kresu nocy" jest powieścią więcej niż smutną. Żyją w niej ludzie bez marzeń.

W pewnych jednak, nielicznych momentach rzeczywistość jest silniejsza niż marzenie; przychodzi dzień i niesie wielki ból albo wielką radość, zwycięstwo albo klęskę. Chwila taka łamie wszystkie tamy delikatnych zwątpień i prowizorycznych mniemań; porywa i niesie. Jednakże nawet najbujniejsze życie nie składa się z uniesień; potrzebne są inne światy, mniej niebezpieczne.

Mądra królowa Szecherezada, ratując się od śmierci z rozkazu własnego męża, opowiadała mu legendy. Wiedziała pewnie, że zastąpi tysiącem scen jedną rzeczywistą scenę jej śmierci. Znudzony król patrzył na walkę i upadek ludzi i te sytuacje z innego świata zwyciężyły zbrodnicze pragnienie widoku śmierci żony; królowa ocalała.

Opowieść o mądrej królowej mówi o potędze świata utworu literackiego. Jest tam piękno bez nieustępliwości realnego istnienia. Wypadki nie realizują się; pożar Rzymu w „Quo Vadis" nie zniszczy ani jednej kartki egzemplarza, a jednak tysiące ludzi oglądało — jak Neron — płonące miasto.

Jedną z niewątpliwych zalet książki jest to, że można ją zamknąć i odłożyć, można przerwać sytuację zbyt silną. Czytelnik panuje nad światem powieści. Jednakże nie wszystkim wystarczą sytuacje powieści. Historia Don Kichota nie zmieniła się, zmieniły się tylko przedmioty tęsknot. Dzięki tym, którzy mieli dość siły, aby połączyć czynem dwie rzeczywistości mapa świata nie ma białych plam. Inni powracają do rzeczywistości, w której żyją obok kapitana Granta, Raskolnikow i Lady Mackbet.

Na niskich stopniach kultury marzeniom sennym przypisywano równą realność jak rzeczywistości na jawie; człowiek istniał wtedy w dwóch światach: nocy i dnia.

Dzisiaj marzenia senne straciły swój urok, stały się widziadłami przynoszącymi wieści z nieznanego kraju pragnień człowieka pierwotnego.

Ponad realnością powstały dwa inne światy: marzenia i literatury. Człowiek pierwotny istniał życiem podwójnym, człowiek współczesny — życiem potrójnym.

Pierścień Polikratesa.

Cokolwiek możnaby rzec o Polikratesie jedno jest pewne, że zbrakło mu odwagi szczęścia. Lękał się być zbyt szczęśliwy i stworzył precedens pomocy złemu losowi przeciw samemu sobie. Uwierzył, że nieszczęście musi nadejść, więc chciał je sobie wybrać; wiele przez to zyskiwał; wiedział, kiedy go spotka i w jakiej formie. Próbował ograniczyć swoje szczęście, aby być pewnym tego, co pozostało.

Wśród ustawicznych powodzeń, z których wiele opartych było na śmierci wrogów — bliskich i dalekich, rzekomych i prawdziwych (jednego brata zamordował, drugiego wypędził), pewnego dnia serce króla ścisnęła trwoga. Jak opowiada Herodot otrzymał list swego przyjaciela, króla Egiptu Amazisa. Król ten nie myślał po królewsku; ostrzega Polikratesa przed zbyt wielkim szczęściem: „nie podoba mi się — pisze — twoje wielkie szczęście, wiem bowiem jak zawistni są bogowie". On pragnąłby szczęścia tylko częściowego. Radzi Polikratesowi bronić się przed nadmiernym powodzeniem. Należy pomóc losowi i samemu sobie zaordynować lek: spowodować przykrość. Jeżeli to będzie strata, to powinna być poważna, aby można było żałować utraconej rzeczy. Gdy Polikrates to przeczytał, wnet pojął, że Amazis mu dobrze radzi. Wyjeżdża na morze i wyrzuca ulubiony pierścień. Strata była tak duża, że gdy wrócił do domu, odczuł ją boleśnie.

Jednak po kilku dniach nastąpiła rzecz niepokojąca. Przypadek — czy może przemyślne bóstwo — sprawiają, że pewien rybak złowił wielką rybę. Oddał ją na dwór królewski i tam po rozcięciu znaleziono zgubiony klejnot. Polikrates widzi w tym wyraźną wolę bogów i posyła list do Amazisa. Lecz ten „poznał, że nie jest możliwe, aby jeden człowiek uratował dru-

giego od tego, co go czeka". Dojrzał w tym zdarzeniu poselstwo przyszłego nieszczęścia. Zrywa przyjazne stosunki i odsuwa się od człowieka, którego bogowie pokarali zbyt wielkim szczęściem. Polikrates zaś ginie z ręki zdrajcy.

Herodot przemilcza przeżycia Polikratesa po ostrzeżeniu przyjaciela. Był to prawdopodobnie moment, w którym w ciemnościach trwogi umarło szczęście a narodziła się wiedza o nim. Król stał się bogatszy o wiedzę o szczęściu, które było — lecz i o nieszczęciu, które może być. Doznał upajającego uczucia świadomości szczęścia — ale poznał, że je może utracić. Ustokrotniony lękiem wzrok dostrzegł poza szczęśliwym lądem wyspy zdrady, nędzy i plejadę innych, a wyobraźnia usiłowała przewidzieć i ucieleśnić groźbę losu. Zdrada? śmierć? — a może co innego? Tak. To był tragiczny moment, a Polikrates bronił się bardzo dziecinnie.

Jakże inaczej postąpiłby bohater bajki. Przede wszystkim jego szczęście nie byłoby moralnie złe; ale w tym wypadku pomińmy to. Nie cofnąłby się przed największym upojeniem, ani nie pomógłby losowi w przygotowywaniu klęski dla samego siebie. Kiedy dobra wróżka pozwala wypowiedzieć trzy prośby, który z mieszkańców świata Andersena nie zechce najpiękniejszego zamku lecz tylko trochę ładnego? Superlatywy są tutaj naturalne, a wzrok nie dostrzega pułapu rzeczywistości. Poza tym światem nie często spotka się pragnienie ze słowem naj.

Paradoksalnie i po nietscheańsku brzmi zdanie; trzeba dużo odwagi i jeszcze więcej siły, aby znieść szczęście; bodajże nawet więcej niż dla nieszczęścia. Odwaga, o którą tu chodzi nie jest gotowością ryzyka czy straty czegoś wielkiego i określonego. Początkiem jej jest wiara w możliwość szczęścia. Należy usunąć z umysłu przekonania, któreby temu przeszkadzały, bez względu na to, czy będą to „złudzenia rynku" czy „złudzenia jaskini". Chodzi o brak służalczej gotowości do niepowodzeń. Druga część jest równie trudna, trzeba być szczęśliwym bez świadomości szczęścia — zapomnieć o nim.

Teoria Azaisa — o ile tak nazwać ten dziewiętnastowieczny pomysł — ma niewątpliwe zalety estetyczne: przedstawia życie jako strukturę prostą, jasną i symetryczną. Dychozomia ma dla umysłu szczególny urok: dobro i zło, światło i ciemność, wolność i niewola. Azais dzieli życie dychotomicznie i zgodnie z symetrią: tyle lat powodzeń ile klęsk. Wyklucza się oczywiście możliwość żywotów, w których można powiedzieć. „Oby

się godziło wieść spór człowiekowi z Bogiem, i jako synowi człowieczemu z bliźnim swoim! Bo lata zamierzone nadchodzą, a ścieżką, którą się nie wrócę już idę." Wypadek, w którym w późnej starości dostrzega się zaledwie dni szczęśliwe, byłby prognostykiem wybitnej długowieczności. Priam po wszystkich przygodach żyłby „długo i szczęśliwie".

Otóż „matematyka" jest w tym prostym pomyśle rzeczą najbardziej pociągającą, a zarazem najbardziej wątpliwą; stosuje się tu metodę statystyczną w zbyt małym zakresie. Gdyby obliczyć szczęśliwe i nieszczęśliwe lata milionowego miasta, to prawdopodobnie okresy błogości równałyby się ciemnym chwilom. Podobnie byłoby w niektórych wypadkach, gdyby można dożyć wieku, przy którym Abraham, byłby chłopcem. Niżej stu lat sprawa się wikła; przyczym w całym obliczeniu nie bierze się pod uwagę „władzy nad wyobraźnią". Zdarzenie nie jest monetą, która pada na orła lub reszkę. Gdzieś tam jeszcze nad ziemią zaczyna się wolność człowieka, która umożliwia przekręcenie monety; nie zawsze co prawda i w różnym stopniu. W decydującej chwili jesteśmy w stanie nie pochylić się za ruchem wiatru ale przeciw niemu. Nieszczęście to stop świata i duszy w różnych proporcjach; rzadko tylko cegła z dachu.

Kto byłby przekonany o słuszności myśli Azaisa i szedł za nią, w praktyce popełniałby poważny błąd. Jeżeli los stara się nas obdzielić równą ilością dobrych i złych chwil, to czyni to bez naszej zgody i będzie to robił, choć byśmy protestowali całą duszą. Nie warto oburzać się, że tlen z żelazem daje tlenek żelaza; jest to fakt, z którym trzeba się liczyć, unikając rdzy. Jeżeli rzeczywistość daje nam niezmiennie równą ilość dobrych i złych lat, pozostaje nam wówczas jak najlepsze wykorzystanie przyjemnych momentów, o ile to nie burzy porządku moralnego. W teatrze zbrodniarz zbyt pobłażliwie osądzony przez sprawiedliwość społeczną sam wymierza sobie karę, ale chodzi tam o porządek moralny, w którym panuje zależne od woli słowo: powinien. Prawa natury dzieją się bez naszej woli.

Nawoływanie do umiarkowania w szczęściu, ponieważ czekają nas czarne godziny, nie ma sensu. Nie można bronić tej normy, wskazując na to, że tym więcej odczuwa się nieszczęście, im silniej przygarnęło się do serca dobrą chwilę. Nie wynika z tego żadna czujna gotowość przyjmowania ciosów. W istocie nie ma różnicy między prostym i pełnym

przyjmowaniem szczęścia a przeciwstawieniem się nieszczęściu. Jest to ten sam rodzaj związku duszy z losem.

Odwaga szczęścia musi walczyć z wszelkim wyrzeczeniem się, które nie jest konieczne moralnie. Asceza jest obłędem jeżeli ma być środkiem do szczęścia. Wyrzeczenie się nie prowadzi do niego. W świecie „Rozmyślań" Marka Aureliusza nie ma szczęścia. W jego świecie „Każde zdarzenie jest tak zwykłe i znane, jak róża na wiosnę i owoc w jesieni. Czymś takim jest bowiem i choroba i śmierć i potwarz i zasadzka i wszystko to, co głupców cieszy lub smuci". „Kto widział teraźniejszość, widział wszystko od wieczności do wieczności. Wszystko bowiem jest jednakiego rodzaju i kształtu jednakiego". Życie jest stoika obowiązkiem „Rankiem, gdy się niechętnie budzisz, pomyśl sobie. Budzę się do trudu człowieka". Chodzimy po linie rozpiętej nad przepaścią i nie wolno o tym zapomnieć." Nie żyj tak jakbyś miał żyć lat dziesięć tysięcy. Los wisi nad tobą."

Gdzież są bogowie, którzy taki świat zbudowali. Jakże starcze muszą być oczy, które śmierć tylko dostrzegają. Bardzo znużony musi być człowiek, skoro jedynie przemijanie widzi. Dziesięć tysięcy lat? A przecież żyjemy tak, jakbyśmy wieczność mieli pod nogami. I to jest dobrze. Jedna godzina jest tylko z nazwy podobna do drugiej. Kto przeżył jeden dzień, ten jeszcze tylko nieskończoność dni potrzebuje do pełnego obrazu świata: nieskończenie odmiennych dni. A kto umiera czyni to po raz pierwszy i jedyny na całą wieczność.

Gdyby Hamlet zdecydował się na „podniesienie broni przeciwko morzu boleści" i rozłożyłby swoje samobójstwo na lata, wówczas osiągnąłby pełne zerwanie ze światem; nie czekał niczego, nic nie kochał, żadna rzecz nie cieszyłaby go. Zewnętrznie przypominałby stoika, różniłby się jednak celem; jest to ważne, ale nieusprawiedliwiające. Prawda—dla stoików istnieją rzeczy godne wyboru: przyjaciele, majątek, sława. W istocie jednak jest to rodzaj malum necessarium i lepiej go się pozbyć. „Pamiętaj w życiu zachowywać się jak przy stole. Przynoszą potrawy i podają ci, wyciągasz rękę i nabierasz z umiarem. Mijają cię — nie zatrzymujesz półmiska. Nie podano ci jeszcze — nie kierujesz na danie zdaleka swego pragnienia, lecz czekasz spokojnie aż do ciebie się zbliżą. Tak samo postępuj, jeżeli idzie o dzieci, o żonę, o zaszczytne stanowisko, o mienie; a staniesz się godnym bogów współbiesiadnikiem. Jeżeli zaś nie tkniesz tego, co ci podają, lecz pozwolisz

by cię minęło, wtedy nietylko jesteś współbiesiadnikiem bogów, lecz dzielisz z nimi ich moc."

Cała budowla tej moralności oparta jest na wielkiej podejrzliwości względem losu, jeżeli nie patrzyć na niego z lotu wieczności; a trzeba przyznać, że takie spoglądanie jest rzeczą trudną i nieludzką. Zdaniem stoika fortuna czyha na to, abyśmy do czegoś przylgnęli sercem: wyrwie nam to i stracimy równowagę. Trzeba więc szperać we własnej duszy, czy nie tli się w niej immortificata affectio cordis. Mądrość cesarza stoika nie wzmocni odwagi szczęścia.

Człowiek nietylko chce być szczęśliwy, lecz także wiedzieć o tym, a nawet nazwać to szczęście. Pragnie nadać mu wyraźny kształt. W tej całości często ceni wyżej świadomość szczęścia i umiejętność opowiedzenia o nim niż podstawę świadomości. Przeniesienie szczęścia w sferę samowiedzy, słów, gestów, wyraźnych określeń nie rzadko kończy istnienie życia szczęśliwego. W „Bajce o człowieku szczęśliwym" Żuławskiego, człowiek tak długo jest szczęśliwy, póki szczęście jego nieme. Kiedy opowiedział je w słowach i obrazach, przestał być szczęśliwym. „Znam szczęście moje i umiem je opisać, ale go już nie mam".

Zapomnienie o szczęściu i odwaga szczęścia; jednakże to nie jest paradoks.

SPOTKANIE Z JESIENIĄ

Czy to naprawdę jesteś ty — milcząca, chłodna ciemnooka?
Twojaż to chmurność? Twoje sny porozciągane na obłokach?
Tyś jest ta dziwnie pochylona nad zeschłym liściem, martwą wodą
i ciebież to tak pod ramiona zwiędłą i suchą wichry wiodą?

Kiedyś, gdy we mnie tętnił czas mocarny, ufny, pełen słońca,
biegłam do ciebie w zwiędły las, twej gorzkiej woni szukająca —
Dziś po raz pierwszy zatrwożona na twojej żółtej stoję drodze.
Ciebież to wiodą pod ramiona, czy ja tą ścieżką w mrok przechodzę?

Któraż to z nas jest? Ty czy ja przekwitająca w woni wrzosów?
Z samego serca mego dna niska melodja twego głosu —
twarz moja chłodem obleczona jak twego nieba zimne lice
Wzięły mnie — wzięły pod ramiona posępne twoje służebnice.

Nici pajęcze — babie sny na srebrnych chmurach nisko wiszą.
Jestem już cała tak jak ty: milczeniem, schnięciem, snem i ciszą —
w bezsilnym słońcu jak rabaty astrów i dalij i lewkonij
przechodzą w nicość zmarłe światy: bezwonne, jasne kwiaty wspomnień.

Już jest za jedno: ty czy ja na tej ostatniej suchej drodze —
z nocy do nocy, z dnia do dnia przekwitam, mijam i odchodzę.
Próżno odwracam się spłoniona, gdy mijasz mnie spowita mgłami —
cienie nas wiodą pod ramiona — Noc idzie przodem — Śmierć za nami.

NOTATKA Z ROKU 1943

W ostatnie ciepłe dni jesieni,
ostatni raz (nie było materiału więcej)
od świtu do południa z Janowskiej do Lesienic
przewozili na stracenie pięć tysięcy
Żydów.

Zaczęło się jeszcze przed świtaniem,
o pół do trzeciej rano.

Auta załadowane ludźmi jak bydłem do jatek
(klęczeli wszyscy twarzą zwróceni do ziemi).
Starców i dzieci już tam nie było, ani tragicznych matek,
ani scen rozpaczliwych. Karabiny — noc — świt —
i milczenie.
Był porządek i spokój — i niczego co się miastem
wieźć nie godzi.
Jechali sami zdrowi, sami robotnicy, sami młodzi.
Poźniej, w dzień próbowali uciekać po drodze.

Ale nie o to rzecz — nie o tym słowo,
że ich także jak innych — salwami, masowo,
w piasek — Piąty rok już tak trupy kładzie się jak snopy
w piątym roku niemieckich rąk nad Europą. .

Tylko że to nie było tak, jak mi przez moment
przeleciało przez głowę — że ci, którzy gromem
ognia i kul wytracić mieli pięć tysięcy
ciał (bo dusz może nie liczy się więcej)
że ci zielono-czarni, co'mieli zatrzymać
pięć tysięcy serc żywych — nie będą oczyma
takimi jak te nasze oczy patrzeć w słońce.
Ale że jak z czeluści strzygi latające
bedą mieć ślepia mętne, zaropiałe, krzywe
i mózgi nieruchome i serca nieżywe —

Że niosący na rękach śmierć bez praw i roków
będą nakształt jaszczurów skrzydlatych i smoków
z płomieniami na ustach, o szponach miast dłoni,
bez ludzkich twarzy, uczuć, bez głosu — — —

A oni zziębnęci tak jak każdy człowiek, jak my — głodni
i senni przed świtaniem — tuż u progu zbrodni
pukali do struchlałych drzwi, do zlękłych okien
i żądali nie cęgów katowskich, nie młotów,
tylko — męcząca służba i droga daleka —
ciepłego jak krew tych jeszcze niezabitych — mleka . . .

LWOWSKA KOLENDA 1943 ROKU

Wśród nocnej ciszy
bezsennie dyszy
miasto w trwodze, miasto w świeżej krwi —
Chrystus się rodzi!
Gestapo chodzi
i dzwoni i bije do drzwi.

Hejże nowina!
Ukrywaj syna
matko, kolbą wydarta ze snu —
Herod się trwoży —
Ratuj nas, Boże!
Teraz Lwów — teraz Lwów — teraz Lwów —

W śmiertelnej ciszy
mokre afisze
ociekają murami jak krew.
Dzień we krwi brodzi —
Sami nasi — sami młodzi —
O Jezu! — Pst — cicho — — Psiakrew —

Już w żłobie leży.
I któż pobieży
do tych jaseł rzuconych nad rów —
Wśród nocnej ciszy
śmierć je kołysze
i płacze cały Lwów.

Zadrżała ziemia
w noc Narodzenia
i trzydzieści utuliła ciał.
Anioły grają,
ludzie klękają —
A na placu Unji Brzeskiej nowy strzał!

O — lulaj, lulaj,
ócz nie roztulaj,
odwróć białą jak opłatek twarz.
Na szubienicach
ludzie w pętlicach,
zielona przy nich straż.

Wśród nocnej ciszy
nikt nas nie słyszy,
w betlejemską gwiazdę patrzy trup.
Nie ródź się, Panie!
Krew na Twym sianie
i wilki obsiadły żłób.

Rączki ubroczysz,
nóżki zamoczysz
w niewinnej naszej krwi.
Tu brzask nie dnieje,
Moc nie truchleje
i wszelki żywioł drży.

W katowym domu
choinki płoną,
polskie jodły strzelają pod dach —
Śpiewają dzieci,
katowe dzieci:
Heilige Nacht — stille Nacht —

Wśród nocnej ciszy
bezsennie dyszy
miasto krwawe — Niemasz, niemasz dnia — —
Chrystus się rodzi.
Śmierć w dom podchodzi —
Hej kolenda, ko- len- da!

LIŚCIE

O słowa moje — zbiór ubogi —
liście schnącego drzewa.
Już coraz mniej was pod me nogi
szumiący wiatr nawiewa.

Próżno w was dawnej szukam pychy
i młodej, dumnej buty.
o — mej jesieni plonie lichy,
jak moje serce struty.

Liście więdnące — chmuro płowa
na wróżbę wczesnej zimie.
W was tylko przetrwa — w zeschłych słowach
pogrobne moje imię.

Ludzie zapomną — kwiat zdziczeje
na grobie opuszczonym.
Wtedy się duch mój przyodzieje
w pieśń — w słowo — w liść czerwony —

HYMN DO NOCY

Oto umiera dzień
i z gór
zstępuje śniada noc.
Gasną szmery dnia, a inne szmery
rodzą się w mroku co z ziemi paruje
ku niebu, kędy drżą zwilżone gwiazdy
i wschodzi księżyc.

O nocy, matko potęgi,
z ciebie powstało wszystko co jest,
z ciebie wynikła czułość i gwałtowność i trwoga,
a żadne słowo ludzkie nie zdoła, jak silna jesteś, wymówić.
Tyś jest pięknością ponad wszystką piękność,
darem nad wszelki dar, a tak obszerna,
że każdą słodycz, winę, grozę każdą
i wszelką świętość potrafisz pomieścić.

W tobie, o nocy,
jest samotny szloch
rozpaczy ludzkiej, której nikt nie słyszy,
gdy zęby gryzą poduszkę, skurcz spina
ciało ogłuchłe, drętwe, przyczajone,
co czegoś w głębi własnej nasłuchuje,
w własną
opada przepaść jak wodospad, aby dotrzeć
do jądra bólu, do bólu korzenia.
I tak się w siebie zapuszcza, tak cofa
prawie jak o b c ą r z e c z już odczuwając
rękę lub nogę, że nie zauważa

jak się miarowo, miarowo, miarowo
kolebie głowa zwieszona sięgając
włosami ziemi.

W tobie, o nocy,
jest czysta miłujących rzewność, gdy dziewczyna
w gnieździe ramion kochanka zasypia słodko
uśmiechając się jego sile czułej i wiernej, co ją chroni
przed złem, jak niegdyś matki objęcie.
A on sam w sobie hamuje się, gwałtowność przyrodzoną
ujarzmia, by zbyt gorącym oddechem
nie obrazić jej snu i pocałunkiem powieki
muska — nieśmiałym i czystym jak modlitwa.

W tobie jest świętego szaleństwo i moc,
kiedy spala się niby krzak Mojżesza, a wielkie odetchnienie
[płomieniste
dźwiga go, gdy klęczy, nad ziemię. I trwa tak zwieszony
trącając końcem stopy gałąź u dębu wierzchołka.
uszy jego zatrzaśnięte,
oczy głuche,
pierś dyszy upracowana, gdy bóstwo
palec na sercu mu kładzie, a ciało żywe
pod tym dotknięciem pali się sycząc. Bowiem Boże piętno
bardziej bolesne jest, niżli piętno żelaza i ognia.

Ty jesteś mocarką,
co dźwiga
w nierozwidnionych wieczyście ramionach
win naszych brzemię.
Ach, tak są ciężkie tym, co *w czasie* spłodzeni
przeciekają wzdłuż *czasu*, a nie wrócą się jako rzeki
ku źródłom swoim.
I przenigdy nie będzie im dane
chwili żadnej przeżyć raz drugi, ani wymazać
z straszliwych Boga ksiąg najcichszej myśli,

co raz wkroczyła w przeszłość
niby mumia
w trumnę z drzewa świętej sykomory, wonną i szczelną
i — niepodległa zniszczeniu
trwa poprzez wieki.

Tysiąc masz twarzy, ale najbezdenniej
pała nad nami twoja moc, gdy trwogą
przeszywasz serca śmiertelnych. •U twojej piersi
jak wino ciemnej dwoje bliźniąt ssało
czerstwych i pięknych — człowiek oraz groza.

Tak razem rosły, że gdy się roześmiał
człowiek — to groza wtórowała śmiechem,
a gdy biegł dokąd — podążała za nim
niby dziewuszka mała, co chce sprostać
igraszkom brata. A największa groza — i ta była
w tobie, nocy — oczekiwanie skazańca,
któremu świt
przynosi chustkę na oczy i szafotu deskę śmiertelną i suchy
trzask salwy.
Ale to są rzeczy zbyt wielkie, o których
rzadko dane jest prawo mówienia tym,
co nie przeżyli. Nie mam tego prawa.

Od gwiazd
idzie cisza. Nad światem
płonie noc, matka potęgi i śmierci.

Tyś porodziła otchłań
i święte chaos — nasienie świata.
Z łona twojego wyszli bogowie, zwierzęta i gwiazdy.

Z ciebie na początku wynurzyliśmy się lekko
i w ciebie powrócimy, gdy dopełni się czas.
Jak ryba, która wyda się z głębiny
i znów w nią pierzchnie.

PRZEKŁADY Z POEZJI ROSYJSKIEJ

Aleksander Puszkin — Wstęp do „Rusłana i Ludmiły"

Nad morzem stoi dąb zielony,
Złoty go łańcuch w koło sprzągł,
I w dzień i w nocy kot uczony
Wciąż chodzi na łańcuchu w krąg;
Idzie na prawo — baśń powiada,
Idzie na lewo — nuci śpiew.
Tam cudów kraj: leśnego dziada
Z rusałką spotkasz tam wśród drzew,
Tam na niewydeptanych dróżkach
Zostawił ślad nieznany zwierz,
I chatka tam na kurzych nóżkach
Stoi bez okien i bez dźwierz;
Po lesie widma błądzą stale,
O zorzy tam się kłębią fale,
Bijąc o biały piasku brzeg,
I zacny poczet jasnych wojów
Wychodzi śmiało z morskich zdrojów
Z morskim starostą, co ich strzegł.
Tam królewicza mimochodem
Staje się jeńcem groźny car,
I tam w obłokach przed narodem
Nad lasy, rzeki, morski war
Rycerza niesie jakiś czar.
Tam w wieży się królewna nuży,
A bury wilk jej wiernie służy,
Tam stępa z Babą Jagą wraz
Stuka i puka raz po raz;

Tam skąpy król swe złoto dusi,
Tam ruski duch... Tam zapach Rusi!
I jam tam był, miód, wino pił,
Nad morzem widział dąb zielony,
I siedział pod nim, a uczony
Kot mi swe baśni mrucząc wił.
Jedną z nich pomnę: tę legendę
Dziś oto opowiadać będę.

Michał Lermontow — Modlitwa.

W minutę życia trudną,
Gdy boleść w sercu tkwi,
Jedną modlitwę cudną
Wspomnienie szepce mi.

Jest siła jakaś święta
W harmonii żywych słów,
Co dyszy niepojęta
Czarując duszę znów.

Zwątpienie z niej uchodzi,
I spada brzemię z niej,
I tonę w łez powodzi,
I coraz lżej mi, lżej...

Żagiel

Samotny żagiel mknie po morzu,
Przez mgły bieleje niby śnieg.
Czegoż on szuka na przestworzu?
Czemuż ojczysty rzucił brzeg?

Maszt gnie się, skrzypi; z wodnej toni
Wiatr świszcząc wzbudza kłęby fal,
Niestety, szczęścia on nie goni,
Ani od szczęścia bieży w dal.

Pod nim wód lazur ciszę wróży,
Nad nim słoneczny lśni się pył,
A oń, buntownik, pragnie burzy,
Jak gdyby w burzach spokój był.

* * *

Twój portret, niegdyś dany mi,
Zawsze na piersi noszę swej,
Jak blade widmo lepszych dni
Jest on radością duszy mej.

Choć nowe bóstwo czciłem sam,
Przestać go kochać czyżbym mógł?
Chram opuszczony — zawszeć chram,
Posąg zwalony — zawszeć bóg.

* * *

Gdy śpiewa — wszystkie dźwięki tają
Na ustach jak całunków czar,
Gdy spojrzy — to niebiosa grają
A w oczach błyszczy bóstwa dar,

Gdy mówi — każdy rys jej twarzy,
Gdy idzie — to jej każdy ruch
Tyle wyrazu w sobie waży,
Taki z nich tchnie prostoty duch...

* * *

Kiedy faluje w słońcu już żółknąca niwa
I pod wietrzyka wiewem szumi świeży las,
I kryje się w ogrodzie muślinowa śliwa
Pod cieniem liści jakby wabiąc nas —

Kiedy złocistym rankiem lub w wieczór rumiany
Kwiat białej róży, co na krzaku lśni,
Wonny i niebios srebrną rosą obryzgany,
Życzliwie swoją główką kiwa mi —

Kiedy strumyczek chłodny igra po parowie,
I strojąc myśli na przedziwny ton
Legendę szepce w swej przedziwnej mowie
O cichym kraju, skąd wypływa on —

Wtedy z pokorą cichnie duszy mojej trwoga,
Wtedy zanika zmarszczek na mym czole ślad,
I w szczęście na tej ziemi jam uwierzyć rad,
I w niebie wówczas widzę Boga...

*
* *

Idę sam, przede mną pusta droga,
Poprzez mgły krzemienny błyszczy żwir,
Cicha noc, pustynia słucha Boga
A rozmowę toczy gwiezdny wir.

Niebo lśni poświatą blasków cudną,
Ziemia śpi, spowita w siną dal,
Czemuż mi boleśnie tak i trudno,
Czegoś brak? czy może czegoś żal?

Już niczego nie chcę od przyszłości,
Ani tęsknię do minionych lat,
Ja spokoju pragnę i wolności,
Zapomnienia chcę, zasnąć bym rad.

Lecz nie tym śmiertelnym snem mogiły.
Ja bym chciał po wieczne czasy spać,
Niech drzemiące w piersi mojej siły
Dadzą mi swym tchnieniem dalej trwać.

Niech by w noc i w dzień mój słuch kołysząc,
Słodki głos miłością poił mnie,
Niech by dąb, zielonym liściem dysząc,
Nad mą głową rozpościerał się.

W MURACH STAREJ BIBLIOTEKI

Było to mniej więcej 40 lat temu, w dawnym galicyjskim Lwowie, w którym biło najgorętsze tętno polskiego życia kulturalnego.

Jeśli chciałeś się wtedy dostać ze starego Uniwersytetu przy ul. św. Mikołaja (w dzisiejszym „nowym gmachu" był wówczas Sejm) do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, to szedłeś tak samo, jak dzisiaj, najkrótszą drogą przez ul. Lelewela, Friedrichów, Ossolińskich. Tylko, że to wszystko zupełnie inaczej wyglądało. Ledwieś minął wylot ul. Małeckiego, gdzie obecnie filia pocztowa, wpadałeś niby w jakąś wiejską uliczkę. Ani się śniło o kamienicach, które teraz po obu stronach krętych ulic się wyginają. Wchodziło się, zwłaszcza wiosną czy jesienią, w błotny zaułek, bez chodników. Zastępowały je luźno rzucone deski. Aby nie utonąć w błocie. Z jednej (prawej) strony obniżał się poziom w głęboką rozpadlinę, z której wynurzał się kadłub i kominy fabryki mydła Friedrichów; z drugiej strony małe, z osobna stojące domki parterowe, o które trzeba się było ocierać, człapiąc po chodnikowych deskach. Wszędzie jeszcze kawałki ogrodów i kępy drzew. Pozostała z nich dzisiaj tylko samotna akacja na podwórzu starej rudery, Lelewela 6, niegdyś znanej stolarni Świsterskich. Poprostu kawałek prowincji, tuż pod bokiem ulicy Akademickiej.

Ale głupstwo ten egzotyczny pasaż, gdzie zabiegała często drogę krowa lub dusił dym z mydlarskiej fabryczki, skoro 18-letnie skrzydła studenckie niosły nas z sal uniwersyteckich do kochanego Ossolineum.

Ossolineum stało takie, jak dzisiaj. „Nic się nie zmieniło, tylko się ku starości nieco pochyliło". Te same sztachety dookoła, te same dwie w nich bramy (tylko wtedy zawsze na ścieżaj otwarte), a za nimi też same bzy różowe i białe, mocno pachnące na wiosnę. I te same drzewa głogowe, czerwono kwitnące, tylko nie takie duże, jak teraz. Urosły i postarzały się wraz z nami.

Gdy się przeszło podwoje Zakładu Narodowego, ogarniał studenckie serce jakiś nastrój wielkiej powagi. Już sam dzio-

baty portier Michał, w szerokiej granatowej bekieszy ze srebrnymi guzikami i w rogatywce, wydawał się autorytetem. Niby furtian, wpuszczający do klasztornego kościoła. A potem ziąb i cień długiego korytarza, miły zwłaszcza w upalne czerwcowe i lipcowe przedpołudnia. Tylko młodziutki Juliusz Kleiner, kolega nasz z seminarium Kallenbacha, już wtedy podnosił w tym korytarzu kołnierz od zarzutki i przestawał mówić.

Nie było jeszcze wówczas w Ossolineum późniejszych ceremonij i rytuałów. Żakowskie stopy akademika wstępowały śmiało wprost do katalogowego pokoju, pełnego gwaru stypendystów, szastały się w studenckim ukłonie przed panem kustoszem Hirschbergiem, tę samą czynność wykonywały w następnym pokoju przed panem vice-kustoszem Czarnikiem, i zaraz żwawo dudniły po żelaznych schodkach, wiodących w górę, do Pracowni. Z tych schodków, rozśpiewanych wiecznym dudnieniem (co urzędnikom jakoś nie przeszkadzało w pracy) nie ma już ani śladu. Pięły się one ciemnym ślimakiem z komnatki za katalogiem, a ujściem ich były rozklekotane szklanne drzwi, przez które dostawało się w samo serce wielkiej czytelnianej sali.

Do czytelni naukowej czyli pracowni wchodziliśmy jednak my, młodzi, prawie bezszelestnie. Po raz pierwszy to nawet z biciem serca i jakby z zawstydzeniem. Bo jakżeż? Już w gimnazjum opowiadano nam jakim to dostojnym przybytkiem nauki było zawsze to w zieleni drzew tonące Ossolineum, które przed stu prawie laty, w najcięższych dla Polaków galicyjskich czasach, założył wielki miłośnik nauk i ksiąg, Józef Maksymilian Ossoliński, którego gmach z dawnego klasztoru Karmelitanek trzewiczkowych przebudowywał sam generał Józef Bem, niebylejaki inżynier — w którego murach pracowali, jako bibliotekarze, ludzie, zajmujący nieraz pierwsze pozycje w dziejach literatury i kultury narodowej tego kraju. Wymieniano nam najbardziej znane nazwiska: Szajnochy, Augusta Bielowskiego, Mieczysława Romanowskiego. Zazdrościliśmy więc, najstarszym naszym kolegom, ośmioklasistom lub świeżo upieczonym filozofom, że bywali już nieraz w pracowni Ossolineum, że czytali tam dzieła naukowe, że zasiadali przy jednym stole z prawdziwymi uczonymi, z profesorami uniwersytetu.

Bo respekt dla nauki i uczonych był w owych czasach bardzo wielki, zarówno w najwyższych klasach gimnazjalnych, jak i wśród studentów lwowskiej Almae Matris.

14

A tu, w tej dużej cichej sali pracownianej, gdzie wisiały na ścianach portrety Fundatora i dawnych dyrektorów Zakładu, można było zobaczyć na własne młode oczy i Ludwika Kubalę o szarej, jakby umęczonej twarzy, pochylonego nad rękopisami XVII wieku, i Oswalda Balzera (poznawano go od razu po charakterystycznym kalectwie), obrońcę „Morskiego Oka", wertującego stare prawa polskiego pomniki, i drobną postać Tadeusza Wojciechowskiego, starca o słabym wzroku, w czarnych okularach, o którym powiedziano, że jak kot widział w nocy Średniowiecza, i ruchliwego jak sprężyna, biegnącego śpiesznie przez salę z coraz to nowymi rękopisami, młodego jeszcze ks. Jana Fijałka, znakomitego historyka kościoła polskiego, i zjeżdżającego niemal co roku z Berlina do rodzinnego Lwowa, polihistora piśmiennictwa i kultury polskiej Aleksandra Brücknera, który wtedy właśnie z każdą nową książką urastał w sławę, przepierając się zwycięsko na czoło polonistyki. Kogoż zresztą brakło w tej sali, czy to z naukowców i pisarzy ówczesnego Lwowa, czy z przyjezdnych uczonych polskich Krakowa, Warszawy, nieraz Poznania i Petersburga i dalszej zagranicy? Student (a jak wówczas mówiono: akademik), studiujący z zapałem historię, polonistykę lub jakąkolwiek inną dyscyplinę humanistyczną, stykał się w atmosferze pracowni Ossolineum niemal ramię o ramię z własnymi profesorami, których znał zrazu tylko z wyżyn katedry, spotykał się z dawnym swym nauczycielem gimnazjalnym, pracującym naukowo (o czem w szkole czasem nawet się nie wiedziało), poznawał z twarzy, a często i z okolicznościowych rozmów, ludzi nauki i literatury własnego miasta, znane sławy i skromnych, cichych pracowników pióra, zasłużonych monografistów i pilnych przyczynkarzy, odkrywców i szperaczy, publicystów i popularyzatorów; oglądał mężów poważnych, świadomych swego programu naukowego, ale oglądał także dziwaków i oryginałów, jakich nigdy nie brakło w wartkim strumieniu życia umysłowego dawnego Lwowa.

Pracownia i czytelnia naukowa Zakładu Narod. im. Ossolińskich stawała się dla małego adepta nauk uniwersyteckich oknem, przez które z coraz rosnącym zainteresowaniem wyglądał na świat wiedzy, przypatrując się ludziom i ich pracy, wycinkom warsztatów naukowych i objawom naukowego obyczaju. Przy tym spoufalał się sam z królestwem książek i zabytków, uczył się go kochać miłością, co nieraz przetrwać miała wszelkie inne światowe miłości.

Z jakimż wzruszeniem brało się po raz pierwszy do ręki starodruk XVI-tego wieku, oprawny w deski obciągnięte skórą, często z tajemniczym superexlibrisem u czoła albo choćby skromny, ale szacowny druczek z dawnych czasów, w papierowej, znormalizowanej okładzince, potrzebny nam do pracy . . . Ile pięknych chwil przeżywało się, gdy szeleściły nam pierwszy raz pod palcami karty starego rękopisu, w którym młodziutki badacz natrafiał na niewyzyskane przez nikogo, niechby nawet drobne, materiały do swej rozprawy nauczycielskiej czy doktorskiej, która w tej chwili była całym jego światem. A nie było w starym Ossolineum sprzed lat 40-tu czy 30-tu żadnej cenzury prewencyjnej, która by dzieliła pracowników na godnych i na niegodnych dotknięcia rękopisu lub starodruku, na patentowanych naukowców, którzy mają „dostać wszystko" i na „smarkaczy", którym tylko nowe druki XIX i XX wieku czytać wolno (i to w określonej ilości), lecz wara im od manuskryptów czy cymeliów, od pięknych druków Charffenbergowych, Łazariowych czy choćby Piotrkowczykowych. Nie było kart wstępu do pracowni, ani miejsc poznaczanych numerkami, ani numerus clausus czytelników, ani srogich regułaminów bibliotecznych, tak jak nie było drzwi bez klamek, ani groźnych napisów: „wstęp wzbroniony". Indeks akademicki był dostateczną legitymacją do korzystania z pracowni i wszystkich niemal skarbów olbrzymiej narodowej książnicy.

Wierzono, że chociaż konserwacja zbiorów jest rzeczą bardzo ważną, a stanowisko bibliotekarza, jako stróża tych zbiorów, bardzo szanowne, to jednak biblioteki służyć mają czytelnikom i w kierunku tej służby winien personel biblioteczny skierować wszystkie swoje wysiłki. Panowała, zwłaszcza w Ossolineum, szczytna zasada, jeszcze w wieku Oświecenia ustalona, zasada Załuskich i Czackich i Ossolińskich, że książnica publiczna jest pierwszorzędnym instrumentem oświaty i pracy naukowej, że ma być żywym i wiecznie gotowym pomocnikiem badacza, że ma nietylko dzielnie wspomagać przodowników i weteranów pracy naukowo-badawczej czy społeczno-oświatowej, ale powinna także kształcić i przygotowywać młodych adeptów nauki i aspirantów badawczej roboty, opiekując się pieczołowicie ich pierwszymi, nieraz nieporadnymi, krokami. Pielęgnowanie tej dewizy w onych dalekich latach rzuca do dzisiaj w naszych studenckich wspomnieniach szczególny refleks na atmosferę wewnętrzną Zakładu Narodo-

wego im. Ossolińskich z okresu rządów wielkiego uczonego Wojciecha Kętrzyńskiego i jego zasłużonych pomocników.

Młody akademik, wstępujący w progi Ossolineum, natykał się wtedy od razu na uważny wzrok kustoszów Hirschberga lub Czarnika, przez których biura spokojnie przechodził. Zauważano jakąś nową twarz i chwytano młodzieńca zaraz niejako za połę. Szorstki, krzykliwy głos Aleksandra Hirschberga, autora cennych prac o Łaskim Decjuszu, o Dymitrze Samozwańcu i Marynie Mniszkównie, lub cichy, łagodnie niedowierzający szept polonisty Bronisława Czarnika, badacza Górnickiego i literatury galicyjskiej, osadzał młodego człowieka w rozpędzie, wskazywał mu stare, połamane krzesełko, i brał na spytki, w niejednym przypominające spowiedź. Odbywało się to wśród zająknięć i rumieńców, lecz nawskroś po ojcowsku. Czasem trafił się przechodzący kolega-stypendysta, który dorzucał swoje objaśniające trzy grosze o onieśmielonym penitencie.

„Kto Pan jesteś i jak się nazywasz?" — „Na którym roku? Naturalnie filozof." „No, no, — historyk czy polonista?" „Szkoda, że niehistoryk"—rzucał złośliwie Hirschberg, uderzając jaszczurczym wzrokiem w przechodzącego polonistę Czarnika." — „Polonista? To dobrze" — pochwalał cichutko Czarnik, o ile to on był indagującym. „Historyków i tak mamy za dużo" — uzupełniał głośno, jeżeli Hirschberg znalazł się przypadkowo w jego pokoiku. — „A czem się Pan zajmuje?" — wypytywano dalej. „Co Pana interesuje, ma Pan jakiś temat pracy seminaryjnej u swego profesora?" — „Dobrze, idź Pan teraz na górę, a jutro niech Pan wstąpi znowu do mnie. Ale poczekaj Pan jeszcze. Czy wie Pan, co to jest Bibliografia Estreichera, a Bibliografia Finkla — a widział Pan kiedy Monumenta Poloniae, a Źródła Dziejowe?" W głowie młodzieńca zaczynało wirować. Wtedy dyktowano mu jeden, dwa tytuły jakichś dzieł zasadniczych, czy kompendiów wprowadzających „Niech Pan to sobie na razie przeczyta (czy przeglądnie), ale sumiennie". I z uśmiechem ojcowskim podawano uradowanemu i wystraszonemu smarkaczowi końce palców.

Po trzech, czterech takich rozmowach, zresztą krótkich i okolicznościowych, adept na filozofa otrzymywał, niejako pasowanie ossolińskie i wkrótce czuł się tutaj jak w domu rodzicielskim.

*
* *

Rozkład biur i sal w Ossolineum był w początkach naszego stulecia inny, niż później. Prawda, że i księgozbiór nie był

takim olbrzymem, jak dzisiaj, bo nie wchłonął jeszcze w siebie ani Biblioteki Pawlikowskich, ani tylu innych prywatnych. I personel składał się zaledwie z kilku urzędników i z garści stypendystów-akademików. „Nie ma niewiast w naszej chacie" — można było zaśpiewać wtedy w Ossolineum, jak w „Strasznym Dworze". Nie uwierzyłby w to dzisiejszy babiniec Ossoliński.

Bibliotekarze urzędowali w trzech pokojach na dole, tj. w katalogowym, w małym za katalogiem (gdzie pięły się schodki do pracowni) i w następnym dużym „za żelaznymi drzwiami."

Ten ostatni — to było największe sanktuarium: biuro i pracownia Wojciecha Kętrzyńskiego, dyrektora Zakładu. Tam przepędzał większą część dnia, tam siedział z książką w swoim głębokim, ceratowym fotelu, tam godzinami całymi pisał przy pulpicie swe prace historyczne, zawsze stojąco, przysiadłszy lekko na małym, obitym ceratą „koziołku". Do pokoju tego wchodziło się nieśmiało, na palcach. Nie tyle z obawy przed przełożonym, ile z szacunku, dla wielkiego uczonego i onieśmielającego człowieka.

Dotąd widzę jego wysoką, wspaniałą, do późnej starości wyprostowaną postać, o krótkiej siwej bródce i bystrych oczach, wybłyskujących z poza złotych okularów. Zwykle w czarnym ubraniu, z jedną ręką w kieszeni. Miał w sobie na pierwszy rzut oka coś wyniosłego, chociaż wyniosłym bynajmniej nie był. Przyszedłszy rano do biblioteki, odbywał rodzaj tradycyjnej inspekcji, która polegała tylko na przejściu się po pokojach i zagadnięciu paru słów do tego i owego z urzędników. Należał bowiem Kętrzyński do tych ludzi, którzy ani nie spoufalają się z drugimi, ani nie zginają karku przed najświetniejszym choćby tytułem. Przeszedł twardą szkołę życia. Kiedy młodymi, studenckimi oczyma rozejrzał się po raz pierwszy po świecie nazywał się Adalbert von Winkler, był synem pruskiego urzędnika, czuł się patriotą niemiekim i pisał gorące i sentymentalne niemieckie wiersze. Już w gimnazjum przecknął się pod wpływem polskich kolegów. Poświęciwszy się studiom historycznym, przebił się także ku przeszłości własnego rodu. Przekonał się, że rodzina jego była od wieków polską, i że on sam nazywa się właściwie Wojciech Kętrzyński. Usta jego nawet nie potrafiły zrazu wymówić poprawnie tego nazwiska. Odkrył niedawną historię zgermanizowania się swojej familii, polskiej familii z Mazurów pruskich, gorąco przywiązanej do wyznania luterskiego, jeszcze z czasów reformacji. Rozpromieniła mu się dusza od

słońca zapomnianej, a nieszczęśliwej ojczyzny. Rozpoczął, wbrew rodzinie, pracę na odkuciem w sobie złotej polskiej żyły, zasklepionej w twardym niemieckim granicie. Odszukał wartki strumień polskiej krwi, wytryskający z serca. Był już Polakiem, chociaż dopiero z trudem uczył się ojczystego języka. W języku niemieckim ogłosił tomik swych młodzieńczych wierszy, malujących ten przełom, wierszy, którym dał jedyny w swoim rodzaju tytuł: „Aus dem Liederbuch eines Germanisierten". Wziął udział w powstaniu 1863 roku; przemykał się na Litwę i do Królestwa. Przemycał broń dla walczących rodaków. Odsiedział półtora roku w więzieniu. A potem poświęcił się, obok ukochanej historii średniowiecza polskiego, badaniu przeszłości tych ziem, z którymi był najserdeczniej związany, a których dzieje podobne były do dziejów jego własnej rodziny i jego samego.

Przez to wszystko stał się taki twardy, wyprostowany, jakby zawsze w obronnej postawie. I dumny, że wydarł z siebie prawdę o sobie.

Nie domyśliłby się nikt, że ten człowiek o niemieckich, ścisłych metodach pracy, że ten mistrzowski wydawca roczników i średniowiecznych żywotów świętych, ten autor kapitalnych prac o pierwotnej ludności i pierwotnych nazwach miejscowości w Prusiech i na Pomorzu — był kiedyś poetą. A tymczasem wyniosły Wojciech Kętrzyński, o chłodnych niebieskich oczach za złotymi okularami, został poetą do końca życia. Tylko, że rzadko kiedy pochwycić go można było na takim gorącym uczynku.

Pamiętam jeden poranek zimowy, może w jakimś 1906 czy 1907 roku kiedy jako młodziutki stypendysta miałem dyżur na górze w pracowni. Zastępowałem chorego starszego stypendystę Czesława Nankego (dzisiejszego profesora i docenta historii w Uniwersytecie lwowskim), który — nawiasem mówiąc — był największą „piłą" wśród nas i biczem Bożym na niesolidnych czytelników w pracowni. Na dworze padał gęsty śnieg i świat był cały biały. W pokoju dyżurnym (tym samym, co dzisiaj) znajdował się jeszcze któryś z kolegów. Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi przy schodkach w pracowni i zjawiła się — jak zwykle — piękna, siwa postać Kętrzyńskiego. Rzucił okiem po sali, komuś tam kiwnął głową z oficjalnym uśmiechem, i szedł prosto do nas. Odbywał zwykłą przechadzkę po biurach. A trzeba wiedzieć, że Kętrzyński, chociaż zawsze zrównoważony i uprzejmy, spoglądał z góry na nas „mikrusów". Prawie nie rozmawiał z nami, a rękę podawał

nam tylko przy wielkich uroczystościach. Teraz wszedł do naszego pokoju, odpowiedział na ukłony i stanął przy wielkim, kaflowym piecu. Grzał się i patrzał w śnieżną kurzawę za oknami. Zadumał się, a poważne, ułożone w stałą maskę rysy jego twarzy stały się nagle jakby miększe. Trwało to dobrą chwilę. I oto zdarzyło się coś niezwykłego: Wojciech Kętrzyński przemówił do smarkaczów: „Było to w roku 1863 . . . Dzień był akuratnie taki sam, jak dzisiaj, zima; na dworze szalała zawierucha śnieżna. Przechodziłem właśnie przez Pregołę (nazwy rzek i miejscowości pruskich wymieniał zawsze w ich pradawnym, polskim brzmieniu). Byłem wtedy taki młody, jak wy, panowie, może trochę starszy . . ." I zaczął opowiadać powoli, w pięknych, barwnych słowach jakąś swoją młodzieńczą, rycerską przygodę, której już dziś dokładnie nie pamiętam. Przygodę z tych czasów, gdy jako kurier przekradał się z instrukcjami na Litwę. On, niedawny jeszcze Niemiec. Mądre jego, zaczerwienione od pracy nad rękopisami oczy, patrzyły ciągle miękko w taniec płatków śnieżnych nad Lwowem. Mówił jakby sam do siebie. Naszły go widać wspomnienia — w ten zimowy, burzliwy ranek naszej młodości. I odczuł potrzebę opowiedzenia ich właśnie młodym.

Słuchaliśmy w milczeniu. Lekka mgiełka dawności przysłoniła nam oczy. Skończył, popatrzył z dobrotliwym uśmiechem w nasze twarze i mruknąwszy pożegnanie, przeszedł wyprężony do następnego pokoju.

Wtedy poznałem, że Wojciech Kętrzyński był jeszcze poetą. Ale to było tylko ten jeden jedyny raz.

Do końca życia pozostał taki sam. Nie zmienił swego podziału godzin. Pracował naukowo rankami w bibliotece, przyjmując równocześnie interesantów i załatwiając czynności urzędowe. Przeważnie zbierał wtedy materiały, wertował książki, czytał. Po wczesnym obiedzie, odbywał sakramentalną przechadzkę po mieście, zawsze tymi samymi ulicami: szedł Łyczakowską pod cmentarz, a przedefilowawszy pod jego murami, wracał Zieloną do Ossolineum. Potem pisał przy swoim pulpicie, już w zupełnej ciszy.

Do końca życia mówił źle po polsku, chociaż poszczególne jego zwroty były jędrne, piękne i niepokalanie polskie, i chociaż polszczyzna jego dzieł odznaczała się starannością i brakiem usterek.

Do końca życia był twardym Polakiem, z jednej bryły wykutym, chociaż odwiedzali go czasem krewniacy Niemcy, któ-

rych witał serdecznie. Odmawiał tylko zmiany wyznania, mimo, że cały dom jego był już katolicki. Napierał na niego w tej sprawie zwłaszcza ks. profesor Fijałek, którego Kętrzyński lubił ze względu na łączące ich wspólne zainteresowania naukowe. Odpowiadał mu jednak:

„Masz jeszcze, ksiądz, czas. Ja jeszcze nie umieram. Jak przyjdzie pora, to się załatwi."

I dotrzymał słowa. Kiedy zimą 1917 roku, idąc z biblioteki do domu (mieszkał wtedy przy ul. Ossolińskiej górnej) złamał na gołoledzi nogę w biodrze, a z powodu poważnego wieku przyszły ciężkie komplikacje, poprosił do siebie ks. Fijałka i przeszedł na łono Kościoła Katolickiego. Wrócił do wiary najdawniejszych ojców swoich, tych sprzed reformacji jeszcze. Niedługo potem zasnął stary, wspaniały pan Kętrzyński na wieki.

Przejdźmy do pokoju katalogowego.

Przy drugim oknie od wejścia na lewo, stało ogromne zniszczone biurko Aleksandra Hirschberga. Dosłownie zarzucone książkami i papierami, pogrążone w cudownym nieładzie. Na prawo od biurka tykał na ścianie wielki, również stary zegar, czujny kontroler punktualności stypendystów; pod nim duża ceratowa kanapa, chyba jeszcze z czasów Augusta Bielowskiego, z której tu i ówdzie wyłaziły już kłaki i sprężyny. Kustosz Aleksander Hirschberg, niski i zawiędły stary kawaler, prawie łysy, z nastroszonymi wąsikami siwo-zielonkawego koloru, z cwikierem na długim czarnym sznurku, wiercił się przed biurkiem na dużym, plecionym krześle. Był podobno niegdyś pięknym mężczyzną i miał wielkie szczęście u kobiet. Był niegdyś, za młodu, wybitnym działaczem politycznym, gorącym demokratą z tradycjami Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego w Paryżu. Zapalny, niespokojny biegał po Europie; znała go emigracja polska w Paryżu, Genewie, Rapperswylu. Zakładał przy końcu lat 80-tych XIX w., wraz z Jeżem-Miłkowskim, Ludwikiem Michalskim i Maksymilianem Hertlem „Ligę Polską", która miała być dalszym ciągiem paryskiej Centralizacji. Działał na terenie b. Galicji i Lwowa wspólnie z Franciszkiem Zimą i Tadeuszem Romanowiczem nad zorganizowaniem miejscowego ruchu demokratyczno-rewolucyjnego. Przyszły potem inne czasy. Hirschberg osiadł na ossolińskim chlebie, oddał się pracy naukowej nad historią XVI i XVII w., był tytularnym profesorem Uniwersytetu Lwowskiego. Ale w jego zawsze żywej, niespokojnej postaci, przybranej w wytarty żakiet niebieskawego koloru, w jego ruchli-

wych oczkach, w jego przelotnych wybuchach żółci i zgryźliwości, przy najpoczciwszym sercu, pozostało coś z temperamentu dawnego działacza i publicysty, co miał kiedyś do czynienia z rzeczami ważniejszymi, niż pożółkły papier rękopisu i choćby najpiękniejszy starodruk. Zostało w nim coś z wiecznej młodzieńczości, tylko że zaprawionej już octem i goryczą. Na stare lata zdziwaczał. Mieszkał w kawalerskim parterowym mieszkaniu na samym rogu ulicy Ossolińskich i Friedrichów, gdzie na oknie zawsze widać było, zamiast kwiatów, zakurzone książki i tamtowieczne rupiecie. Miał tylko nielicznych przyjaciół, którzy go kochali i zostali mu wierni do końca.

W Ossolineum — przy zajęciach kustosza — pracował nad swoimi dziełami, wśród gwaru stypendystów, którymi komenderował. A było ich stale w pokoju katalogowym kilku: pięciu, może i siedmiu. Krążyli nieustannie dokoła katalogu kartkowego, wyszukując numery zamówionych do pracowni książek, czy wkładając świeżo napisane kartki. Robiło to nieraz wrażenie kręcącej się karuzeli: to ciągłe wymijanie się młodych przeważnie chłopców, okrążających nieregularny prostopadłościan katalogu, wydzierających sobie często pudła z kartkami; bo pracownia była prawie zawsze pełna, a obsługa czytelników musiała być prędka i żwawa. A że młodość nie umie być trwale poważna, więc dłuższe chwile skupienia nad dezyderatką lub kartką katalogową, przerywane były głośnymi fragmentami pogawędek, ploteczek, sporów naukowych czy politycznych. Często w milczenie wpadała raca studenckiego dowcipu lub parsknięcie wesołego śmiechu. Hirschberg, siedzący tuż obok, zbierał najspokojniej swoje materiały historyczne, a nawet pisał całe rozdziały dzieł. Nie potrzebował, jak Kętrzyński, separacji i bezwzględnego spokoju do pracy. Lubił ruch i gwar dokoła siebie, jak Wojski w „Panu Tadeuszu"; działało to odświeżająco na potargane nerwy starego wychowanka Paryskiej Demokracji. Rzadko tylko zrywał się z plecionego krzesła i beształ krzykliwym głosem, co przyjmowano z pokornymi minami, wiedząc, że to i tak nic zresztą nie pomoże.

Zresztą skłonność do walki, wyrobiona w przygodach młodości, nie przeszła zacnemu kustoszowi i na terenie ossolińskim. Prowadził walkę ze swoim najbliższym sąsiadem wicekustoszem Czarnikiem, i drugą — ze starym zegarem wiszącym nad kanapą. Zegarowi miał wiecznie coś do zarzucenia. Rano, przyszedłszy do biura (najczęściej nieco spóźniony), irytował się, że zegar idzie za prędko, i wskoczywszy młodzieńczym

ruchem na dziurawą kanapę, cofał wskazówki o odpowiednią ilość minut wstecz. Około 2-giej, gdy zbliżała się pora obiadowa, rzucał nagle nienawistnym okiem na zegar: „He, he, teraz się znowu spóźnia. A to bestia! Trzeba ten stary klekot dać już raz do zegarmistrza". I znowu wskakiwał na kanapę, posuwał wskazówki zegara naprzód, i włożywszy wyrudziałe od starości palto, spieszył na obiad.

Stypendyści popierali gorąco oskarżenia co do zegara, uśmiechając się niedowierzająco. Rozumieli, że ranne cofanie zegara mogło mieć cel pedagogiczny; stary kustosz się spóźniał, a nie chciał dawać złego przykładu młodym. Więc zegar ponosił winę. A dlaczegoż mieliby się nie cieszyć posuwaniem wskazówek w południe? Przecież byli już także głodni, a obiad w domu czy w „Bratniaku" gotowy był pewno od dawna.

Walka Hirschberga ze spokojnym drem Czarnikiem miała jakąś swoją historię, której nikt dokładnie nie znał. Posprzeczali się o coś przed wielu laty, i od tego czasu mijał rok za rokiem, a oni nie rozmawiali z sobą, nie pozdrawiali się; jeden był dla drugiego powietrzem. Kiedy już koniecznie—a zdarzało się to chyba kilka razy w roku najwyżej trzeba było, np. przy ludziach, coś urzędowo do siebie przemówić, to odbywało się to w formie piekielnie oschłej i lakonicznej. Po prostu w kilku słowach. I tak trwał ten stan rzeczy całymi latami, aż do śmierci Hirschberga. Porozumiewano się tylko przez stypendystów. Dyrektor Kętrzyński przyjmował ten osobliwy stosunek obu najstarszych swoich urzędników z całym spokojem, jako pewien nieodwracalny fakt historyczny. Czasem go to nawet bawiło: igrał mu ledwie dostrzegalny uśmieszek pod siwym wąsem. Spraw urzędowych nie mógł jednak omawiać z nimi kollegialnie. Zwracał się do każdego z osobna, przyczem do jednego mówił: „Panie Hirschbergu", a do drugiego: „Panie Czarniku". Zdawało mu się, że tak będzie lepiej po polsku, inaczej niż w niemieckim. Pojednania zwaśnionych nie próbował. Wiedział, że z fantastą Hirschbergiem było ciężko, bo ten umiał postawić się i dyrektorowi, do którego mówił najczęściej tylko przez „pan"; jak wiadomo tytułów nie lubił.

W pokoju katalogowym po przeciwnej stronie (gdzie okna na wejście do gmachu) stały jeszcze dwa czy trzy stoliki, przy których pracowali starsi stypendyści, i gdzie przysiadało się na chwilę po bieganinie katalogowej, aby odpocząć lub zjeść śniadanie. Z tego pokoju było też (jak dzisiaj) wejście do pokoju rękopisów i medali, długiej, jasnej kiszki, gdzie na pół-

kach stały pięknie ułożone manuskrypty, a w gablotach leżały monety i medale. Ktoś tam wpadał, co chwila, wynosząc rękopis dla pracowni. Zresztą komunikacja pokoju katalogowego z pracownią odbywała się, jak dotąd, przez drewnianą windę. Winda woziła książki i rękopisy, przez windę wykrzykiwali stypendyści dolni, do stypendystów górnych, i naodwrót — swoje żądania i informacje.

Zostaje jeszcze do omówienia „mały pokój" między pokojem katalogowym a gabinetem dyrektora. Pokój to szczególnie mi drogi, bo tam w prawym kąciku, przy oknie na ogród spędziłem dwa lata z okładem, jako referent czasopism i gazet Zakładu Narodowego. Niespokojny to był pokoik. Nie było tu wprawdzie tak gęstego zaludnienia, jak w katalogu, ani takiego rwetesu, ale przechodziło tędy wszystko, co żyło: wszyscy czytelnicy do pracowni i z pracowni po trzęsących się schodkach, wszyscy interesanci i goście do dyrektora, nie mówiąc już o urzędnikach, mających różne sprawy tu i tam. My jednak (tj. wicekustosz Czarnik i 4 stypendystów) mieliśmy nasze biurka czy stoliki w drugiej, głębszej części pokoju; pracowaliśmy tam w cichej, ścieśnionej gromadce, mając równocześnie widok na całą defiladę przechodzących. Było to pewną rozrywką w szarzyźnie przepracowanego poranku.

Atmosferze pokoju nadawał ton nasz szef bezpośredni Bronisław Czarnik, doktór filozofii, polonista, ze znanej lwowskiej rodziny (brat jego, adwokat był wieloletnim prezesem „Sokoła") należał do ludzi chorych i cichych. Wysoki, chudy, łysy, o wystających kościach policzkowych zlekka zawsze przygarbiony — przedstawiał typ niewątpliwego gruźlika. Choroba była jednak stale leczona i jakby zatajona głęboko w wątłym organizmie. Całe życie tego delikatnego człowieka było przystosowane do warunków zdrowia. Czarnik chodził powoli, mówił cicho unikał wysiłków i wzruszeń, jadł rzeczy lekko strawne i odpowiednio spreparowane. Żartowaliśmy sobie z niego, że na drugie śniadanie je pokruszone alberciki z mleczkiem. A przecież umarł później na gruźlicę jelit.

Pod pokrywą dziwaka (również starego kawalera) krył się jednak człowiek niepowszedni. Nie tylko serce miał najlepsze i charakter kryształowy, ale i umysłowość ciekawą. Erudyta wielki (bo na czytaniu i kształceniu się schodziła mu większa część chorowitego żywota), esteta wrażliwy i miłośnik sztuk pięknych, znał dobry kawał świata z częstych podróży wakacyjnych za zdrowiem. Publikował niewiele, i to przeważnie rzeczy drobne z zakresu polonistyki (i sztuki), gdyż miał

niezmiernie wysokie, wprost przesadne, wyobrażenie o doskonałości wykończenia, którą osiągnąć powinna każda praca naukowa. Pracował nieustannie, gromadził materiały do większych prac, nieraz świetnie pomyślanych, pisał nawet te prace w skrytości domowego zacisza, lecz gdy przyszło do ogłaszania drukiem, wahał się, miał wątpliwości co do ich wartości, i ostatecznie ukazywał się tylko jakiś fragment czy fragmencik z nich, ujęty w formę małej rozprawki, artykułu w pismach naukowych, czy wiązanki materiałów. Ale też to, co wyszło drukiem, sto razy przez szkło oglądnięte i wycyzelowane do ostatka, było zawsze cackiem roboty pedantycznego majstra. Drobne cegiełki, o których się zapomina, lecz których znaczenie w całości konstrukcyjnej danego zagadnienia, musi być nieprzemijające. Tego, co Bronisław Czarnik w skromnym swym warsztacie wypracował, nikt nie będzie już potrzebował drugi raz robić, ani poprawiać.

Lubiliśmy serdecznie naszego szefa, szanowaliśmy jego wiedzę, z której w niezliczonych rozmowach mogliśmy korzystać; wybaczaliśmy mu jego niesłychaną drobiazgowość i pedanterię, czy to przy katalogowaniu, czy załatwianiu drobnej korespondencji. Z anielską cierpliwością wytrzymywałem polecenia Czarnika, aby np. kartkę korespondencyjną do administracji „Pszczółki", czy „Tygodnika Rzeszowskiego" z prośbą o przysłanie Nru 25-go szanownego czasopisma — pisać naprzód w brulionie, na brudno, dawać mu do przeglądnięcia (dodawał czasem jakiś przecinek lub tp.), a potem dopiero przepisywać kaligraficznie na odkrytce pocztowej. A i tak raz jeszcze to odczytywał, poprawiając ustawicznie cwikier na nosie. Nazywaliśmy go między sobą „samowarkiem", gdyż zwłaszcza rozpoczynając rozmowę miał zwyczaj wciągania i wypuszczania powietrza między zębami, co przypominało syczenie samowara. „F f f, s s s, proszę pana, literę t trzeba koniecznie pisać wyraźniej, bo zanadto jest u Pana podobna do ł. A brzuszek przy dużym B jest znowu za mały. O, widzi Pan?" Ale te lekcje kaligrafii i świętej cierpliwości miały także swoją dobrą stronę: przyzwyczajały młodego człowieka do porządku i systematyczności. I może dlatego nikt mi już potem nie potrzebował uzupełniać interpunkcji w moich skryptach . . .

O sancta pedanteria dobrego wicekustosza! O sancta irritabilitas, porywczego kustosza! Wstajecie dziś w moim wspomnieniu, owiane słodką wonią dawnych młodych lat. Niby jakiś ossoliński wariant zwady Domejki z Dowejką, czy sporu Cześnika z Rejentem o mur graniczny.

Nie żyją też od dawna bohaterowie tej upartej bibliotecznej walki. Hirschberg zmarł w 1907 r., licząc lat 60, Czarnik w 1918 w 62 roku życia. Nie byli jeszcze tacy starzy . . . Rozstali się niepogodzeni. I może jeszcze u bram niebieskich zezem patrzyły na siebie ich poczciwe, proste dusze, aż przejrzawszy błahość ziemskiego swego sporu, przypadły ku sobie z wybaczeniem.

*

* *

Żelazne, kręcone schodki zapraszają nas teraz na górę. Szukamy jeszcze bibliotekarzy. Mijamy zapełnioną czytelnię, przechodzimy przez pokój dyżurnego z bogatą, pięknie ustawioną biblioteką podręczną czytelni i wpadamy do trzeciego, mrocznego pokoju o jednym tylko oknie ((gdzie dzisiaj garderoba). Przy oknie wielkie biurko, dokoła mnóstwo książek na stołach i podłodze, a przy biurku — cóż za niespodzianka zastajemy drogiego naszego mistrza, znakomitego uczonego i profesora, Wilhelma Bruchnalskiego. Podniósłszy swoje poczciwe, wypukłe oczy ponad okulary wypatruje, kto to też wchodzi do jego niewykwintnego gabinetu. Tak, najwyraźniej uśmiecha się już z daleka.

Wilhelm Bruchnalski był długo, bo przez lat 18 (1888—1906) — skryptorem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, tj. czwartym wedle rangi urzędnikiem bibliotecznym. Wykładał już dawniej literaturę i język polski w uniwersytecie, jako docent i profesor nadzwyczajny (wedle austriackiego rozumienia), ale katedrę rzeczywistą uzyskał dopiero w 1906 roku. Był wtedy właśnie po świeżo przebytej ciężkiej chorobie Basedowa.

O profesorze — niezapomnianym profesorze! — mowy tutaj nie będzie. Widzę go w tej chwili nie na katedrze, lecz w latach 1904—1906 na tle tego ossolińskiego okna, wychodzącego na ogród. Pracuje nad układaniem katalogu realnego. Poza tym pracuje i dla siebie, zatopiony w ulubionym renesansie polskim, to w studiach nad poezją średniowieczną, czy nad Mickiewiczem. Wiadomo, jak rozległe miał zainteresowania, ogarniające cały niemal obszar piśmiennictwa polskiego. Ile nowych, ciekawych zagadnień niepokoiło ciągle jego nawskroś badawczy umysł, i jak lubił o nich rozprawiać z młodymi, pobudzając ich inicjatywę, zapładniając głowy. Nigdy nie chował olbrzymiej swej wiedzy pod korcem, nie był zazdrosny o to, co sam wymyślił czy odkrył. Miał naturę konfesyjną i lubił dużo mówić, co było potrzeba nie tylko dla jego temperamentu ale i nerwów.

Dokoła biurka Bruchnalskiego w Ossolineum zawsze było rojno. Każdy niemal z uczonych, przychodzących do pracowni, uważał sobie za przyjemny obowiązek wpaść do niego na chwilę, aby się przywitać, poplotkować, czy zasięgnąć jakiejś informacji. Przede wszystkim jednak otaczała go młodzież. Lgnęli do niego stypendyści, wchodzili raz po raz, siedzący w pracowni uczniowie, by poprosić o jakąś wskazówkę, lub radę, pochwalić się rezultatami pracy, pokazać nowy materiał, który właśnie dopiero co znaleźli w rękopisie, czy w starym druku. A niechby był który nie wstąpił choćby na krótko! Profesor na pewno go zauważył, bo kusztykał na chorych jeszcze nogach często do pokoju dyżurnego, do podręcznej biblioteki, i dobrze widział przez szklanne drzwi, kto pracuje w czytelni. Nazajutrz robił srodze obrażoną minę i burczał na studenta swoim wyrazistym, lekko z lwowska zaciągającym głosem:

— „Cóż to, pan dobrodziej, nie łaskaw był wczoraj zajrzeć do mnie? Panie, pan jest nygus, i pewnie nie miał się pan czym pochwalić. Ale za pannami to pan lata . . ."

— „Ale, gdzież znowu, Panie Profesorze. Bardzo porządnie teraz pracuję . . ." jąkał się młodzieniec.

A „Stary" (jak go nazywaliśmy, choć wcale nie był wtedy stary) już parskał drobnym, charakterystycznym śmieszkiem i groził palcem udobruchany.

Bruchnalski uczył metodą sokratyczną. Tak w stosunkach uniwersyteckich, jak i tu, w Ossolineum, w mrocznym skryptorskim pokoju.

Z wykładów jego, świetnie opracowanych korzystało się bardzo dużo, seminaria jego — prowadzone sposobem własnego jego mistrza Romana Pilata — były doskonałą szkołą metodyczną. Ale kto wie, czy nie najpożyteczniejsze (a w każdym razie najmilsze) były niezliczone rozmowy i pogawędki z „Bruchnałą", prowadzone okolicznościowo, wszędzie i na każdym miejscu. Przynajmniej najbliższym jego uczniom zostały one w najtrwalszej pamięci: te przypadkowe spotkania na ulicy, te odprowadzania Profesora z Ossolineum i z Uniwersytetu do domu, przyczem często zaciągał ucznia do mieszkania, sadzał koło siebie na wielkiej kanapie i gawędził de omnibus rebus et quibusdam aliis. Opowiadacz, znakomity anegdocista i dowcipniś urodzony, nieraz nie bez sarkazmu i juwenalowej, stronniczej indygnacji, umiał mieszać ioca cum seriis, pyszne „bajtlowanie" ze szczerą, jak złoto, nauką. W ba-

daniach i w pracy swej naukowo-pisarskiej ścisły i dokładny aż do przesady, fanatyk bezwzględnej prawdy, badacz o wzorowej sumienności, — w opowiadaniach z życia codziennego bywał niekiedy fantastą. Różnych jego wspomnień o ludziach i wypadkach dawnych, różnych historyjek o ludziach współczesnych słuchało się zawsze z zainteresowaniem, nieraz z niedowierzaniem. Niektóre jego anegdotki „ossolińskie" mają swą sławę do dzisiaj.

Lecz nagle od dykteryjek przechodził profesor niepostrzeżenie do rozmowy na jakiś temat naukowy. Poruszał nieraz od niechcenia dwa — trzy tematy. Potrafił zaimprowizować z miejsca cały wykład na dany temat. Nawet na ulicy, przystanąwszy i trzymając partnera za guzik od marynarki. I dopiero po rozstaniu się, orientował się rozbawiony przedtem student, że dowiedział się mnóstwa rzeczy, nałykał się rozrzutnej profesorskiej wiedzy, i miał o czym do myślenia choćby na cały tydzień. Czasem z takiej gawędki, przemieszanej z historyjkami i żartami, wyłaniał mu się nowy temat do pracy.

Tak właśnie bywało i w pokoju skryptora Ossolineum. Szliśmy tam, jak po pokrzepienie, witani zawsze serdecznym uśmiechem, który miał swój szczególny urok; wychodziliśmy podnieceni ożywczo do dalszych naukowych wysiłków.

Były to czasy, kiedy pomiędzy Bruchnalskim a jego starszym kolegą na katedrze, prof. Józefem Kallenbachem toczyła się jedna z tych zaciętych, cichych walk, jakie tak często trafiają się na uniwersytetach całego świata między dwoma profesorami tego samego przedmiotu. Tym z nas, którzy studiowali wtedy epokę renesansu wydawała się ta walka miniaturą renesansowych sporów pomiędzy uczonymi, niby walka Sigonia z Robortellem w Padwie, Ramusa z Charpentierem w Paryżu, lub Jakuba Górskiego z Benedyktem Herbestem w naszym Krakowie. Bo i ta lwowska walka przybierała charakter osobisty, miewała fazy łagodniejsze i ostre; i tutaj okazywała się ona dążność do rozdzielenia młodzieży na dwa nieprzyjazne obozy. Naturalnie nie nasyłano na siebie skrytobójców, jak w renesansowych Włoszech, ani żaden z naszych profesorów nie wstąpił do klasztoru, jak Herbest.

Geneza i przebieg tego długiego sporu nie należą do niniejszego opowiadania. Do podziału studentów polonistyki na dwa przeciwne obozy nie doszło we Lwowie. Pracowaliśmy pod kierunkiem obu profesorów, chociaż jeden z nas uważał się więcej za ucznia Kallenbacha, drugi więcej za ucznia Bruch-

nalskiego. Ocenialiśmy trafnie młodym rozsądkiem zalety (i wady) obydwóch naszych mistrzów, oddając każdemu z nich, co się mu należało.

Ujmował nas spokój, zrównoważenie i takt Kallenbacha, jego wielka życzliwość dla uczniów, opieka i pomoc wytrwała, jaką im niejednokrotnie okazywał. Z przyjemnością słuchaliśmy jego zawsze interesujących i pięknie wygłaszanych wykładów; mile schodziły nam godziny jego seminariów. Nie spoufalał się zanadto z uczniami, umiał „trzymać dystans", lecz czynił to zawsze w sposób delikatny i naturalny. A jak kogoś polubił, przekonawszy się o jego zamiłowaniu do nauki, czy zdolnościach, to żył z nim w stosunkach bliskich i serdecznych, nie szczędził zachęty do pracy, popierał, ułatwił druk pierwszych rozprawek czy dyssertacyj — równy, daleki od wszelkich ekscentryczności — zostawał wiernym temu opiekuńczemu stosunkowi do końca.

Z Bruchnalskim była inna sprawa. Ten zdobywał serca i podziw młodzieży przebojem. Na wykładach, nieefektownych pod względem sposobu wygłaszania, uderzał oryginalnością poglądów i ostrą nieraz krytyką innych, co zawsze podoba się młodzieży; w stosunkach osobistych, po poznaniu ucznia, obalał szybko przegrodę dystansu, a pozyskiwał młodzież bezwiednie swoją bezpośredniością, temperamentem, rżnięciem prawdy w oczy, nieowijaniem rzeczy w bawełnę, besztaniną i humorem, a nawet tą chimerycznością swego usposobienia, która szczególnie w owych latach po przebyciu choroby często się zaznaczała. Z pod tych wszystkich właściwości, czasem nawet dziwacznych, wychodziło atoli zawsze, czy chciał czy nie chciał, jak szydło z worka, jego poczciwe dla młodzieży serce, serce pedagoga z Bożej łaski, przebijała się ta specjalnie lwowska serdeczność „swojego człowieka", która tak pociąga i przywiązuje.

Czyż można było nie kochać „Starego", kiedy był taki inny od wszystkich? W jego niewielkiej sali wykładowej w starym uniwersytecie, pełnej po brzegi, mieściło się może studentów niewielu. Ale zato byli to sami wyznawcy, gotowi za mistrzem wskoczyć w ogień. I co ciekawe, do najoddańszych należeli wówczas — w czasie wielkiego rozpolitykowania młodzieży — często studenci z przeciwnego niż Profesor obozu politycznego. Miłość dla profesora, szacunek dla jego wiedzy, brały bez wahania górę nad wszelkimi względami politycznymi. Rzecz trudna do pomyślenia w dzisiejszych czasach.

O pokój skryptora Ossolineum obijały się również echa tej zwady między profesorami. Cierpka jej woń unosiła się nieraz nad dyskusją. Ale my, młodzi, nie braliśmy tej sprawy zbyt serio. Wyczuwaliśmy, że walka toczy się tu tylko o drobiazgi; umieliśmy dostrzegać ludzkie a nawet wesołe strony tego renesansowego turnieju. Wiedzieliśmy wreszcie, że idzie tu właściwie o przeciwieństwa dwóch odmiennych umysłowości i dwóch sprzecznych z sobą temperamentów. I że tak było, jest i będzie zawsze w uniwersytetach.

Wilhelm Bruchnalski był naszą duszą opiekuńczą w Ossolineum. Kiedy w r. 1906 opuścił progi Zakładu, zachodząc tam tylko czasem jako profesor (do Biblioteki Uniwersyteckiej było mu bliżej), wydawało nam się przez dłuższy czas, że powiała tutaj na nas jakaś dojmująca pustka. Tym mocniej skupiliśmy się koło kochanego profesora w uniwersytecie i u niego w domu.

Obraz starszyzny bibliotekarsko - urzędniczej Ossolineum w pierwszych latach naszego stulecia nie byłby pełny, gdybyśmy zapomnieli o trzech jeszcze czynnych wówczas w Zakładzie osobistościach: o Władysławie Bełzie, Bronisławie Gubrynowiczu i Tadeuszu Czapelskim.

Bełza, znany autor książek dla dzieci, zdolny i popularny poeta, autor przepięknego w swojej prostocie „Katechizmu polskiego dziecka", był wtedy sekretarzem administracyjnym Zakładu i naczelnikiem „Wydawnictwa książek szkolnych", związanego z Ossolineum. Niegdyś piękny, bujny, wesoły, pełen energii mężczyzna, a rzutki i inicjatywny literat i współorganizator lwowskiego życia kulturalnego, odgrywał w naszym mieście niemałą rolę. Nie brakło go w żadnym towarzystwie naukowo-literackim, w żadnej imprezie artystycznej. Należał przecież także do założycieli „Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza" i parał się nawet pracą naukową, ogłaszając szereg artykułów i materiałów o ukochanym przez całą rodzinę Bełzów — Mickiewiczu. W czasie, kiedy go poznałem w Ossolineum, Bełza był już stary i chory na serce, a wskutek tego czasem nadmiernie drażliwy. Dawna jego żywość — o której opowiadali ludzie — jakby zastygła i tylko rzadko przejawiała się w jakiejś ożywionej rozmowie, w której trysnął dowcipem. Chodził powoli i nosił się majestatycznie. Wyglądał na bardzo zarozumiałego. Złośliwe języki mówiły, że uważa się za czwartego obok trzech wieszczów. Patrzyliśmy na niego z respektem, znając z dziecinnych lat jego wiersze i opowiadania. Jego „Katechizm" umiało już

wtedy na pamięć każde polskie dziecko, a matki uczyły go razem z pacierzem. Pod tym względem do dzisiaj nic się zresztą nie zmieniło. Możliwe, że niesłychane powodzenie tych prostych, jak prawdy wiary, 16 wierszy, które poeta, naprawdę w chwili jakiegoś patriotycznego natchnienia, wyrwał ze swej najszczerzej polskiej duszy, wzbiło w dumę starzejącego się człowieka.

My, młodzi stypendyści, nie mieliśmy do Bełzy rozpędu. A byliśmy od niego uzależnieni, gdyż wypłacał nam nasze miesięczne pensje w wysokości, zdaje się, 15 reńskich (30 kor.), i co jeszcze ważniejsze — miał prawo udzielania zaliczek na te pensje. Boże święty, cóż taka zaliczka mogła wynosić? Jeden, najwyżej dwa reńskie. Bieda akademicka niejednemu doskwierała, w domu u wielu z nas nie przelewało się szczególnie z końcem miesiąca; a zresztą czasem chciało się mieć gotowy pieniądz na jakąś rozrywkę, choćby teatr (kina były dopiero w zaczątkach), kawiarnie, czy skromną bibkę studencką podczas niedzielnego spaceru na Pohulankę czy do browaru Grunda.

Wtedy szło się z duszą na ramieniu do Bełzy. Wiadome było, że zaliczek dawać nie lubił, a w każdym razie starał się redukować do minimum. Stary pisarz dla młodzieży, był niezłym pedagogiem. Chciał uczyć młodych oszczędności; przecież najlepiej by było, jeśliby taki ananas dostał nienaruszoną „pensję" na pierwszego i mógł sobie coś za to kupić, czy zapłacić jakąś należność.

Wchodziło się tedy do „pana sekretarza (naczelnika)" z trwogą, ściskając w ręku z góry napisany kwitek. Autor „Katechizmu polskiego dziecka" podnosił się dostojnie z za biurka, podawał ci końce palców i od razu groźnie obskakiwał nieboraka:

— „Znowu zaliczka? Na co panu tyle pieniędzy? Dwa guldeny, czy Pan oszalał? Proszę mi głowy nie zawracać, mam tu ważniejsze sprawy, itd.".

I zwracał petentowi kwitek z lodowatą miną. Zdarzało się nawet, gdy się czuł gorzej, że miętosił z wściekłością kartkę w ręku i ciskał na podłogę. Nieszczęsny młodzieniec nie próbował nawet tłumaczyć się lub prosić. Z nerwami starego Bełzy nie było żartów. Kłaniał się więc sztywno, nieco urażony (bo od czegoż godność akademicka?) i wycofywał się z pokoju.

Ale teraz rozpoczynała się druga część sceny.

— „Panie, dokąd Pan lecisz?" — wołał za nim Bełza. — „A to chłopczysko kąpane w ukropie. — I żadnego poszano-

wania dla starszych. Siadaj Pan, tam przy stoliku, masz Pan papier i pisz kwit. Może Panu dać 3 guldeny? Tylko, czy potem na pierwszego nie będzie kweresu . . . Dlaczego Pan bierze zaliczkę?"

Wtedy mówiło się albo szczerą ludzką prawdę o swoich brakach w budżecie, co Bełzę zawsze wzruszało, albo łgało się z miejsca na czym się niewątpliwie poznawał.

— „Napisał Pan już kwit. Na 3 guldeny? Prędko, bo nie mam czasu. A wielka rzecz, choćbyś Pan nawet z dziewczyną chciał pójść na ciastka! Kiedyż Pan będziesz chodził, jak nie teraz. Może wtedy, jak Pan będzie miał 60 lat, co?"

Szara twarz z krótkim siwym wąsem rozjaśniała się dobrym uśmiechem, a zmęczone oczy za szkłami cwikiera błyskały jakimś żywszym ognikiem. Stary poeta, co tyle dzieci pieśnią swoją wykołysał, wtykał ci 3 srebrne guldeny w łapę, poklepał protekcjonalnie po ramieniu i ściskał mocno za rękę. Czasem i z łezką w oku.

— „A nie obrażaj się Pan zaraz, jak fukam. Koszulę nosiłeś, synu, w zębach, jak ja już dla was pisałem. Niezdrów jestem, to i nerwy nie dopisują".

Taki to srogi był pan Bełza, którego kochane książki leżały gdzieś w szufladzie razem z naszymi dziecinnymi zabawkami.

Zupełnie co innego dr. Bronisław Gubrynowicz, panujący w „Muzeum Lubomirskich", jako kustosz tych zbiorów.

Średniego wzrostu, przystojny, skłonny od młodu do otyłości, pięknie zawsze wygolony i ubrany, miał zamiłowanie do pewnej okrągłości słowa i gestu. Pochodził z wybitnej mieszczańskiej rodziny lwowskiej, był synem zasłużonego księgarza Józefa Gubrynowicza, i zachował coś z powagi i wymowy dawnych patrycjuszów lwowskich, co to nie gorsi byli od szlachty, a nawet od zagranicznych baronów. Tylko w kontusz paradny go ubrać i kazać mu przemawiać na ratuszu! Zwiedził kawał świata, studiował zagranicą, i przywiózł stamtąd dużo europejskiego poloru. Był dobrym naukowcem-polonistą, pisał wówczas dość dużo, współpracował w „Towarzystwie Mickiewiczowskim".

Wypadło mu być strażnikiem zbiorów z zakresu historii sztuki i archeologii, bogatego muzeum pamiątek narodowych, chociaż nadawał się raczej na bibliotekarza (był też poprzednio skryptorem Ossolineum). Przystosował się jednak łatwo do nowych warunków; był estetą, kochał piękno i sztukę, potrafił więc z pożytkiem kierować zbiorami muzealnymi, zaniedba-

nymi w poprzednim okresie przez kustosza dziwaka z minionej dawno epoki.

My pracujący w bibliotece, nie mieliśmy z „Muzeum Lubomirskich" zbyt ożywionych kontaktów. Biegało się tam czasem po jakąś książkę ilustrowaną lub album, zachodziło się do kolegów stypendystów, przydzielonych do Gubrynowicza. Ale sam Gubrynowicz bywał w bibliotece codziennie, nieraz po kilka razy, a poloniści znali go dobrze, jako docenta uniwersytetu, wykładającego wtedy właśnie ciekawy kurs o staropolskiej powieści. Umiał zresztą utrzymywać stosunki z młodzieżą, zwłaszcza ze swoimi słuchaczami. Jako młody docent, dbał o audytorium. Bardzo towarzyski z natury, lubiący w dobrej kompanii (ks. Fijałek, Chlamtacz) przesiedzieć wieczór przy piwie lub winku, tę samą towarzyskość okazywał i wobec młodszych. Napozór lekko protekcjonalny i poklepujący po ramieniu był w rzeczywistości prosty, serdeczny, uczynny i miał złote serce. Zagadywał nas zawsze pierwszy, dopytywał o pracę, żartował i dowcipkował w właściwy sobie sposób, bez jakiejkolwiek złośliwości, jak równy z równymi, gestykulując okrągło, ładnie, po staropolsku. Lubiliśmy ten jego trochę sztuczny, protekcyjny gest za którym nie kryła się absolutnie żadna sztuczność wewnętrzna, tylko dobroć i życzliwość dla ludzi. Lubiliśmy jego nawyczki językowe: wtrącane często: „Wie Pan" i „Tego — owego", zapełniające chwilową lukę myślową biegłego oratora. Zawsze był gotowy do rady, a że czytał i przeglądał mnóstwo książek i czasopism zagranicznych, że miał doskonałą pamięć bibliograficzną, więc zawsze można się było od niego ciekawych rzeczy dowiedzieć.

Przepracowało się z nim potem na innych polach wiele lat, ale do końca został właściwie zapamiętanym z naszej młodości ossolińskiej. Duchowo nie zestarzał się nigdy. Nawet w cierpieniach zachował pogodę ducha. I zachował to, co zawsze w człowieku jest najcenniejsze: dobre serce.

Ale oto z poza postaci sztywnego Bełzy i uprzejmego dla wszystkich Gubrynowicza wysuwa się w szarmanckich ruchach trzecia postać i nieprzepłacony, niezapomniany „redaktor" Tadeusz Czapelski, drugi skryptor Ossolineum. Przystojny, dość tęgi brunet z bujną jeszcze grzywą, krótkim wąsem i czarną kozią bródką, którą pieszczotliwie gładził, z żywymi oczyma, z których przemawiała i bystrość i ukochanie życia, i pogodna, zawsze czujna ironia — przedstawiał klasyczny typ dziennikarza i literata warszawskiego z ostatnich lat ubiegłego stulecia. Bo chociaż Lwów był rodzinnym miastem Czapel-

skiego, chociaż tu odbywał studia i zaczynał parać się piórem, to jednak Warszawa lat 80-tych XIX w. była dla niego krajem młodzieńczych, górnych lotów, bajecznie szybkiej kariery dziennikarskiej, życiowych powodzeń i niepowodzeń. Któż w tak młodym wieku, jak on niegdyś, zasiadał przy biurku naczelnego redaktora „Kurjera Warszawskiego", wpływając możnie na opinię polskiej stolicy pod moskiewskim władaniem?

Kariera rozprysła się szybko; przeniósł się do Lwowa, pracował tutaj w Ossolineum i w publicystyce, lat prawie czterdzieści; był osobistością popularną i w pewnych okresach wpływową; kochał Lwów całą duszą. Ale tamta Warszawa została dla niego zawsze wspomnieniem najpiękniejszym. Została mu na zawsze jej wysoka kultura dziennikarsko-publicystyczna, wyrobiona jeszcze w czasach pozytywizmu, jej potrzeba czerpania szerszego tchu z Zachodu; zostały mu maniery warszawskiego dziennikarza wysokiej klasy, nabyte w tamtejszej praktycznej, życiowej szkole. Cienie wielkich redaktorów publicystów i pisarzy-literatów warszawskich skończonej już doby chodziły za nim po ulicach Lwowa i nachylały się nad jego biurkiem w Ossolineum, gdzie pisał swoje stałe korespondencje do pism warszawskich.

W Ossolineum był za moich czasów kierownikiem „Czytelni dla młodzieży, która mieściła się w osobnej niewielkiej sali na górze (gdzie teraz Biblioteka Pawlikowskich), do której wchodziło się drewnianymi schodkami wprost z głównego korytarza. Schodki znajdowały się u końca jego drugiej mrocznej części, w miejscu, w którym dzisiaj zaczyna się przedpokój katalogowy. Wpadał tam rano Tadeusz Czapelski w swoim oryginalnym stroju, przypominającym i poetę końca XIX w., i dziennikarza, władcę dusz, i Rinalda Rinaldiniego. Może i literackie kawiarnie paryskie tamtej epoki, które znał dobrze. Wielkie rondo ciemnego, pilśniowego kapelusza, włożonego nieco na „co mi zrobisz?", ogromny fontaź czarnego zwykle krawata, zawiązanego z fantazją, mantyla zarzucona na ramiona, teka z papierami, gazety, papieros w ustach, mina królewska, chochlik błąkający się w uśmiechu pod wydatnym, roztropnym nosem. Po drodze zachodził aż do pokojów bibliotecznych, witał się ze wszystkimi, wnosząc każdego ranka jakby zapowiedź pogodnego i dobrego dnia.

Do „Czytelni dla młodzieży uczęszczała osobliwa publiczność. Czytelnia była otwarta rano, do południa, jakich więc mogła mieć młodocianych czytelników? Byli to przeważnie

uczniowie gimnazjalni, chodzący — jak to się wtedy mówiło — „poza szkołę" („hinter die Schule"). Bał się chłopiec matematyki, czy łaciny, nie przygotował się na lekcje, albo po prostu „nie chciało mu się" dzisiaj siedzieć w klasie, to szukał wybiegów. Gorsi leniuchowali w domu, symulując chorobę, albo szli na wagary poza miasto, z kieszenią pełną papierosów; lepsi biegli po 8-mej do Ossolineum, do pana Czapelskiego, i przepędzali tam pół dnia na czytaniu beletrystycznej literatury. W cichej latem chłodnej sali, gdzie ich nikt nie śledził, nikt im nie przeszkadzał. Nazajutrz przynosiło się z domu świadectwo choroby (zwykle „niedyspozycja żołądkowa" albo ból zębów), podpisane przez miękkie serce matki. Niektórzy z moich dawnych kolegów robili jeszcze inaczej: kupowali za grosze w sklepach papierowych bilety wizytowe lekarzy lub księży, a któryś ze starszych kompanów wypisywał im na nich świadectwa choroby, lub zaświadczenia o nabożeństwie żałobnym za duszę śp. babki czy dziadka. Pamiętam, że jednego roku w naszym V gimnazjum (bernardyńskim) pojawiały się w wyższych klasach zaświadczenia o mszach żałobnych, wystawiane przez księdza Kalasantego Figurę; widocznie zacny Ojciec, bernardyn czy franciszkanin, dał sobie zrobić całe pudełko wizytówek, i albo ich nie odebrał w sklepie, albo umarł, albo mu je chytrze wykradano. Aż ta hipertrofia żałomszy za śp. dziadów zwróciła uwagę dyrektora i katechety. Wtedy dobrotliwy O. Figura zamilkł.

Otóż z takich to żałobników ks. Figury, albo pacjentów mało znanych lekarzy składała się w znacznej mierze publika „Czytelni dla młodzieży". Z sześciu gimnazjów lwowskich, dwóch szkół realnych i seminarium, uzbierało się ich zawsze kilku, czasem i kilkunastu. Naturalnie, bywali i inni, jacyś eksterniści lub prywatyści, niezwiązani godzinami szkolnymi, albo zgoła i wypędki z gimnazjum, czekający na miejsce w innym zakładzie. Dziewczęta do Czytelni nie uczęszczały. W Ossolineum siedziało to wszystko pilnie, i czytało zapamiętale.

Dopóki kierownikiem „Czytelni dla młodzieży" był Bełza znawca dusz młodych i ich pisarz, panował tam pewien ład i porządek. Stary poeta wiedział, że to uciekinierzy ze szkoły, ale miał dla młodych szczególne względy i był rad, że przychodzą tu czytać piękne książki, zamiast wałęsać się lub grać w bilard po szynkach, Równocześnie pilnował pewnych rygorów dobierał chłopcom odpowiednią lekturę, nie pozwalał rozwłóczać książek.

Za Czapelskiego nastała błogosławiona era. Otoczony gazetami, siedział pan redaktor, z cwikierem na nosie, przy swoim biurku i pisał korespondencje, artykuły do pism poza lwowskich, albo redagował ważniejsze pisma dla dyrekcji Ossolineum. Był bowiem przez całe lata, aż do końca życia, nadwornym stylistą i kanclerzem Zakładu. Do niego należało układanie wszystkiego, co miało być uroczyste i pro publico foro. I tego, co o Ossolineum szło do prasy. A wreszcie nadawanie ostatecznego kształtu wszystkim ważniejszym pismom do władz i znakomitych osób. Tadeusz Czapelski czynił to z prawdziwą pasją. Uważał się za stylistę z Bożej łaski, za znawcę wszystkich piękności języka ojczystego, od którego powinni uczyć się młodzi. To przekonanie, że potrafi, jak mało kto, stać na straży czystości polszczyzny i krzesać z niej wszelkie blaski — było główną jego, zresztą sympatyczną słabością. Był istotnie niepoślednim majstrem pióra; pisał potoczyście, jasno i pięknie, jak niewielu współczesnych dziennikarzy, zwłaszcza u nas we Lwowie. Na gruncie lwowskim bronił języka polskiego w prasie przed szerzącym coraz większe spustoszenia niechlujstwem i nieuctwem i niedołęstwem przeróżnych pismaków, nazywających się dziennikarzami. Było zaś w tej upartej obronie coś rasowo polskiego.

Czapelski lubił opowiadać, jak to niegdyś we Lwowie i w Warszawie poprawiał styl i język wybitnych pisarzy, drukujących powieści i nowele w pismach codziennych. Przytaczał różne nazwiska, np. znanego niegdyś powieściopisarza Jana Zachariasiewicza. Sprawiało mu satysfakcję jeśli w książce lub artykule powszechnie cenionego pisarza znalazł jakiś mankament stylowy: niewłaściwą składnię, mniej udatny zwrot, źle dobrane słówko. Pokazywał to zaraz kolegom bibliotecznym: „To nie po polsku!" mówił ze specjalnym odcieniem swego miłego seplenienia i orzekał, jakby to naprawdę po polsku powinno wyglądać. Żartowano sobie z niego, że cierpi dotkliwie, nie mogac przychwycić na jakiejś cięższej zbrodni językowej Sienkiewicza.

Tkwiło w tem niemało przesady, chociaż dyskusje bywały miłe i zabawne. Czapelski przypominał niekiedy któregoś z pseudoklasycznych Iksów warszawskich z okresu Księstwa, polujących na błędy z kodeksem puryzmu językowego w ręku. A przecież jego język mógł znowu razić kogoś żywszego tym swoim puryzmem lub upodobaniem w pewnych dosyć już przetartych zwrotach.

Lecz zrobiłoby mu się krzywdę twierdząc, że nie uznawał postępu w tej dziedzinie, a nawet mocno indywidualnego charakteru czyjegoś stylu. Miał smak i rozumiał prawa pisarza do twórczości stylowo-językowej. Byle to było zgodne „z duchem naszego języka". Cały sęk w tym, że klucz od tajemnic tego ducha nosił p. Tadeusz w swojej kieszeni.

Zajęty oglądaniem pod światło własnych artykułów i cudzych prac, nie miał Kierownik „Czytelni dla młodzieży" czasu na dozorowanie smarkaterii. Chłopcy zaczęli buszować po półkach z książkami, czytać, co im się żywnie podobało, pożyczać książki do domu za pozwoleniem i bez pozwolenia. Poza tym szeptano, rozmawiano, niemal bawiono się. Gdy Czapelski wychodził na papierosa lub w odwiedziny do innych biur, młodzi robili, co chcieli. Kętrzyński rzadko kiedy tu zachodził, chyba gdy miał pilny interes do Czapelskiego. A że wśród bywalców czytelni zdarzały się jednostki lekkomyślne lub o małym poczuciu moralnym, więc biblioteka zaczęła się systematycznie przerzedzać. Często czytelnik znikał z pożyczonymi książkami, i tyle go widziano. To książka jakaś ginęła w tajemniczy sposób; to znowu zużywano zbyt szybko egzemplarze, plamiono je, szpecono dopiskami, niszczono okładki. Zasoby Czytelni nie były należycie uzupełniane i pomnażane, bo dział ten uchodził już wtedy w bibliotece par excellence naukowej, jaką było Ossolineum, za jakiś tradycyjny, konieczny balast, za jakąś „bokówkę" właściwego Zakładu. Ale Dyrektor nie lubił usuwać rzeczy, ustalonych przez tradycję.

Chodził tedy p. Tadeusz codzień po schodkach do „Czytelni", do której prowadzenia nie był jako żywo stworzony. A Czytelnia chorowała na suchoty i więdła. Powstawały już zresztą w mieście coraz liczniejsze wypożyczalnie doborowych książek, a T. S. L. rozwijało w zakresie czytelnictwa młodzieży coraz energiczniejszą działalność.

Dobrze było Czapelskiemu na tej „górce". Czasem tylko rzucił okiem po salce, a gdy spodobała mu się jakaś dziarska, polska mina, jakieś bystre, młodzieńcze oczy, to przemówił coś i zażartował. Zajęcie mogło po prostu uchodzić za synekurę.

Daleko lepiej wyzyskano później (lecz już trochę za późno!) szczególne walory i uzdolnienia p. Tadeusza, mianując go w 1916 r. sekretarzem literackim Zakładu i poruczając mu częściową współpracę nad literackimi wydawnictwami Ossolineum. Takiej wybrednej korekty tekstów jak on, nie potrafił chyba nikt inny zrobić.

Dla nas, młodych wtedy adeptów nauki i pióra, pracujących w Ossolineum, był stylowy Tadeusz Czapelski, nie tylko osobistością interesującą, lecz także pożądanym na niwie literackiej doradcą, przewodnikiem i krytykiem.

Rozmowy z nim pociągały zawsze. Nie przez bogactwo treści, ani przez żadną głębię poruszanych tematów, lecz przez swoją formę indywidualną. Mówił i opowiadał doskonale, sypał anegdotami i ploteczkami literackimi, skrzył się dowcipem i subtelną satyrą, a łobuzerski uśmieszek, niesprzeczny jakoś z jego pełną godności miną, nie schodził mu z ust. Znał z dawniejszych lat wszystkie środowiska umysłowe Polski i był niewyczerpaną kroniką wiadomości o ludziach, którzy w tym życiu intelektualnym odgrywali wybitniejsze role. Charakteryzował znakomicie jak świetny portrecista (lub karykaturzysta) kilku pociągnięciami ołówka. Szkoda, że nie zostawił pamiętników, albo że ktoś nie spisywał tych jego wspomnień i facecyj, które często pysznie charakteryzowały i jego samego.

Np. taki epizod z Paryża. Jako młody człowiek bawił Czapelski w stolicy Francji, zapoznając się z tamtejszym życiem dziennikarskim i literackim. Stosunków nie miał jeszcze wyrobionych, w kieszeniach dość pusto; miał tylko swoją dobrą minę, pewną siebie i zadzierżystą. Był — jak zawsze później — doskonałym aktorem i umiał w razie potrzeby zagrać wielkiego pana. W Paryżu miała odbyć się właśnie jakaś wielka uroczystość czy przyjęcie oficjalne, nie pamiętam już jakie. Zdaje się w Pałacu Elizejskim. O zaproszenia było ogromnie trudno, cóż dopiero dla nieznanego i bezpieniężnego etrańżera. A trafiło się, że właśnie przyjechał do Paryża jakiś przyjaciel p. Tadeusza z Warszawy, który za wszelką cenę pragnął być na owej recepcji. Zamęczał tym Czapelskiego, jako obeznanego już z intelektualną stolicą Europy. P. Tadeusz wskazywał trudności, lecz po namyśle wkońcu obiecał. Naturalnie o wydostaniu karty wstępu nie było mowy. Czapelski ubrał się pierwszorzędnie (a umiał to robić) i o taki sam strój kazał postarać się przyjacielowi. Poszli. Przy wejściu do Pałacu tłumy ludzi, nadjeżdża cały wielki świat, nieskończonym szeregiem przewijają się karoce. Oni też wzięli co najokazalszą dorożkę. Wyfraczeni lokaje obstawili wejście, a jeden z nich, najwspanialszy, odbiera karty wstępu. Bez pytania przepuszcza tylko znanych sobie dygnitarzy. Towarzysz p. Tadeusza dygoce z niepokoju, chociaż jest pewien, że Czapelski ma przecież zaproszenia w kieszeni. Zbliżają się do portalu: Pan Tadeusz gra świetnie rolę ważnej osobistości. Wygląda conajmniej, jak

książę Monaco. Wspaniały lokaj nie pyta go nawet o kartę, natomiast zatrzymuje grzecznie niepozornego jego kolegę, prosząc o okazanie zaproszenia. Tableau! Wtedy p. Tadeusz odwraca spokojnie głowę w bok i tonem wyniosłym cedzi: „Ten pan idzie ze mną!" Lokaj zgiął się w przepraszającym ukłonie, a dwaj dziennikarze warszawscy wzięli udział w pożądanej uroczystości.

Tak opowiadał jednego dnia z filuternym uśmieszkiem Czapelski. Si non e vero, e bene trovato. A nauka moralna? Pamiętaj, młodzieńcze, że pewność siebie i dobra mina to połowa powodzenia.

Czapelski interesował się tym, co młodzi stypendyści w Ossolineum pisali i jak pisali. Nie obchodziły go nasze referaty i prace seminaryjne, lecz nasze pierwsze próby naukowo-literackie lub ściśle literackie, ukazujące się na łamach pism naukowych, literackich czy dzienników. Co tam kto wydrukował w „Pamiętniku Literackim", „Tygodniku Ilustrowanym", „Słowie Polskiem" lub „Kurierze Lwowskim". Czytał wszystko dokładnie, a potem zapraszał autora na pogadankę, i nachwaliwszy go najpierw, wykomplementowawszy dla zachęty, zwracał delikatnie uwagę na takie czy inne usterki, czasem treściowe (o ile się tematem interesował), częściej stylistyczno-pisarskie. A jeśli usterek nie było, to koleżeńska dyskusja toczyła się na temat, jakby to można było powiedzieć jeszcze lepiej i piękniej po polsku, jakby można „celniej" podniecić uwagę czytelnika. Młodym nie wszystko się w tych uwagach starego wygi podobało, sprzeczali się więc nieraz i przekonywali łagodnego Zoila. W rezultacie byli wdzięczni, i potem nieraz przynosili Czapelskiemu swoje rękopisy do przejrzenia przed drukiem.

Czapelski bardzo lubił tę swoją „szkołę"; umiał poznać się odrazu na prawdziwym talencie pisarskim i wtedy tem usilniej napierał na wydoskonalenie, stawiał wysokie postulaty, rozgrzewał ambicję; gdy młody zapowiadał się tylko jako pisarz średni lub słaby w piórze (aczkolwiek naukowo wartościowy), nie szczędził pomocy, wskazówek osobistych, dyskretnych poprawek. W ten sposób przechodziły przez skalpel Czapelskiego „pierwiosnki" literackie wielu z nas stypendystów: Kleinera, Wasylewskiego, Fischera, Wierczyńskiego, Kipy, moje, choć może nie każdy zechce sobie to przypomnieć. Kiedy Czapelski objął po Jeske-Choińskim redakcję pięknego tygodnika literackiego „Kronika Powszechna", wydawanego we Lwowie staraniem kół katolickich (bo twardy był z niego

katolik!), zaczął nas werbować do współpracy i z całą gotowością pomieszczał tam nasze większe i mniejsze artykuły. Pismo było redagowane przez p. Tadeusza z niezwykłą pieczołowitością i wielkim nakładem pracy. Dumny był, że ma wreszcie znowu po latach własny organ. Dumny był, że prezentuje w swoim piśmie czytającej publiczności młode talenty, co obok niego czynił wtedy we Lwowie celowo chyba tylko stary hofrat i znakomity powieściopisarz, Adam Krechowiecki w „Gazecie Lwowskiej" i „Przewodniku naukowo-literackim" (dodatku do „Gazety"). Ale kto się dostał w „Kronice Powszechnej" w ręce Czapelskiego — ten ustępował eo ipso „znawcy polskiego stylu" choćby cząstkę swoich praw. Bo Czapelski teraz nie tylko delektował się lepszymi ustępami artykułów, jak smacznym owocem, lecz korzystał że swoich uprawnień redaktorskich i pozwalał sobie często (chociaż co prawda, z umiarem) obcinać młodym drzewkom zbyt wybujałe (jego zdaniem) gałązki, a na naszych grządkach siać tu i ówdzie swoje kwiatki. Jakiż byłem niezadowolony, gdy w jednym z moich artykułów wyrażenie „znakomity pisarz (czy mąż)" zastąpił mi wyrażeniem „przedni pisarz". „Co u diabła" — dąsałem się — „dotąd myślałem, że przednia może być tylko cielęcina".

Trening Tadeusza Czapelskiego nie był zły. Człowiek uczył się patrzeć uważniej w swoje pióro, szacować sobie polskie słowo i kilka razy przeglądnąć manuskrypt, zanim się go odniosło do drukarni. Nikomu to napewno na niekorzyść nie wyszło.

OSTATNI TOM BIBLIOGRAFII ESTREICHERA

Książka, która leży przede mną, ukazała się w pierwszych dniach wojny. Nie pojawiła się nigdy w handlu księgarskim. Nie wiadomo, co się stało z jej nakładem.[1] Egzemplarz, który czytałem, jest najprawdopodobniej unikatem poza granicami kraju.

Bardzo to szacowna książka: Estreichera „Bibliografii Polskiej" tom XXXIII, lit. Wil-Y.

Jeszcze sześć lat temu mogło się wydawać, że los „Bibliografii" będzie normalnym losem wielkich kompendiów erudycyjnych: książek, które rodziły się w ciągu długich lat, przychodziły na świat cicho, witane przez garść tylko ludzi, zdolnych ocenić ich znaczenie, aby potem na półkach bibliotecznych zająć miejsce na stałe i stać się dła następnych pokoleń niezbędnym towarzyszem pracy naukowej.

Ale wojna sprawiła, że los tego dzieła jest losem tragicznym. Praca nad „Bibliografią", której pierwszy pomysł narodził się przed niespełna stu laty, bo w r. 1848, tuż przed wojną zdawała się dobiegać końca. W przedmowie do ostatniego wydanego tomu, która nosi datę 25 sierpnia 1939 r., autor dzieła pisał: „Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie mimo zbliżających się groźnych chmur, to druk ostatniego tomu rozpocznie się z końcem roku bieżącego, a w ten sposób rozległe rozmiarami dzieło dobiegnie wreszcie do końca".

Na przeszkodzie stanęła wojna. Tom ostatni dzieła — ogólnego zbioru tom trzydziesty czwarty, — który miał obejmować literę Z — w ogóle się nie ukazał. Autor „Bibliografii", prof. Stanisław Estreicher, zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym dn. 28 grudnia 1939 r.

Dzieło, które powstawało przez lat przeszło dziewięćdziesiąt, nie mogło być — rzecz prosta — dziełem jednego człowieka.

[1] Autor, drukujący swój szkic w londyńskiej „Nowej Polsce" (czerwiec 1945), nie mógł oczywiście wiedzieć, że nakład ocalał i jest do nabycia w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie.

Rozpoczął je Karol Estreicher, który dzięki niemu właśnie zyskał sobie tytuł „ojca bibliografii polskiej". Kiedy w r. 1908 umarł, podjął się kontynuacji „Bibliografii" jego syn, a w ostatnich latach jego życia także i bliski jego współpracownik Stanisław Estreicher. Poza nimi dwoma żadnych „współpracowników" „Bibliografii" nie było: autorzy bibliografii używali płatnej siły pomocniczej do mechanicznej pracy kopiowania tytułów; ten i ów nadesłał garść tytułów (co zawsze skrupulatnie kwitowane było w przedmowach), — ale naprawdę cała „Bibliografia" stała tylko pracą tych dwóch ludzi. Legendy o „sztabie współpracowników", które czasem nawet znajdowały swój wyraz w druku, były tylko mimowolnym hołdem dla wielkości wykonanej pracy, ale rzeczywistości nie odpowiadały.

Rzecz prosta też, że dzieło, którego historia powstania obejmuje lat z górą dziewięćdziesiąt, nie może być dziełem zupełnie jednolitym, — że jego plany, sposób wykonania z biegiem czasu ulegały znacznym zmianom.

Pierwsze siedem tomów „Bibliografii" — to po prostu chronologicznie ułożony inwentarz druków polskich XIX w. Jego pełny tytuł, dziś już trącący stylową myszką, brzmi: „Katalog 50.000 druków polskich lub Polski dotyczących od r. 1800, ułożony abecadłowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem cen księgarskich".

Część druga „Bibliografii" — tomy VIII do XI — jest chronologicznym zestawieniem druków polskich od pierwszych inkunabułów z końca XV w. aż po r. 1889.

Z tomem dwunastym rozpoczyna się trzecia część „Bibliografii" Estreichera. Ta część, która jest dla nas właściwą „Bibliografią" i dzięki której „Bibliografia" jest jednym z monumentalnych osiągnięć nauki polskiej. Jest to mianowicie rozumowana bibliografia druków polskich lub obcych, dotyczących Polski, XV—XVIII w., ułożonych w porządku alfabetycznym nazwisk autorów lub — przy drukach anonimowych — pierwszych wyrazów tytułów.

Pierwsze dwie części dawały tylko najelementarniejsze informacje o książkach: nazwisko autora, tytuł, przeważnie mocno skrócony, rok wydania. Były swego rodzaju gigantycznym katalogiem księgarskim. Ambicją trzeciej części jest danie między innymi względnie pełnego opisu bibliograficznego i rozwiązanie nasuwających się przy opisie książki problemów bibliograficznych. Między innymi, — bo jak zobaczymy następnie, ambicje te sięgają dużo dalej.

Ale już sam opis bibliograficzny i rozwiązanie problemów, to wcale nie jest rzecz tak prosta, jakby się czytelnikowi niefachowemu wydawało. W dawnych książkach bez porównania częściej niż we współczesnych mamy do czynienia z mistyfikacją bibliograficzną: — książka stara się wmówić w czytelnika, że jest napisana przez kogo innego, a nie przez tego autora, którego dziełem jest naprawdę, że wydrukował ją nie ten drukarz, spod którego prasy naprawdę wyszła, ale kto inny. Z reguły tak ma się rzecz przy książkach, których treść z tych czy innych względów była drażliwa, których druk z tych czy innych względów mógł być szkodliwy, — to zn. przy książkach najciekawszych. Nie tylko zresztą wzgląd na bezpieczeństwo bywał powodem mistyfikacji bibliograficznej. Czasem działały tu względy nieuczciwej konkurencji księgarskiej: jeden księgarz miał przywilej na drukowanie popularnej książki (t. zn. mówiąc terminami współczesnymi: nabył jej prawa autorskie) a drugi podszywał się pod jego firmę. Albo na odwrót: starą książkę „odświeżano" w ten sposób, że dodrukowywano jej nową kartę tytułową — żeby wymienić tylko najbardziej typowe przykłady. Dodajmy jeszcze do tego, że dawniej dużo częściej niż dzisiaj książki — nieraz poważne dzieła — wychodziły anonimowo oraz że współczesny typ przejrzystego i krótkiego tytułu jest tworem stosunkowo niedawnej daty.

Porządna bibliografia powinna więc dać nie tylko możliwie pełny opis druku, ale także ustalić, kto jest naprawdę jego autorem, kto go naprawdę wydał, ile książka naprawdę miała wydań. Wymaga to nieraz wcale skomplikowanych zabiegów.

„Bibliografia" Estreichera nie ograniczyła się jednak tylko do opisów bibliograficznych druków. Przy większości książek, z reguły przy każdej ważniejszej, po opisie bibliograficznym następuje tekst podany petitem. Zwraca on uwagę na ciekawe elementy treści książki, informuje dla jakich zagadnień książka może przynieść interesujący materiał, czasem zaznacza te czy inne curiosa jej zawartości, niekiedy wreszcie, jakby po drodze, ex re omówienia druku rozwiązuje ten czy inny problem historyczno-kulturalny. Poza tym z reguły przy każdym choć trochę ważniejszym autorze „Bibliografia" przynosi z zasady bardzo gruntowną bibliografię i książek staropolskich, w których można znaleźć informacje o nim, i nowszych opracowań. Nierzadko wciągnięto tu także i materiały rękopiśmienne. Jest wreszcie w „Bibliografii" sporo odsyłaczy rzeczowych, grupujących książki na pewne rozleglejsze tematy. W tomie

XXXIII np. pozostawiano książki staropolskie w ten sposób, traktujące o „włościanach", „wojsku", „wolności religijnej", „winie" (i wogóle pijaństwie).

Nie trzeba podkreślać, jak olbrzymią pomocą dla każdego w pracy są takie zestawienia. Kto ma np. w pamięci „Polski słownik pijacki i antologię bachiczną" Tuwima i zestawi jej materiał z tytułami, zamieszczonymi w „Bibliografii" pod hasłem „wino", ten łatwo uświadomi sobie, o ile bogatszą mogłaby być ta antologia, gdyby Tuwim miał możność przy jej opracowywaniu oprzeć się już na takim Estreicherowskim zestawieniu.

Te właśnie zestawienia i uwagi petitowe w miarę jak kolejne tomy wychodziły, coraz bardziej się rozrastały, stawały się coraz bogatsze w treść, coraz bardziej z biegiem lat pęczniały w erudycję. W pierwszych tomach trzeciej serii „Bibliografii" są one skąpe, przeważnie są to odsyłacze do dawnych bibliografii. Rozrastają się one i bogacą w treść w ostatnich tomach, wydanych za życia Karola Estreichera, wtedy kiedy współpracownikiem przy redagowaniu „Bibliografii" był już jego syn Stanisław. Bo też są one przede wszystkim wkładem Stanisława Estreichera.

Karol Estreicher, odumierając w r. 1908 „Bibliografię", zostawił w trakcie druku tom na literę O. Syn, na podstawie w dużej mierze pozostawionych przez niego materiałów, doprowadził do końca tom na O i do roku 1915 wydał dalsze trzy tomy, obejmujące litery P i R. Potem przyszła dłuższa, trzynastoletnia przerwa, wywołana najpierw warunkami wojennymi, a później trudnościami finansowymi wydawcy „Bibliografii", Akademii. Druk tomów „Bibliografii", wymagających różnych typów składu żmudnych, wielojęzycznych korekt — był także bardzo kosztowny. Estreicher zwrócił się o pomoc do Ministerstwa Oświaty. Ale w Ministerstwie nie okazano odpowiedniego zrozumienia dla znaczenia „Bibliografii". To znaczy, zasiłek Ministerstwo napewno by i dało, ale wymagałoby to chodzenia, kołatania, proszenia. A prof. Estreicher był na to wszystko za ambitny. I ostatecznie dla „Bibliografii" do końca jedynym oparciem finansowym były szczupłe fundusze Akademii, wychodziła ona bez pomocy rządowej, choć przed tamtą wojną władze austriackie przyznawały na jej druk coroczny zasiłek (niewielki zresztą).

Trzynaście lat, w czasie których w wydawaniu dzieła nastąpiła przerwa, nie były jednak latami straconymi. W tomach wydanych po r. 1928 petitowych uwag jest więcej niż w po-

przednich, treść jest bogatsza, świadcząca o jeszcze pełniejszym i wszechstronniejszym oczytaniu autora. Te siedem tomów to ostatnie, naukowo najcenniejsze stadium „Bibliografii".

Dla właściwego scharakteryzowania tego ostatniego stadium „Bibliografii" trzeba osobno omówić jej oba elementy składowe: opis bibliograficzny i to, co w uwagach petitowych jest wykazaniem treści druku.

Otóż nie ulega wątpliwości, że w latach, kiedy ukazywały się ostatnie tomy „Bibliografii", technika opisu bibliograficznego była dużo precyzyjniejsza i bardziej naukowo ścisła od tej, jaką Estreicher przynosił. U nas najwyższy jej poziom reprezentował zmarły również w czasie obecnej wojny Kazimierz Piekarski.

Technika opisu bibliograficznego doszła w pracach Piekarskiego do takiego stopnia perfekcji, że obserwowanie jej w studiach — podobnie jak każda doskonałość technicznego wykonania — wywołuje w czytelniku satysfakcję estetyczną. Piekarski dzięki niej był w stanie z elegancją i pełną naukową ścisłością rozwiązywać bardzo trudne zagadnienia bibliograficzne: wykrywać wydania, które podszywały się pod wcześniejsze, ustalać na podstawie analizy kroju czcionek kto, gdzie i kiedy drukował książkę, której np. brakowało karty tytułowej, a więc normalnego źródła informacji bibliograficznej. Dokonywał rzeczy, które dla niewprawionego czytelnika graniczyły z prestidigitatorstwem: oto np. wydobywał ze starej okładki strzęp szesnastowiecznego druku, skądinąd nieznanego, i na podstawie analizy typu czcionek umiał ustalić, kto go i gdzie drukował, a na podstawie analizy stopnia zużycia czcionek czy ozdobników i porównania pod tym kątem widzenia z innymi, znanymi drukami tego samego drukarza potrafił — nieraz wcale ściśle — określić, w jakim czasie dana książka była wydrukowana.

Zalety ścisłości, precyzji, gruntowności opisu bibliograficznego Piekarskiego nie podlegają żadnej wątpliwości. Kłopot polega tylko na tym, że gdyby chcieć metodę taką zastosować do „Bibliografii" Estreichera, to materiał, objęty jednym tomem tej „Bibliografii", z trudem udałoby się zmieścić w tomach dziesięciu, a na opracowanie tych dziesięciu tomów nie starczyłoby długiego i bardzo pracowitego żywota. Przy wszystkich swoich niewątpliwych zaletach metoda ta miała jedną kardynalną wadę: była zupełnie niepraktyczna przy dziełach szerszego oddechu.

Dorobek naukowy Piekarskiego jest zresztą tego najlepszym przykładem. Oto w całym tym dorobku jest tylko jedna większa praca bibliograficzna: bibliografia wydań Jana Kochanowskiego z XVI i XVII wieku. Bibliografia ta, arcydzieło akrybii, przyniosła też bardzo ciekawe wyniki naukowe, dowiodła mianowicie, że wszystkie nowsze wydania Kochanowskiego są wydaniami z nieprawego łoża, bo opierały się na wydaniach, które podszywały się pod pierwodruki czy edycje, dokonane za życia poety, że więc są one naukowo mało co warte. Pierwsze wydanie tej bibliografii ukazało się na Zjazd Kochanowskiego w r. 1930. Ale autor nie był z niego jeszcze w pełni zadowolony. Doszlifował je i wydał ostatecznie po raz drugi w r. 1934. A w ciągu tego czasu ukazały się trzy grube tomy „Bibliografii" Estreichera.

Jeśliby nawet brak większych opracowań położyć w znacznej mierze na karb małej produktywności naukowej Piekarskiego — był on człowiekiem o bardzo szerokich zainteresowaniach, dużych wymaganiach wobec swoich prac i niechętnie piszącym — to i tak nie ulega wątpliwości, że podejmowanie większych prac przy pomocy takich metod równałoby się podejmowamiu się zadań niewykonalnych. Z metodą opisu bibliograficznego było po trosze tak jak z wzorowymi metodami analizy filozoficznej, jakie opracowali logistycy. Metody są wzorowo precyzyjne i ścisłe, ale niech kto potrafi ukroić takim idealnie ostrym nożem jakikolwiek bardziej skomplikowany problem filozoficzny.

Z drugiej strony nie podobna zaprzeczyć, że nie jest rzeczą trudną wyłowienie w „Bibliografii" Estreichera niedokładności opisu bibliograficznego. Z własnego doświadczenia wiem, że kilkakrotnie spotykałem się z takimi przypadkami, kiedy dwa znajdujące się w dwóch różnych bibliotekach egzemplarze tej samej książki były podane w „Bibliografii" jako dwa różne wydania.

Ale — jak już powiedziano wyżej — jakkolwiek już samo skatalogowanie wszystkich starych druków polskich, jest wielką zasługą naukową i nieocenioną pomocą dla każdego, kto zajmuje się naukowo starą kulturą polską, to jednak główna wartość „Bibliografii" tkwi nie w tym opisie ale w — petitowych komentarzach.

Aby je móc odpowiednio ocenić, trzeba się choć z grubsza zorientować w indywidualności naukowej ich autora, prof. Stanisława Estreichera.

Była to indywidualność nieprzeciętna.

Prof. Estreicher zajmował na wydziale prawnym Uniwersytetu Jagiellońskiego katedrę historii prawa na zachodzie Europy. Nie znam prac jego w tym zakresie, pisał zresztą w tej dziedzinie mało, wiem tylko, że miał opinię dobrego znawcy historii dawnego prawa niemieckiego. Ale poza swą ścisłą specjalnością uniwersytecką prof. Estreicher był człowiekiem zainteresowań niezwykle rozległych i żywych. Szerszemu ogółowi znany był przede wszystkim jako jeden z głównych publicystów konserwatywnego „Czasu" z krakowskiego okresu tego pisma. Mniej wiedziano o tym, że w osobie prof. Estreichera Kraków miał jednego ze swoich tęższych historyków literatury. W ostatnim roku przed wojną zainteresowania te doznały swego rodzaju konsekracji uniwersyteckiej: prof. Estreicher ogłosił dla polonistów cykl wykładów o literaturze politycznej XVI w.

Jego zainteresowania literackie wcale nie ograniczały się tylko do starszej literatury. Pamiętam dobrze, jak w „Czasie" ogłosił kilka felietonów poświęconych „Fantazemu" Słowackiego. Kiedy je czytałem, miałem w świeżej pamięci to, co pisali o „Fantazym": Kleiner w trzecim tomie swej wielkiej monografii o Słowackim i Kołaczkowski, który opracował „Fantazego" dla „Biblioteki Narodowej". Kleiner i Kołaczkowski były to dwie wybitne i bardzo różne indywidualności naukowe (doszło też z czasem między nimi do ostrego starcia). Otóż — pamiętam — uderzyło mnie, że ujęcie tego outsidera, jakim był Estreicher, było od charakterystyki ich obu stanowczo lepsze: bardziej zrównoważone, trafniej wychwytujące istotne rysy tego niełatwego do scharakteryzowania romantycznego dramatu-komedii.

Pamiętam też, jak na jednym z dorocznych publicznych zebrań Akademii prof. Estreicher wygłosił odczyt o kodeksie Hammurabiego. Dodajmy, że w młodości ogłosił kiedyś rozprawkę o Szekspirze w Polsce XVIII wieku, że jest autorem studium o polskiej kulturze prawniczej XVI w. i że „Przegląd Współczesny" przyniósł kiedys jego wspomnienia o Wyspiańskim oraz że w „The Cambridge History of Poland" jeden z rozdziałów, — poświęcony Galicji w latach 1849—1914 — jest jego pióra.

Wyliczone tu przykładowo prace dają pojęcie o wyjątkowej szerokości zainteresowań Stanisława Estreichera. Wszystkie one były jednak tylko drobiazgami na marginesie bardzo intensywnej pracy nad dziełem całego życia, nad „Bibliografią". Przy tak szerokich zainteresowaniach dopiero staje się rzeczą

zrozumiałą, że prof. Estreicher przez całe życie uprawiał bardzo rozległą i systematyczną lekturę prac, poświęconych historii politycznej, kulturalnej, literackiej, obyczajowej Polski. Był polonistą w wyjątkowo szerokim, najszerszym z możliwych znaczeniu tego słowa. Równocześnie zaś przy takiej żywości zainteresowań staje się rzeczą zrozumiałą, że prof. Estreicher każdy z dostępnych mu druków, które przyszło opisać w „Bibliografii", uważnie przeglądał, co ciekawsze zaś i ważniejsze z nich czytał. Lektura zaś taka, na tle wyjątkowo szerokiego i systematycznego oczytania w literaturze naukowej pozwalała mu wychwytywać co w danym druku jest nowego, ciekawego dla badacza. Oto w tym druku na przykład namy nowe dane do historii recepcji Arystotelesa w Polsce. Autor znów innego, zdawałoby się zakazanego, nieciekawego druku dewocyjnego — polemizuje z Descartes'em i z Lukrecjuszem. W tym zaś panegiryku znajdujemy ciekawe dane obyczajowe, a kiedy indziej w szesnastowiecznym wierszu dedykacyjnym natrafiamy na kilka szczegółów, które same w sobie błahe, w szerszym kontekście mogą być interesujące dla historyka humanizmu w Polsce. Gdzie indziej znów w przedmowie wyskakują nieznane dane do biografii jednego z działaczy reformacyjnych itd., itd.

Wszystko to dla użytku przyszłego badacza skrzętnie notowano w uwagach petitowych. Kiedy indziej znów dane, wydobyte z lektury książki, pozwalały sprostować jakieś ujęcie starszego opracowania. Kiedy indziej lektura nasuwa przypuszczenie: czy to przypadkiem nie jest wpływ — powiedzmy Woltera, albo — dajmy na to — Erazma. I te przypuszczenia zostały odnotowane w petitowych uwagach. Czasem rozległa erudycja pozwałała prof. Estreicherowi rozwiązać jakąś zagadkę biograficzną czy filiacji wpływów. Ktoś inny zrobiłby z takiego odkrycia conajmniej przyczynek, dobrze że nie rozprawkę. Estreicher zamykał je w kilku wierszach petitowych uwag.

I oto te uwagi petitowe decydują dopiero zarówno o wielkiej wartości, jak i o ogromnym uroku tej książki dla każdego, choć trochę wciągniętego w studia nad historią kultury staropolskiej. Jest ona jakby mapą dla podróżnika odkrywcy, nakreślającą granice dziewiczego terenu, drogi podejścia, sugerującą, gdzie prawdopodobnie będzie można zrobić najciekawsze odkrycie. Nie ma prawie arkusza „Bibliografii", który by nie podsuwał interesujących problemów do opracowania, nie wskazywał na tematy, leżące odłogiem, a obiecujące ciekawe

wyniki. Przy wybitniejszych zaś autorach „Bibliografia" załatwiła dla przyszłego monografisty całą masę kłopotliwych i żmudnych studiów wstępnego stadium pracy. Niekiedy dopiero po „Bibliografii" można było przystąpić do poważniejszej pracy monograficznej. Dopiero ona pozwalała się zorientować i w rozległości dorobku pisarskiego danego autora, i w dostępności tego dorobku, i w problemach jakie on nasuwa. Tak samo nieocenioną pomocą są odsyłacze rzeczowe, zbierające wszystko, co w dawnej Polsce pisano na ten czy inny temat.

Jest jednak rzeczą naturalną, że najbardziej nawet skomplikowany system odsyłaczy rzeczowych nie mógłby objąć całego bogactwa spostrzeżeń, zawartego w tych uwagach petitowych. Dlatego jeden jest tylko sposób na to, aby móc z „Bibliografii" naprawdę owocnie korzystać: trzeba ją tom po tomie wertować. Bogactwem swych informacji i podniet „Bibliografia" podzielić się może jedynie z tym czytelnikiem, który zagląda do niej nie tylko ad hoc, ale który ją po prostu czyta. Kiedy się zaś człowiek z „Bibliografią" trochę zżyje, wtedy lektura jej nabiera szczególnego uroku. Z jednej bowiem strony jest to lektura, w której się zawsze można mnóstwa ciekawych rzeczy dowiedzieć. A równocześnie, ponieważ układ „Bibliografii" jest mechaniczny, czytać ją można w sposób jak najbardziej swobodny i niesystematyczny: zacząć lekturę od środka tomu, po przeczytaniu paru stron przerzucić kilka kartek i czytać dalej, albo wyłapywać hasła na wyrywki: co popadnie. Z czasem lektura taka może wejść w nałóg. Trudno chyba o przyjemniejszy i pożyteczniejszy nałóg. Jest to coś jak małżeństwo, które by zachowało cały urok i świeżość niespodzianki przygodnego romansu.

Aby unaocznić czytelnikowi, jak bardzo informacje „Bibliografii" wychodziły poza granice tego, co się normalnie bibliografią nazywa, nie od rzeczy będzie przyjrzeć się bliżej temu, jak np. Estreicher opracował w ostatnim tomie Woltera.

Co powinna tu przynieść „Bibliografia" sensu stricto? Dokładne wyliczenie wszystkich wydanych drukiem przekładów polskich z Woltera, ustalenie kolejności wydań, rozwiązanie zagadek bibliograficznych jeśli są: i toby było na dobrą sprawę wszystko. Może też bibliograf ewentualnie powyliczać również te dzieła Woltera, w których jest mowa o Polsce; wartość takiego wyliczenia byłaby zresztą o tyle względna, że są dobre wydania krytyczne, zaopatrzone w indeksy, tak że wzmianki o Polce i Polakach stosunkowo łatwo z nich wyłapać.

„Bibliografia" Estreichera daje jednak bez porównania więcej. Przede wszystkim więc w obszernym odsyłaczu rzeczowym wyliczyła te wszystkie książki polskie, w których bądź o Wolterze jest mowa, bądź też są przekłady z Woltera czy wyraźne jego wpływy. Zebrała dalej polską literaturę naukową, charakteryzującą czy to stosunek Woltera do Polski, czy to wpływ Woltera na różne dziedziny życia polskiego; przy ważniejszych pozycjach podano krótką charakterystykę treści. Przy tej okazji zwrócono również uwagę i na te prace, które Wolterowi sensu stricto nie poświęcone, przynoszą jednak jeden czy drugi interesujący szczegół o Wolterze w związku z Polską. Ktoś, kto np. zabrałby się do pisanią studium o stosunku Woltera do Polski, z łatwością mógłby bez Estreichera przeoczyć, że list Malleta du Pan, charakteryzujący stosunek Woltera do rozbiorów, jest zacytowany w pierwszym tomie dzieła Askenazego o „Napoleonie a Polsce".

Ale to jeszcze nie wszystko. Mnóstwo uwag przynosi poza tym „Bibliografia" przy charakterystyce poszczególnych dzieł Woltera. Tak np. opisując „Histoire de Charles XII", Estreicher najpierw pisze o tym, jaką rolę odegrało świadectwo Stanisława Leszczyńskiego w polemice na temat prawdomówności Woltera i źródeł książki. Potem następuje przegląd treści, a potem idą uwagi, które może dobrze będzie po prostu przytoczyć:

> „Z dzieła Woltera korzystali potem liczni autorowie, poczynając od Fryderyka W. (Réflexions sur la talent militaire de Charles XII). Niejaki Barry popełnił plagiat (zwłaszcza co do ustępów o Polsce), na co się Voltaire w dalszych wydaniach w przypiskach żali. W opisanym na str. 32 niniejszego tomu dziele Williamsa zwrot o ustroju celt. germ. jest zapożyczony z Woltera. — Na Wolterze oparło się też dzieło Lacombe'a Historia odmian (tom XXI 19), przełożone na polski przez Kniaziewicza (1766).
>
> Z polskich autorów prostował niektóre informacje i wydania Stan. Poniatowski (obacz Bibl. tom XXV 14) w obszernym dziele: Remarques d'un seigneur polonais (1741). Wskutek tego Wolter zmienił niektóre ustępy w dalszych wydaniach. — Obacz o tym Klem. Kantecki w jego monografii Stan. Pon. II (1880) uwaga 43 i 90.
>
> Znał także i cytował powyższe dzieło Woltera Stan. Konarski (Rozmowa 1733). Była to, o ile wiem, pierwsza wzmianka o nazwisku Woltera w Polsce. — Ujemnie o

wartości dzieł Woltera wyraził się Wyrwicz (ob. jego Uwagi nad Hist. odmian Lacombe'a). Wyrwicz wskazuje, że informacje Woltera zostały sprostowane głównie przez Adlerfelda (ob. tom XII 63).

Mimo, że Historia Karola XII jest tak ściśle z Polską związana, nikt jej w Polsce w tym czasie nie przetłumaczył. Nie jest bowiem dziełem Woltera „Historia skrócona Karola XII", wydana po polsku w r. 1756 i 1775. Autorem jej ma być, jak twierdzi przedmowa, „Jakiś Francuz z Burgundii zacnego domu, który się z Karolem XII w potyczkach znajdował". A więc nie Wolter. Istotnie „Historia" ta jest całkiem odmienna od dzieł Woltera. — Ob. pod Historia skrócona (w Dodatkach).

Dopiero w r. 1800 wydał Kadyi pierwszy przekład polski (ob. Bibl. V. 151).

Kot Rzeczposp. polska w liter. Zachodu (1919) str. 203 omawia zawarty tu pogląd na nasz ustrój.

I tak przy każdym niemal dziele Woltera natrafiamy tu na uwagi, które są zawsze erudycyjne, nieraz bardzo ciekawe, a czasem niespodziewane. Już więc przy pierwszym w alfabetycznym porządku dziele Woltera, tragedii „Alzyrze" (nb. bardzo bzdurnej tragedii, świetnie wykpił ją w swych „Books and Characters" Lytton Strachey) dowiadujemy się, iż Załuski podaje, że była ona wystawiona u Pijarów w r. 1750. Przy przekładzie innej znów tragedii „Brutus" podniesiono aluzję do Stanisława Augusta z przedmowy tłumacza oraz zauważono, że tłumacz polski opuścił b. ciekawą przedmowę Woltera do Bolinbroke'a". Zanotowano też, iż „inny przekład tej tragedii zachował się w rękop. — bibl. Morstinów nr. 65".

Ex re znów przekładu innej tragedii, „Śmierć Cezara", wydobyto szczególnie smakowity szczegół. Przekład ten mianowicie był dziełem jezuitów i przez jezuitów też został wydany. W przedmowie wybór jego padł akurat na tragedię Woltera:

> „Każda z tych trzech tragedii zdałaby się na nasze teatrum, które miękkiej z osobami płci słabszej pieszczoty nie cierpią, ale że imć. P. Voltaire prócz tego, że równie jako i tamci dwaj tragedowie od tej pospolitej zarazy swą pracę zachował, wysokością wybornych myśli zda się innych przewyższać".

Nie często chyba trafiało się „Imć Panu Voltaire", że był ze strony jezuickiej chwalony za „wysokość wybornych myśli".

I oto rzecz ciekawa, nasi historycy literatury nie doceniali „Bibliografii" i często nie umieli z niej korzystać. Klasycznym przykładem może tu być książka tak z wielu względów wzorowa jak Mieczysława Brahmera „Petrarkizm w poezji polskiej XVI wieku". Szerokość horyzontów porównawczych, świeżość metody (Brahmer, badając petrarkizm w poezji polskiej, nie zajmował się śledzeniem wpływów akurat Petrarki, ale traktował swoje zadanie szerzej: petrarkizm to był dla niego pewien typ schematów tematyczno-formalnych), subtelność analizy estetycznej, wreszcie precyzja w szczegółach, wszystko to sprawia, że w naszej literaturze polonistycznej książka Brahmera jest zjawiskiem wyjątkowo wartościowym. A jednak książka ta, mówiąc o poczytności Petrarki w Polsce, przeoczyła kilka polskich druków, związanych z nazwiskiem Petrarki. Po prostu autor, który dla napisania tej książki przeprowadził bardzo rozległe i gruntowne studia, zapomniał zajrzeć do „Bibliografii" Estreichera pod hasło „Petrarca".

Inny przykład pamiętam z własnej praktyki recenzenckiej. Wypadło mi kiedyś omówić w „Ruchu Literackim" książkę Tadeusza Mikulskiego „Ród Zoilów w Polsce". Książka poświęcona była apostrofom do Zoila w starszej literaturze polskiej. Błahy temat opracował autor z wielkim nakładem pracy i nieprzeciętną erudycją. Otóż kiedy miałem pisać tę recenzję, wynotowałem właśnie z kilku tomów Estreichera materiały do przygotowywanej pod kierunkiem prof. Kota dla Akademii Umiejętności kartoteki źródeł do stosunków kulturalnych Polski z Zachodem. Przy okazji recenzji zacząłem także „prywatnie" wynotowywać zaznaczone w Estreicherze apostrofy do Zoila. W rezultacie mogłem potem w recenzji zabłysnąć „erudycją", sypiąc przykładami Zoilów, nieznanych autorowi, który był dużo lepiej ode mnie oczytany w drugorzędnych zwłaszcza autorach staropolskich, ale o Estreicherze jakoś zapomniał.

Zawsze też było dla mnie zagadką, dlaczego tak mało wyzyskiwano u nas w nauce te możliwości i podniety, które „Bibliografia" Estreichera daje. Każdy jej tom przecież nie tylko wskazywał na mnóstwo, czekających na badacza problemów, ale też i oczyszczał mu drogę, wykonywał za tego badacza nieraz najżmudniejszą część pracy. W pewnej mierze przyczyną mogło być i to, że „Bibliografia" była książką bardzo drogą. Tom kosztował 20—30 zł., a tomów jest ponad trzydzieści. Aby posłużyć się Estreicherem, trzeba było pójść do biblioteki. Ale to nie tłumaczy jeszcze wszystkiego. Po

prostu „Bibliografia" powoli dopiero wychowywała sobie czytelników.

W pierwszym rzędzie — oczywista — czytali ją bibliografowie i w ogóle bibliolodzy, t. zn. ludzie, wśród których „Bibliografia" miała i swoich gorących zwolenników, ale z którymi raczej musiała być na bakier (wspomniany np. wyżej Kazimierz Piekarski kilkakrotnie atakował i metodę „Bibliografii" i niektóre jej poszczególne ujęcia). Bibliografowie czytali zresztą dzieło po swojemu, wyłapywali oni przede wszystkim „druki Estreicherowi nieznane" i jeśli to były druki naprawdę Estreicherowi nieznane, dokonywali bardzo pożytecznej rzeczy, ale często autor taki zdradzał się, że nie znał Estreichera, że nie umiał w nim szukać. Prof. Estreicherowi, jak to widać z jego przedmów do poszczególnych tomów, te polowania, często kończące się pudłem, trochę psuły krew. Na rozsiane zaś maczkiem petitu uwagi bibliografowie ci patrzyli — podejrzewam — raczej jak na nieszkodliwe dziwactwo, umniejszające wagę szanującej się bibliografii.

Trochę miłośników miała „Bibliografia" wśród literatów. Z pisarzy końca ubiegłego wieku takim miłośnikiem jej był Wiktor Gomulicki. Z pisarzy współczesnych smakowali w jej lekturze Tuwim i Wasylewski.

Naprawdę jednak czytelnikami, dla których „Bibliografia" jest przeznaczoną, są historycy kultury. To też szczególnie gorącym czytelnikiem „Bibliografii" był wielki autor „Dziejów kultury polskiej" Aleksander Brückner. Bibliografia przynosi czytelnikowi menu gargantuiczne, a Brückner był czytelnikiem o apetycie i żołądku Gargantui. Jeszcze w r. 1901, kiedy ukazało się pierwsze, niemieckie wydanie jego „Dziejów literatury polskiej", Brückner wymienił w jego przedmowie „monumentalną" „Bibliografię" jako podstawowe źródło swojej pracy. Każdy też nowy tom „Bibliografii" Brückner kwitował recenzją, pełną sprostowań, uzupełnień, domysłów. Na łamach zaś „Reformacji w Polsze" poszczególne tomy omawiał w miarę ich wychodzenia prof. Kot, wydobywając, co nowego każdy z nich przynosi do dziejów różnowierstwa polskiego.

Ale naprawdę „Bibliografia" Estreichera jest ciągle jeszcze w znacznej mierze drukiem uczonemu polskiemu nieznanym.

PIERWSZE POMYSŁY MUZEUM PRZYRODNICZEGO W DAWNEJ POLSCE

W zaraniu rozwoju naszej kultury naukowej nie było zrozumienia dla muzealnictwa jako środka pomocniczego w postępie pracy naukowej. Kodeks rękopiśmienny a później książkę uważano za jedyne źródła wiedzy zarówno w pracy naukowej jąk pedagogicznej. Stąd też od chwili powstania pierwszej naszej wszechnicy w Krakowie biblioteka staje się przedmiotem specjalnej pieczy władz uniwersyteckich. Początkowo tworzy się osobne biblioteki przy kolegiach, lecz niebawem biblioteka Kolegium Większego, łącząca w sobie nauki wyzwolone (kolegium artystów), teologię i medycynę, otrzymuje dominujące znaczenie, aż z niej wyrośnie najstarsza i najpoważniejsza nasza książnica — Biblioteka Jagiellońska. Nie stworzyła jej hojność i zabiegliwość magnatów czy biskupów, jak wiele innych naszych książnic, lecz składały się na nią przeważnie przez kilka stuleci systematycznie przekazywane dary i legaty kilkunastu generacyj magistrów krakowskich, którzy swój ciężko zapracowany grosz wkładali w rękopisy i książki, by poźniej, po zgonie swym, a nieraz jeszcze za życia przelać je do zbiorów uniwersyteckich. Wiek XVI w dziejach książnicy Jagiellońskiej miał przełomowe znaczenie. „Momenty takie" pisze Barycz, „jak budowa osobnego dla niej gmachu, ustanowienie przy niej pierwszych stałych bibliotekarzy, stworzenie przez magistra Benedykta z Koźmirza wieczystej fundacji dla zakupu nowości wydawniczych, wreszcie świadoma dążność do nadania jej charakteru książnicy publicznej, stanowią w dziejach Biblioteki Jagiellońskiej wydarzenia pierwszorzędnej doniosłości, wytyczając przeszło na dwa wieki, aż do czasu Komisji Edukacyjnej, szlaki jej dalszego rozwoju[1]."

Wzrastając w znaczenie i w zasoby Biblioteka Jagiellońska staje się z czasem i kolebką naszego muzealnictwa. Pierwszy

[1] H. Barycz, Historia Uniwersytetu Jagiellońskiego w epoce humanizmu, 1935, s. 662—3.

wyłom na jego korzyść czyni astronomia z geografią, wprowadzając do zbiorów książkowych również i narzędzia oraz globusy i mapy. „Wśród narzędzi astronomicznych wyróżniał się chlubnie piękny dar byłego magistra krakowskiego, później nadwornego astrologa króla Macieja Korwina, Marcina Bylicy z Olkusza, proboszcza w Budzie, który w r. 1494 przesłał uniwersytetowi dwa astrolabia, globus ziemski, a przedewszystkiem torquetum mosiężne, twór głośnego matematyka Jana Regiomontana, powstały w Norymberdze w 1477 r. Były one przedmiotem dużej pieczy ze strony uniwersytetu, który w r. 1515 polecił astrolabia te wypolerować i odczyścić oraz sprawił na nie kosztem 3 zł. i 20 gr. woreczki zamszowe, „pro conservatione in eis dictorum instrumentorum astrolabicorum" (do przechowywania w nich wymienionych instrumentów astrolabicznych), a przedtem jeszcze (w r. 1510) w związku z wizytą posłów cesarskich w kolegium zapłacił za ich odnowienie 24 gr.[2]" W pierwszym dziesiątku lat w. XVI przybywa do tej kolekcji bezcenny globus tzw. jagielloński. W w. XVII, dzięki fundacji znakomitego matematyka Brożka uzyskano znów kilka cenniejszych przyrządów astronomicznych. Wedle wizytacji rektora Feliksa Oraczewskiego w r. 1786 znajdowały się wówczas w Bibliotece następujące okazy: „1. Glob ziemiowodny Gerardi Mercatoris diametru niemal łokciowego, zrobiony r. 1541, 2. Glob niebieski tegoż samego autora i podobnego diametru z r. 1551, 3. Glob niebieski zrobiony a Guillelmo Jansonio Tichonis Brahe discipulo, podobnego diametru r. 1603, 4. Glob niebieski Gerardi Mercatoris duplikowany, zrobiony r. 1551, 5. Glob ziemnowodny zrobiony a Guillelmo Jansonio r. 1599."

Oprócz wymienionych przyrządów i globusów, od w. XVI zaczęły napływać do Biblioteki Jagiellońskiej i inne okazy muzealnego charakteru. Profesor Dt. Grzebski stwarza początek kolekcji numizmatycznej i archeologicznej zapisując testamentem monety greckie i rzymskie wraz z miarami i naczyniami mierniczymi Rzymian i Żydów. Kolekcje te niebawem znacznie się rozrosły. Dużo osobliwych druków, rękopisów i dokumentów podarował Bibliotece znany mecenas, biskup krakowski Bernard Maciejowski; m. in. było tu i spiżowe popiersie Arystotelesa. Najuboższy wśród działów Biblioteki, przyrodniczy, zainicjował uczeń znakomitego bolończyka,

[2] j. w. s. 680.

M. Aldrovandiego, profesor medycyny, Marcin Foks, który w wykładach swych wprowadził nowość, ucząc anatomii na szkielecie ludzkim i ten właśnie szkielet zapisał testamentem Bibliotece. Prócz tego było tam, jak wspomina Oraczewski, „jajo strusie cali 10 i dwa skieletyny partium abortivorum."

Tylko co wspomniany prof. Foks miał zrozumienie dla zbiorów muzealnych, gdyż po prowrocie z Bolonii, za inicjatywą innego z uczniów Aldrovandiego, Mikołaja Firleja, późniejszego kasztelana krakowskiego, a nawiązując na nowo bliski kontakt z swym mistrzem włoskim i uzupełniając jego wiadomości do przygotowywanej przezeń historii naturalnej świata szczegółami o przyrodzie Polski oraz bliższego wschodu i północy, nie ograniczał się do listownych informacyj, ale przesyłał mu najróżnorodniejsze okazy przyrody polskiej, żyjącej i przedhistorycznej. Zapełniły one następnie prywatne muzeum przyrodnicze wielkiego uczonego, częściowo dochowując się nawet do dzisiaj.

W podobny sposób, naturalizowany w Polsce i osiadły w Krakowie dr Antoni Schneckberger, uczeń znakomitego przyrodnika, Konrada Gesnera z Zurychu, przesyłał swemu mistrzowi do Szwajcarii różne okazy miejscowej fauny i flory, wciągając do pracy tej i magnata, Jana Bonera, który jako zamiłowany łowca mógł dostarczyć ze swych zdobyczy myśliwskich np. rogów łosia lub skór rzadkich zwierząt.

Mieliśmy więc już kompetentnych wykonawców w zbieraniu materiałów, nie mieliśmy jednak takich inicjatorów jak Aldrovandi lub Gesner, ani instytucji specjalnie zbieraniu i konserwowaniu okazów przyrodniczych oddanej. Protektorką botaniki, jak wiemy, była Anna Wazówna, siostra Zygmunta III. Jej sumptem wydane zostało po śmierci autora (1613) wielkie dzieło Szymona Syreńskiego (Syreniusza) „Zielnik". Pisze o niej w przedmowie do tego dzieła jej lekarz nadworny a następca Syreniusza na katedrze, Gabriel Joannicy, że się w znajomości ziółek, drzew i kamieni drogich tak wprawiła, „iż y wiadomością przyrodzoną ich y umieiętnością przygotowania dziwnie przodkując, masz to sobie za dzieło, królewskie rękami swymi rozmaite y wsławione iuż u wielu y doświadczone lekarstwa robić". Żeby przygotować owe lekarstwa z ziółek, starała się je poznać i, jedna z pierwszych w Polsce, posiadała zielnik roślin lekarskich; zielnik ów miał przetrwać parę wieków i znajdował się pono w zbiorach Radziwiłłów w Nieświeżu, lecz zaginął.

Pierwszym muzeologiem polskim był chirurg nadworny Jana Kazimierza, Marcin Bernhardi (ok. 1625—1682), ślązak łużycki, nobilitowany w r. 1673 pod nazwiskiem de Bernitz.[3] Wydał on w r. 1652 w Gdańsku katalog roślin ogrodów królewskich w Warszawie oraz pierwszy spis roślin dziko rosnących w okolicach podwarszawskich („Catalogus plantarum"). Spisy te nie są wolne od wielu błędów i nie stoją na poziomie wiedzy ówczesnej, lecz mają duże znaczenie jako wymowne świadectwo istnienia pierwszych ogrodów botanicznych w Warszawie czasów Władysława IV i Jana Kazimierza. Spis ten snać zainteresował uczonych zagranicznych, skoro botanik duński, Szymon Paulii w r. 1653 wydał w Kopenhadze dzieło („Viridaria varia regia et academica publica"), gdzie przedrukował katalogi ważniejszych ogrodów botanicznych, królewskich lub uniwersyteckich, w Kopenhadze, Paryżu, Warszawie, Oksfordzie, Padwie, Lejdzie i Gronindze.

Sam Bernhardi założył nadto pierwsze w Polsce, prywatne muzeum przyrodnicze. Wzmiankę o tym gabinecie historii naturalnej, jako o jednej z osobliwości Warszawy, pozostawił w swoich pamiętnikach Anglik, Bernhard Connor, chwilowy lekarz nadworny Jana Sobięskiego.[4] Podczas pobytu w Warszawie zwiedził on zbiory, na które zwrócono mu uwagę, pod przewodnictwem wdowy po zmarłym przyrodniku mówiącej biegle po łacinie. Uderzyły go przede wszystkim liczne skamieliny, jak okazy skamieniałych drzew, węży (było to prawdopodobnie amonity i ophiuridae), ropuch a nawet winogron. Paleontologia była wtedy w powijakach, zbierano więc takie okazy jako curiosa, dopatrując się w nich podobieństwa do różnych przedmiotów. Była tam nadto kolekcja muszli, minerałów i różnych gatunków żywic. Zwrócił on również uwagę na przyrząd ze szkła ze skalą, gdzie ciepło ręki powodowało wznoszenie się alkoholu; był to więc termometr alkoholowy. Była tam również zawieszona wysuszona ryba płaszczka, która zawsze zwracała się w kierunku wiatru. Pozatem były w tym muzeum rogi łosia i duża ilość rogów innych zwierząt oraz roślin zasuszonych i naklejonych na papier; prócz tego duża ilość rysunków różnych okazów przyrody odrysowanych własnoręcznie przez Bernhardiego. O późniejszych losach tego

[3] Por. artykuł A. Birkenmajera w Polskim Słowniku Biograficznym. Przedruk „Catalogus" dał J. Rostafiński w Komisji do historii nauk.

[4] The History of Poland by B. Cannor, London 1698.

gabinetu pisał w r. 1811 J. Chr. Arnold[5] co następuje: „Nie należy w tym miejscu opuszczać ... Marcina Bernickiego (sic!), ten bowiem napisał pierwszy katalog roślin około Warszawy rosnących i gabinet rzeczy naturalnych zostawił, który syn jego księciu Dominikowi Radziwiłłowi, W. X. Litewskiego Kanclerzowi, za 6000 talarów przedał. Ten gabinet za czasów Augusta II wraz z wyborną ksiażnicą w wystawionym od tegoż księcia blisko księży Kapuczynów pałacu umieszczony, ciekawym pokazywano.“ Dubois[6] mówiąc o Bernhardim, wspomina w nocie, że za jego czasów tych zbiorów nie było w Nieświeżu. Musiały one spłonąć przy pożarze pałacu, na którego miejscu stanął później pałac Paca (późniejszy gmach sądu).

Epoka saska, podczas której zaginęły zarówno królewskie ogrody botaniczne, jak i zbiory Bernhardiego, odznaczyła się upadkiem kultury polskiej. W zbytkownie urządzonych zamkach i pałacach magnatów często cenne dzieła sztuki, rzadziej książki, czasem bywały i gabinety przyrodnicze, jak w Nieświeżu u Radziwiłłów, lecz najczęściej były to przypadkowo zebrane gabinety osobliwości. W tak zwanym „polskim Wersalu“ w Białymstoku, sławnej rezydencji hetmana Jana Klemensa Branickiego, było 200 koni na stajni, a 170 tomów w bibliotece. Przedmioty prawdziwej sztuki w zamkach i pałacach, jak pisze Łoziński[7] „niknęły wobec niesłychanego bogactwa przedmiotów grubego zbytku, obliczonych na materialny nagły efekt, na chwytającą za naiwne oczy pompę, na egzotyczną osobliwość, na sztuczkę i niespodziankę. Są to same starożytne dziś dla nas galanterie i bibeloty, figielki, zabawki i cacka, niekiedy bardzo dowcipne i misterne, zawsze bardzo kosztowne, które, o przeszło całe stulecie bliższy tym czasom Jezierski, nazwie „sposobami fałszywej wyniosłości, drewienkami, szkiełkami i ozdobnymi pstrociznami“. Ciekawy jest np. inwentarzyk zamku w Ogrodzieńcu z 1663 r., gdzie mamy obfitość takich rzeczy jak „zwierciadło, w którym z jednej strony widzi się wielka rzecz każda nad podobieństwo, z drugiej także nad podobieństwo mała“, „perspektywa słoniowej kości, w której się pchła jako rak widzi“, „działeczka nad zamiar maleńkie kosztowną robotą“, „mysz rozmyślną robotą, która jako żywa biegała, kukułka, która jako żywa kukała“, „szkatuła oprawna w srebro która sama grała“, „słonio-

[5] Roczniki Tow. Warsz. Przyjaciół Nauk. Warszawa 1813 vol. VII p. 269.
[6] Essai sur l'historie littéraire de Pologne Berlin (1778).
[7] W. Łoziński Życie polskie w dawnych wiekach Lwów 1921, 5 s. 15—17.

wa kolebka z dzieciątkiem" itd., a to wszystko wśród całej Golkondy klejnotów, pereł, złota, najdroższych szat, złotolitych makat, kobierców itp." Podobny blask precjozów, zwierciadeł, drogich kamieni, przedmiotów złotych i srebrnych, obliczonych na efekt, rozsiany był na podziw cudzoziemców w pałacu Kazanowskich.

Dopiero w. XVIII, wiek oświecenia, zwł. w drugiej swej połowie wprowadził w wyższych sferach lepsze zrozumienie prawdziwej sztuki, tworzono więc poważne galerie i muzea historyczne, idąc za przykładem króla Stanisława Augusta, wielkiego znawcy sztuki i niektórych magnatów, jak Czartoryscy. Sam król miał szerokie zainteresowania naukowe; oprócz dzieł sztuki posiadał na zamku gabinet fizyczny, astronomiczny i zbiory mineralogiczne. Gabinety przyrodnicze różnej wartości mieli w swych pałacach hetmani litewscy, Michał Kazimierz Radziwiłł i Michał Ogiński, oraz podskarbi koronny Antoni Tyzenhaus, lecz zadowalając ambicje własne zbieraczy, zbiory te nie wywarły wpływu na rozwój naszej kultury naukowej. Gromadząc pamiątki historyczne, nie zawsze dobrze rozumiano, co może być obiektem muzealnym a co nim nie jest.

Z rzeczy przyrodniczych zarówno w pałacach magnackich jak i dworkach szlacheckich można było znaleść dużo przedmiotów związanych z łowiectwem, jak wypchane zwierzęta i ptaki, różne skóry, kolekcje kłów i rogów itp. Często hodowano zwierzynę w parkach, tworząc t. zw. zwierzyńce nie tyle dla idealnych celów jej ochrony, ile ze względów kulinarnych, żeby mieć zawsze pod ręką zapasy dla uczt. Zakładano również ptaszarnie. Magnaci mogli sobie pozwolić zwł. na hodowlę sokołów i rarogów dla celów myśliwskich. Szlachcic średniej fortuny miewał zawsze sokoła i parę rarogów, ale najczęściej jedyną jego ptaszarnią był niewinny na podwórzu gołębiniec, chyba że wyjątkowo był takim amatorem i mistrzem w łowiectwie, jak np. Jan Chryzostom Pasek, który miał w Olszówce „ptasi zwierzyniec kratami drutowymi nakryty, a w nim ptastwo omnis generis, które tylko mogło się znajdować w Polsce, ale i inne cudzoziemskie". Wiemy również, jak Pasek umiał hodować i obłaskawiać rozmaite zwierzęta.

Poglądy przeciętnego szlachcica z epoki saskiej na muzealnictwo doskonale przedstawił Henryk Rzewuski[8] z wielkim

[8] Henryk Rzewuski. Pamiątki Soplicy. (Opowiadanie XXII Stanisław Rzewuski).

talentem i umiłowaniem kreślący obrazki z naszej rodzimej barbarii. „Czymże się, rozerwać?" — pyta u niego nie tuzinkowy szlachcic, lecz bywalec Imć P. Seweryn Soplica, — „Czytać? Nie każdemu mieć biblioteki, a chociaż i znajdzie się jaka książka, czytać to i rozrywka i trud razem, a człowiek czasem wprost czystej rozrywki potrzebuje. Ogród? To pańska rzecz nie szlachcicowi w tym się kochać" ... Jakżeż daleko cześnik Parnawski odbiegł w swoich poglądach na książkę i ogród od braci szlachty XVI wieku. Zarówno Mikołaj Rej jak i bracia szlachta z Rzeczypospolitej Babińskiej drwiłaby setnie z takiego prostaka. Gdy Soplica bawił na Śląsku poznał tam zamożnego szlachcica koło Namysłowa; uderzyło go, że gospodarz choć rzadko przyjmował gości, ale się nie nudził. „Miał on wielką bibliotekę, ledwie nie tak obszerną, jak J. W. podkanclerzego Chreptowicza w Szczorsach, a prócz tego zbiory różnego gatunku. To jakieś kwiatki zasuszone w papierach, to robaczki szpileczkami przekłute, to muszle rozmaitego kształtu, to kruszce wszystkie jakie tylko są na świecie, a których nazwiska tak recytuje, jakby litanię do Najświętszej Panny, że ani się zatnie; choć tego mnóstwo, to on mnie wszystko to pokazywał i tłumaczył. Więc kiedy się napracuje w polu, że już mu rozrywki potrzeba, to swoje drobiazgi przeziera, przeczyszcza, przekłada i tak mu czas schodzi. A jak mnie mówił, każdy prawie u nich możny obywatel ma podobne rupiecie i nimi się bawi, że mu gawędy nie potrzeba, aby czas chodził. My szlachta, podobnych rupieci u siebie nie mamy, ni się znamy na nich, a cała nasza zabawa z ludźmi obcować".

Reforma wychowania przeprowadzona w szkołach pijarskich przez ks. Stanisława Konarskiego wprowadziła do życia polskiego już za czasów Stanisława Augusta nowych, po europejsku wykształconych stronników reform i oświaty, przeciwstawiających się „czerepom rubasznym" w rodzaju cześnika Parnawskiego. Wychowańcy „Collegium nobilium" zetknęli się tam ze zbiorami przyrodniczymi, zgromadzonymi przez światłego, wykszałconego za granicą nauczyciela, ks. Antoniego Wiśniewskiego, który wykładał filozofię praktyczną, matematykę i fizykę doświadczalną. W swych wykładach odbiegał od filozofii scholastycznej, za co atakowali go jezuici, i zwracał specjalną uwagę na nauki doświadczalne. Gdy w r. 1759 został rektorem Collegium, wzbogacił znacznie jego bibliotekę i muzea.

Jezuici starali się naśladować pijarów. Np. ks. Rogaliński w Poznaniu zgromadził zbiór przyrządów fizycznych, czynił

doświadczenia i napisał 4-tomowy podręcznik fizyki doświadczalnej.

Za czasów Stanisława Augusta pierwszy projekt stworzenia muzeum przyrodniczego, ilustrującego przyrodę Polski, rzucił cudzoziemiec na służbie polskiej, generał major Stefan Chardon Rieule († 1786) w specjalnej broszurze wydanej w Berlinie (1766) p. t. „Projet pour rassembler sans aucune depense toutes les richesses de la Pologne" (Projekt zgromadzenia bez żadnych wydatków wszystkich bogactw naturalnych Polski). Autor zbliżony do osoby króla, jako komendant straży pałacowej i dyrektor gmachów rządowych i manufaktur, nagrodzony majątkiem Świdry pod Warszawą i zaszczycony szlachectwem polskim na sejmie 1768 r., dał się poznać w tym czasie jako propagator i znawca wiedzy rolniczej oraz stosunków panujących w Polsce i w innych krajach w 3-ch memoriałach wydanych w Berlinie, przełożonych na polskie przez jednego z pijarów i wydanych sumptem Katarzyny z Zamojskich Mniszchowej p. t. „O gospodarstwie ziemiańskim w powszechności a osobliwie o gospodarstwie ziemiańskim w Polsce, językiem francuskim wydano przez Imci Pana de Rieule generała-majora w służbie J. K. Mości y Rzeczyptej a na polski przełożono. W Warszawie. Nakładem imci Pana Groela, Komissarza J. K. M. w Marywilu (1767)[9].

Autor projektu stojąc na gruncie fizjokratyzmu podkreśla ogromne znaczenie dla państw i narodów racjonalnej gospodarki rolnej, opartej na rozwoju wiedzy rolniczej. Fundamentem tej wiedzy są nauki przyrodnicze, cenione przezeń nadzwyczaj wysoko. Zdając sobie sprawę z trudności, jakie napotyka każdy człowiek wobec niesłychanej obfitości i rozmaitości obiektów przyrody, podkreśla, że chcąc wpłynąć na postęp wiedzy przyrodniczej, należy zacząć od obserwacji, gromadzenia i porównywania tych obiektów. „Gdy przyszłe pokolenia znajdą pewnego dnia dostateczną ilość materiałów, żeby stworzyć systemy i ustalić zasady ogólne, łatwo przejdą do porządku nad naszymi domysłami, jakie będziemy mogli im zostawić. Naszą sławą będzie zgromadzenie takich materiałów i w tym tkwi sedno projektu." Jako rolnik de Rieule zwraca główną uwagę na rzeczy kopalne z ziemią związane i radzi przede wszystkim zbierać okazy „ziem, gliny, piasków, kredy,

[9] Druk niezmiernie rzadki; nie posiada go ani Bibl. Jagiellońska, ani żadna warszawska.

gipsu, kamieni, marmuru, krzemieni, minerałów etc." — słowem jest to nastawienie geologiczno-minaralogiczno-gleboznawcze. Kładzie nacisk na wszelkie wykopy, roboty ziemne przy fundamentach, studniach, stawach, rowach, wyrwach robionych przez potoki, skąd można pobierać próbki; nie szczędzi również wskazówek praktycznych, jak te próbki pakować, oznaczać i przesłać do stolicy. Pragnąłby rozciągnąć to kolekcjonowanie i na ożywione twory przyrody, na ryby, ssaki, ptaki, gady i owady, lecz rozumie dobrze, że tworów nie potrafi kolekcjonować pierwszy lepszy, to też zaznacza, że wskazówki te dotyczą się „tylko do miłośników historii naturalnej, zwłaszcza tych którzy ją studiowali". De Rieule rozumie dobrze, jakie znaczenie dla studiowania tworów przyrody ma ich, kolekcjonowanie, lecz zwracając się do mało wykształconego ogółu, stara się uzasadnić tę potrzebę praktycznymi względami.

Z tych wszystkich próbek, które mają, być przesyłane do autora projektu, chce on stworzyć w Warszawie muzeum publiczne, obiecując własną pracę w oznaczaniu i porządkowaniu zbiorów.

W omówionym projekcie widać doskonałe zrozumienie potrzeb kulturalnych polskiego społeczeństwa zwłaszcza w rolnictwie u autora kilku rozpraw w tym kierunku: o stanie rolnictwa w Polsce, o glebach polskich i o nawozach, lecz realizacja tego projektu na owe czasy, odwoływanie się do ludzi dobrej woli, nie posiadających żadnego przygotowania w sprawie zbierania próbek, było utopią. Nic więc dziwnego, że muzeum tego rodzaju jakie autor chciał stworzyć bez żadnych kosztów nie zostało zrealizowane.

Sprawę zbierania wiadomości o przyrodzie kraju poruszyła później Komisja Edukacji Narodowej[10] i wyłonione przez nią Towarzystwo do ksiąg elementarnych; po ogłoszeniu mianowicie konkursu na plan podręcznika botaniki z rolnictwem związanej, kiedy wyżej wymieniony gen. De Rieule otrzymał pierwszą nagrodę, zwrócono uwagę, że przyroda Polski jest bardzo mało zbadana i że należałoby podręcznik oprzeć na dobrej jej znajomości. Oświeceni dyletanci, dygnitarze kościelni i świeccy, członkowie komisji wychowani na klasycyzmie, pragnęli po swojemu służyć sprawie polskiego rolnictwa, ofiarowując się przetłumaczyć ustępy z pism Rzymian, z „Georgik" Wirgiliusza,

[10] January Kołodziejczyk, Nauki przyrodnicze w działalności Komisji Edukacji Narodowej. (1775—1794) — Archiwum Nauk Biolog. Tow. Nauk. Warsz. T. V., zesz. II, 1936.

z pism Warrona i Katona itp. Przeważyła myśl zdrowa przeprowadzenia ankiety między nauczycielami przyrody. Zrobiono więc wypisy z kompilacyjnej pracy ks. G. Rzączyńskiego „Historia naturalis curiosa regni Poloniae" (1721) i jego uzupełnienia (Auctarium 1742) o różnych zwierzętach, roślinach i minerałach rzekomo występujących w tej lub owej prowincji, i rozesłano ankietę z zapytaniami, prosząc o potwierdzenie lub zaprzeczenie wskazań Rzączyńskiego i własne uzupełnienia dotyczące przyrody Polski. Ankieta ta nie osiągnęła celu, odpowiedzi otrzymano zaledwie kilka, niektóre nosiły czysto formalny charakter, wynik był tylko taki, że przekonano się, iż w owe czasy na prowincji nie było nawet wśród nauczycielstwa dostatecznej ilości na tyle z polską przyrodą obznajmionych osób, żeby mogły dawać rzeczowe odpowiedzi w sprawach fizjograficznych.

Lecz myśl rzucona przez De Rieule'a znalazła naśladowców. W r. 1775 w czasopiśmie „Zabawy przyjemne i pożyteczne z różnych autorów zebrane" (T. XI, cz. II, str. 211—226) zjawił się artykuł pt. „Myśli względem założenia Musaeum Polonicum", skromnie podpisany literami M. M. Autorem był 27-mio letni młodzieniec Michał Mniszech (1748—1806), przedstawiciel magnackiego rodu, który za czasów saskich porósł w pierze i przez koligacje skupił w swych rękach duże bogactwa i najwyższe godności i urzędy. Autor obdarzony dużymi zdolnościami szybko zrobił przy Stanisławie Auguście karierę polityczną do marszałka w. koronnego włącznie (1783—1793). Otrzymał on wraz z bratem staranne wykształcenie w Collegium nobilium, gdzie był uczniem wspomnianego ks. Wiśniewskiego. Wykształcenie początkowe otrzymane u pijarów uzupełnili młodzi Mniszchowie w 5-letniej (1762—1767) podróży za granicę, zwiedzając kulturalne ośrodki Europy, najdłużej przebywając w Szwajcarii, gdzie wychowawcą Michała był pastor kalwiński Eliasz Bertrand (1713—1797) z kantonu Vaud, znany ze swych prac naukowych z dziedziny nauk przyrodniczych, zaproszony w r. 1765 przez Stanisława Augusta do Polski. Rzecz ciekawa, że Mniszech w r. 1763 poznał Voltaire'a i pisał o nim entuzjastyczne listy do kraju.[11] Po powrocie z podróży Michał Mniszech dał się poznać jako dobry mówca, jako jeden z niewielu magnatów żyjących życiem intelektualnym i władających piórem. Pisywał w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych"

[11] Tomkiewicz, Z wieku Stan. Augusta. Kraków. 1882. s. 49.

artykuły pedagogiczne i filozoficzne: „O guście do czytania", „Jak prowadzić i uczyć młodzież", „Myśli o geniuszu", gdzie wspominał o Newtonie i Koperniku, napisał również i dziełko historyczne „Kazimierz Wielki", dziś bez wartości, lecz zwiastowało ono epokę Naruszewicza; pisywał również artykuły do pism niemieckich i francuskich.

Młody wiek i długie podróże w okresie walki stronnictw, uchowały go od udziału w partyjnictwie i przejęcia się duchem nienawiści, a polor zagraniczny i zdolności intelektualne szybko zbliżyły go do króla Stanisława Augusta i pozwoliły mu zrobić wielką karierę polityczną.

W artykule o Muzeum widać w nim człowieka, który widział dużo na szerokim świecie i ma zdrowy sąd o potrzebach kulturalnych Polski. W porównaniu z De Rieule'em sięga głębiej, gdyż projektuje nie tylko stworzenie muzeum przyrodniczego z okazami próbek gleboznawczych na pierwszym miejscu, lecz dając nazwę „Musaeum Polonicum", projektował stworzenie Muzeum, któreby dawało obraz życia umysłowego i historycznego Polski wraz z jej przyrodą i miało wartość pedagogiczną zaznajamiając z postępami nauki i techniki na zachodzie Europy.

Pisząc ten artykuł niedługo po pierwszym rozbiorze, wskazuje, że „obarczeni dolegliwościami w oczekiwaniu pomyślnej chwili" musimy przynajmniej „ubezpieczyć potomności środki pewne, przyzwoite, łatwe, gruntujące jej dobro prawdziwe i rozumny wynik edukacji". Liczy on na Komisję Edukacji Narodowej, że zechce wziąć pod uwagę jego pomysły, zwraca zwłaszcza uwagę na kształcenie nauczycieli, którym, należy podawać wzory pewne wiodące do nieomylnego rzeczy poznania". „Skracać sposoby nabywania wiadomości jest uczynić je łatwymi a zatem powabnymi". Wskazuje na potrzebę istnienia Akademii krajowej, gdzieby była wymiana myśli i wolnej krytyki, przypominając historyczne przykłady, jak Ateny za Peryklesa, Rzym za Augusta, Florencja za Medyceuszów i Paryż za Ludwika XIV.

Plan projektowanego przez niego Muzeum da się sprowadzić do następujących działów. I Biblioteka. Nie chodzi tu o ilość książek lecz o ich wybór. Zwraca autor przy tym specjalną uwagę na dział podręczników zaznajamiających „z początkami wszelkich nauk i ich związków. Obok biblioteki ma być archiwum, gdzie powinny się znaleźć diariusze, korespondencje legacyj i wszelkie archiwa rodowe. Mówi przy tym o konieczności przeprowadzenia ustawy o dostarczaniu egzemplarza

oprawnego do biblioteki. Autor zdaje sobie sprawę, że w krótkim czasie nie potrafimy zgromadzić takich skarbów nauki i sztuki, jakie posiada np. Muzeum Brytańskie, Instytut naukowy Boloński, lub galerie Florenckie; nie trzeba więc uganiać się za rzeczami rzadkimi, lecz zgromadzić przede wszystkim to, co przyczynia się do poznania własnego kraju. „Zostawmy rzeźby kosztowne" — pisze on — „obrazy bezcenne, te przyjemne sztuk wyzwolonych pieścidła, narodom słusznie chlubiącym się z pierwszych światła promieni. Chwyćmy się sposobów tańszych, prędszych, łatwiejszych a tenże pożytek przynoszących. Poznajmy własny kraj, oszacujmy jego bogactwa wybadajmy, co nam natura użyczyła".

W dalszym podziale proponuje autor działy, które można nazwać II Gabinetem historycznym, a więc zbiór monet i pieczęci krajowych „numizmatyka i sfragistyka", opisy sławnych gabinetów, kopersztychy wyrażające ich zbiory, wizerunki ludzi zasłużonych, chronologicznie ułożone z opisami ich życiorysów. Dalej idzie III Muzeum naukowo-techniczne. Instrumenty rozmaite fizyce eksperymentalnej służące: Machiny elektryczne, przyrządy optyczne, mikroskopy, narzędzia z geometrii praktycznej służące do mierzenia gruntów, pospolite mechanizmy do ulżenia pracy. Sfery, globusy, instrumenty astronomiczne. Zbiór map geograficznych. Poznanie kraju, ziem i województw z opisami i określeniem granic, biegu rzek, gór, miast i wsi położenia. Autor wskazuje przy tym, że np. Anglia cała jest wymierzona, Francja posiada zbiór map na 24 arkuszach.

Modele maszyn i narzędzi używanych w rolnictwie. Poza tym autor zwraca uwagę na ciekawy, a ważny dla medycyny społecznej zbiór modeli woskowych do wszystkich przypadków urodzeń, jaki widział w Bolonii, stworzony staraniem papieża Benedykta XIV, wykonany przez cyrulika Ercole Lelli.

Ostatni wreszcie IV najbliżej nas obchodzący dział historii naturalnej, pozwolę sobie przedstawić słowami autora:

„Trzy regna składające historię naturalną pożytecznie nam dopomogą do poznania w kraju znajdujących się minerałów i kruszców gatunku, ziem różnych i kamieni różności, drzew, roślin i ziół rozmaitości, zwierząt rodzajów, dopiero łatwiej i przyzwoiciej o postronnych zasięgniemy wiadomości. Dosyć z wyszłych w tej mierze ksiąg najlepsze przysposobić i jeżeli rzeczy same gromadzić przytrudno, ich wyobrażenia, ich dostarczające określenie skutecznie tymczasem nas oświecą.

Wchodzi tu zbiór marmurów, alabastrów i innych kamieni, zwłaszcza krajowych, gdzie mieścić się mogą drzewa różne skamieniałe.

Siarki, bursztyny, suxyna y liczne gatunki fossyles niemniej wybadań naszych celem bydź powinny.

Równie minerałów, kruszców i półkruszców poznanie i zebranie z wyrażeniem miejsc gdzie się znajdują i wartości w nich się zawierającej, ziem, glin, piasków, wielorakie gatunki zaradzają się gdyż i doskonaleniu rolnictwa, i rozkrzewiającym się fabrykom skutecznie służą.

Szafy osobne zawierałyby ptactw w Polszcze znajdujących się rodzaje, podział ich łatwy, na wodne, leśne i swojskie, starownie wypchane, kształt ich i piór piękność by się utrzymały, przy nich gniazda mogłyby bydź zebrane. Sławne w cudzych krajach u badacza natury gniazdo ptaka zwanego u nas remiz po łacinie passer pendulinus. W tym podziale Regni animilas wchodzą ryby, motyle, węże, jaszczury, zgoła wszystkie rodzaje gadzin, robactw i zwierząt jako ogniwa niepojętego stworzeń łańcucha.

Przyłączyć należy ojczystym wyłożone językiem opisy z Bufona i innych naturalistów. Oczy pamięci by pomagały a znajomości te prawie zaniedbane u nas, a przynajmniej mało zachęcone, wzrost i sławę by wzięły.

Regnum vegetale trojako zebrane być może: mogą zioła, rośliny i drzewa na dzikie i ogrodowe, na pożyteczne i tylko ciekawe w miejscu na to obróconym być sadzone, utrzymywane i rozmnożone; lub też same drzew owoce in spiritu vini, same zioła in herbario vivo złożone i dochowane. Trzeci zaś sposób sztychowane, kolorowane i porządkiem umieszczone zbiory zastąpią. Powtarzać nie przestaję że gdy ku pożytkowi powszechnemu kraju te stawania, te założenia się czynią, wielce za tym zależy, aby sposób siania lub sadzenia, ostrożności potrzebne w dozorze dalszym, pożytki z drzew, owoców, liści i kóry, pożytki z ziół i roślin, dostatecznie opisane i publiczności udzielone były.

Jaka korzyść z wprowadzonych i zachęconych tych nauk w krainie wyniknie, każdy dobrze myślący łatwo oszacuje. Zarzucą może nakłady potrzebne, odpowiem na to. że bez kosztu, bez starań żadnego doskonałości stopnia nie osiągniemy".

Pod tym względem M. Mniszech patrzy na rzeczy bardziej realnie, niż De Rieule, ktory chciał swoje muzeum stworzyć „bez żadnych kosztów". — „Dwadzieścia tysięcy złotych

polskich" — pisze on dalej — „do roku oszczędnym powierzone rękom pierwszym zapewne wystarczą początkom. Przyłączą się z czasem obywatele do tak pożytecznego dzieła, tylokrotne przykłady w Anglii zagrzeją azaliż naszą w tej mierze oziębłość". Przewidywania autora spełniły się, ale dopiero później w w. XIX, gdy naród polski ochłonął po licznych klęskach; znaleźli się obywatele, jak Włodzimierz Dzieduszycki i Konstanty Branicki, którzy własnym kosztem fundowali muzea przyrodnicze.

Autor z optymizmem patrzy w przyszłość, pisząc w końcu: „Zarzucą jeszcze niedostatek ludzi do tego przedsięwzięcia zdatnych, znajdą się zawsze, gdy pilnie szukani, stworzą się, gdy kierowani i zachęceni. Zarzucą może trudność podobnych zbiorów, ułatwią te zawady czas, okoliczności, oświecenie".

Nikt, niestety tego słusznego projektu stworzenia Muzeum Polskiego w Polsce ówczesnej nie urzeczywistnił chociaż była to epoka wielkich reform, lecz sprawy polityczne i walka z obskurantyzmem szlachty pochłaniała wszystkie lepsze siły. Jednakże szeregiem swoich pism Michał Mniszech dał się poznać i w r. 1777 został członkiem Komisji Edukacji Narodowej, gdzie, choć młody wiekiem, zasiadł obok swego wuja Andrzeja Zamojskiego i 7-u innych dygnitarzy kościelnych i świeckich. Jak widać z „Protokółów posiedzeń" był on jednym z gorliwszych członków i w latach 1777—1779 często przewodniczył w Towarzystwie do ksiąg elementarnych, miał powierzony sobie zarząd szkół na Wołyniu i Podolu i dozór nad Kasami Komisji w Warszawie i na prowincji. Przypuszczalnie, nie bez jego wpływu była instrukcja Komisji o zakładaniu zbiorów przedmiotów przyrodniczych przy szkołach i ogródkach szkolnych. — Widać że sprawy naukowe obchodziły go, — skoro widzimy go wśród członków, — powstałego z inicjatywy Adama Czartoryskiego i J. Chr. Dubois w r. 1777 Towarzystwa fizycznego, gdzie obok uczonych znaleźli się z pośród magnatów jeszcze Stanisław Poniatowski i August Moszyński.

To co St. de Rieule i Michał Mniszech tylko planowali realizowała w stosunku do nauk przyrodniczych ambicja wykształconej magnatki, miłośniczki nauk przyrodniczych Anny z Sapiehów Jabłonowskiej (1727—1800), która nie stworzyła wprawdzie, w stolicy, w myśl obydwu projektodawców, instytucji społecznej i pedagogicznej, z której mogliby korzystać wszyscy, lecz, czyniąc zadość swoim szlachetnym zamiłowaniom i rodowej pysze, zgromadziła w swoim pałacu w zapadłej

prowincji w Siemiatyczach na Podlasiu piękną bibliotekę i niezwykle bogate muzeum przyrody.

Przeprowadzając doniosłe reformy w swoich dobrach księżna miała na celu podniesienie włościanina, dając mu wzory lepszego rolnictwa, hodowli nieznanych roślin i poprawnych ras zwierząt. To też popierała chętnie dzieła popularne dotyczące rolnictwa. Jej wpływom, jak przypuszcza prof. Rostafiński, zawdzięczamy wydanie bardzo dobrej przeróbki cennego niemieckiego dzieła L. Mitterpacha opracowanego na zasadzie dzieła prof. J. B. Beckmana „Grundsätze der deutschen Landwirtschaft" zrobionej przez ks. pijara Cypriana Zapolskiego p.t. „Gospodarstwo prawdami istotnemi i doświadczeniem rzeczywistem stwierdzone" (1787, 2 tomy). Księżna lubiła kwiaty, miała obszerne pomarańczarnie, pełne żywych osobliwości, dużo kwiatów w ogrodach. Nie żałowała na to grosza i całe skrzynie roślin dotąd często w kraju nieznanych sprowadzała wprost z Paryża do Kocka. Urządzała też ptaszarnie, hodując w lecie ptaki wśród krzewów otoczonych specjalną siatką, w zimie zaś umieszczając je w klatkach w ogrodzie zimowym. Obsadzała drzewami drogi w swoich majątkach, a w ustawach swoich wprowadziła paragraf, że każdy żeniący się włościanin musiał przed weselem posadzić 10 wierzb lub drzew owocowych.

Chcąc podnieść wiadomości z ogrodnictwa, wydała przeróbkę wyjętą z angielskiego dzieła Richarda Bradley'a: „New improvements of Planting and Gardewing, Philisophical and Practical" (London 1726, V-e wyd.). W trzeciej części tego dzieła jest „the Gentleman and Gardener Kalendar", który stał się pierwowzorem praktycznej książki wydanej przez wojewodzinę p.t. „Porządek robót miesięcznych ogrodnika, na cały rok wypisany i na miesiące podzielony" (1786 I wyd. w Siemiatyczach, II-e w Warszawie). Na końcu książki jest 6 wielkich tabel zadrukowanych obustronnie, na których podano nazwy roślin w 4-ch językach: po polsku, łacinie, francusku i niemiecku wraz z praktycznymi uwagami o każdej, dotyczącymi sadzenia i hodowania, co było wielkim ułatwieniem w praktyce. Wymieniono tutaj przeszło 500 roślin, hodowanych w Kocku. Jest to dokument pierwszorzędny do historii hodowli roślin w naszym kraju. Z inicjatywy księżny wyszła książka ks. Ładnowskiego, pijara: „Historja naturalna Królestwa Polskiego", w dedykacji księżnej autor mówi, że widok „bogatego płodów naturalnych Zbioru" natchnął go do podjęcia tego zadania. (Książka o niewysokim zresztą poziomie naukowym,

będąca kompilacją z Rzączyńskiego.) Lecz prócz tego żywego muzeum, jakim były jej ogrody ze szklarniami, które mogły konkurować z Ogrodami Botanicznymi, ulubionym jej dzieckiem był Gabinet Przyrodniczy wraz z odpowiednią biblioteką. Zbiory te z początku były w Kocku, a potem po wybudowaniu pałacu w Siemiatyczach znalazły tam pomieszczenie.

Księżna gromadziła je lata całe, podróżowała w tym celu po Hiszpanii, Włoszech, Francji i nie wahała się zakupywać nawet całego zbiorku, jeżeli znalazł się w nim choć jeden okaz, który jej wpadł w oko. Nie był to przypadkowy zbiór przedmiotów, jak to często bywało w gabinetach przyrodniczych gromadzonych przez magnatów, lecz rzeczy wybierane ze znawstwem i zamiłowaniem przedmiotu .

Paulina Wilkońska ze wspomień matki, która bywała w Siemiatyczach, tak opisuje te zbiory: „Gabinet ten pięć wielkich sal zajmował. W pierwszej owalnej była biblioteka; w drugiej sztuki piękne, numizmaty, wyroby najsubtelniejsze, materie z kory drzew itp.; w trzeciej sali kruszce w naturalnych i sztucznych kształtach i wszelkie płody z wnętrza ziemi pochodzące; w czwartej wszelkiego rodzaju zwierzęta krajowe i zagraniczne, wypchane; w piątej rośliny krajowe i zagraniczne, z pięciu części świata pochodzące, na różny sposób zakonserwowane. To wszystko poskładane było w nader pięknych szafach, arcydziełach sztuki stolarskiej, wykładanych w przeróżne wzory drzewem kolorowym, muszlami i koralami różnej wielkości".

Skądinąd wiemy, że zbiory te obejmowały także gabinet fizyczny, zbiory etnograficzne, modele narzędzi rolniczych.

„W każdym razie", mówi J. Rostafiński[12], „zbiory te były tak mnogie, że kiedy Stanisław August, jadąc do Grodna w r. 1794 na sejm, wstąpił odwiedzić Jej Miłość panią „ciotkę" i bawił u niej przez tydzień, to oglądał te zbiory szczegółowo trzy dni i część nocy. Księżna sama mu wszystko pokazywała i objaśniała". Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że paryskie zbiory Museum d'histoire naturelle, które uważano za bogate i ciekawe, gdyż zawierały okazy i ryciny zwierząt i roślin oraz cenny zbiór drogich kamieni Dufaya, w tych czasach kiedy

[12] J. Rostafiński. Księżna wojewodzina Bracławska jako przyrodniczka. Księga pamiątkowa ku czci B. Orzechowicza. T. II. str. 24. B. Hryniewiecki Udział kobiety polskiej w rozwoju botaniki. Czasopismo Przyrodnicze. Łódź. VII. 1933. Zesz. 1—3. Bergrówna: Anna z Sapiehów Jabłonowska. Lwów. Lw. Tow. Naukowe.

księżna wojewodzina bywała w Paryżu, mieściły się tylko w dwu salach, to musimy Gabinet w Siemiatyczach zaliczyć do bardzo bogatych. Fantazja pańska przodka wojewodziny Bracławskiej kazała mu ukraść obraz święty papieżowi i umieścić go w specjalnie ufundowanym kościele na Podlasiu, aby diabeł, jak myślał, nie mógł psocić w tej zapomnianej od Boga i pozbawionej świętości krainie; w półtora wieku później dzielna niewiasta z tegoż rodu zwalczała tego podlaskiego „Smętka" mądrymi ustawami dla swych włościan i z fantazją wielkopańśką zebrała skarby kulturalne w postaci muzeum w swej siedzibie w zapadłym kącie tegoż Podlasia. Z dumą pokazywała właścicielka te skarby odwiedzającym ją królom: Stanisławowi Augustowi, Józefowi II (1870), następcy tronu rosyjskiego Pawłowi i jego małżonce ks. Dorocie Wirtemberskiej (1782), wzbudzając nieraz może ich zazdrość, że takich skarbów nie mają ani w Warszawie, ani w Wiedniu, ani w Petersburgu. Odwiedzali ją znani ze swej wiedzy księża i biskupi, jak Krasicki, Naruszewicz, Kołłątaj i literaci, co się w owe czasy musieli trzymać pańskiej klamki, jak Kniaźnin, Trembecki, Karpiński, a niejeden z nich i panegiryk spłodził. Zbiory te będące umiłowaniem i dumą właścicielki, nie miałyby wielkiego znaczenia dla naszej kultury naukowej, gdyby nie jedna okoliczność.

W sąsiedztwie dóbr wojewodziny w Ciechanowcu urodził się i osiadł później na probostwie skromny księżyna ks. Krzysztof Kluk (1739—1796)[13]. Wyszedł on z zasłużonego dla historii naszego wychowania pijarskiego grona, snać wziął sobie za hasło dewizę wielkiego pijara, ks. Stanisława Konarskiego, „Sapere aude", gdyż postanowił sobie, siedząc na probostwie, zapoznawać rodaków z rzetelną wiedzą o przyrodzie, którą się nade wszystko interesował. Zaczął od rzeczy praktycznych, — od zaznajamiania z roślinami pożytecznymi i ich hodowlą i kolejno od 1777 r. do 1779 wydał 2 tomy dzieła p.t. „Roślin potrzebnych, pożytecznych, wygodnych ... utrzymanie rozmnożenie i zażycie", dając w ten sposób trzy traktaty: o ogrodownictwie, leśnictwie i rolnictwie, oparte o najnowsze źródła naukowe a jednocześnie napisane językiem popularnym, dostępnym dla każdego. Wielkie powodzenie tego dziełka skłoniło go do kontynuowania tej pracy rozciągnięcia popularyzacji wiedzy przyrodniczej na zwierzęta i rze-

[13] January Kołodziejczyk: Ks. Krzysztof Kluk. Dzieła i twórczość. Wyd. Pol. Akad. Um. Kraków. 1932.

czy kopalne i znów w rekordowym czasie, w ciągu dwu lat (1779—1780) ogłasza 4 tomy dzieła p.t. „Zwierząt domowych i dzikich osobliwie krajowych historji naturalnej początki i gospodarstwo" i następnie w latach 1781—1782 dwa tomy „Rzeczy kopalnych osobliwie zdatniejszych szukanie, poznanie i zażycie". Pracami tymi ks. Kluk zwrócił na siebie uwagę Komisji Edukacji Narodowej a zwłaszcza jej ekspozytury, Towarzystwa do ksiąg elementarnych, i dostał polecenie napisania elementarnego podręcznika botaniki dla szkół narodowych. Doskonały ten podręcznik stał na poziomie ówczesnej wiedzy i w kilku wydaniach lat kilkadziesiąt służył szkołom polskim. Ukoronowaniem pilnej pracy ks. Kluka był „Dykcjonarz roślinny (3 tomy w latach 1786, -7, -8 — II. wyd. 1811, -12 i -13), dzieło czysto naukowe, pierwsza po polsku napisana Flora Polski. Interesując się światem roślin, ks. Kluk z entuzjazmem zaznajomił się z dziełami wielkiego Szweda Linneusza, znalazłszy tam jasność i precyzję a w jego układzie cenne narzędzie, które pozwalało szybko definiować rośliny i wprowadzać porządek tam, gdzie dotąd panował chaos. Jeżeli porównamy prace ks. Kluka z naszym dorobkiem w naukach przyrodniczych za wiek XVIII, a więc z jedyną na owe czasy 4-tomową encyklopedją ks. Chmielowskiego p. t. „Nowe Ateny", którą autor nazywa „Akademją sciencyi wszelakiej pełną" a która jest zlepkiem anegdotek pseudonaukowych i chwastów przyrodniczo-technicznych, oraz poważnym łacińskim dziełem ks. Gabryela Rząszyńskiego „Historia naturalis curiosa Regni Poloniae" (Sandomierz 1721) i „Actuarium" (Gdański 1745), bardzo pracowitą lecz bezkrytyczną kompilacją bez znajomości przyrody napisaną, to zobaczymy, że dzięki ks. Klukowi wyszliśmy z bezdroży obskurantyzmu i zrobiliśmy olbrzymi krok ku Europie. W botanice od niego zaczyna się nowa era — naukowa. Tego wszystkiego nie mógłby proboszcz Ciechanowiecki dokonać, zwłaszcze napisania Flory Polski, gdyby nie pomoc Siemiatycz, gdzie znalazł zachętę i pomoc rzeczową w postaci mnóstwa książek, drogich atlasów z wizerunkami roślin, zwierząt i kopalin oraz okazów zielnikowych, zwierząt wypchanych i minerałów, naukowo oznaczonych przez zagranicznych badaczów. Siemiatycze dla ks. Kluka były uniwersytetem i w tym jest ogromna zasługa Anny Jabłonowskiej.

Sam ks. Kluk opowiedział nam o swoim stosunku do Księżnej i zbiorów Siemiatyckich, mówiąc o zakładaniu muzeów w tych słowach: „Poprzedziła w tej mierze, jak w róż-

nych naukach doskonała, tak nauk i uczonych wysoka protektorka Jaśnie Oświecona z Xiążąt Sapiehów, Xiężna Anna Jabłonowska, Wojewodzina Bracławska, Dama Orderu Krzyża Gwiazdowego itd., sprowadziwszy i sprowadzając z cudzych krajów kosztowne i znaczne osobliwości, do naturalnego gabinetu, w dobrach swoich dziedzicznych Siemiatycze, na Podlasiu przedsięwziętego. A jako tu w naturalnym gabinecie ciekawy oglądać może obfite zebranie zwierząt osobliwszych czworonożnych, ptactwa, gadu różnego w spirytusach, ryb, owadu, kruszców kamieni, skamieniałych rzeczy, konch morskich, skellety, anatomią sztuczną człowieka, starożytności, ciekawości jak najodleglejszych krajów, nie zapominając i rzeczy krajowych: tak w Kocku, podobnież jej dobrach, widzieć się daje ogród, rzadkich osobliwości pełen. Nie tu jeszcze koniec dla ciekawego: znajdzie tu i ówdzie po dobrach podzielone cudzoziemskie gospodarskie zwierzęta, owce hiszpańskie, ptactwo itd. dla pokazania, że w kraju naszym pożytecznie chowane być mogą. Najdzie wszędzie w dobrach jej te wszystkie porządki skupione, które jako najlepsze, po różnych krajach rozproszone, sama każde doskonałością własną roztrząsnąwszy zebrała. Tak to, jak miłość dla okazania powiększyć się w kraju mogących pożytków, dla przykładu wydoskonalenia porządków zadawnionych, dla wsparcia uczonych, dla uwiecznienia sławy wysiliła i wysila".

„Ja w szczególności o dobroci jej zamilczeć nie mogę. Pobudzała mię ciekawość do widzenia tej ciekawości: zabraniała szukać sposobności nieśmiałość, oglądająca się na nizkość osoby mojej. Uwiadomiona o tym, wysokim mię swoim rozkazem uszczęśliwiła i pozwoliwszy wszystkie naturalnego gabinetu oglądać ciekawości, tym samym okazała, że jej dobroć nie ma postanowionych granic, lecz się i na najniższych rozlewa".[14]

Gdy wybuchło powstanie Kościuszkowskie, księżna jak przystało patriotce, szafowała hojną ręką na uzbrojenie, musiała przenieść swoje zbiory do Warszawy, opuścić Kock i Siemiatycze, tak że tułała się po kraju. „W początku rewolucji — pisze Paulina Wilkońska[15] — złożyła księżna Rzeczypospolitej w ofierze to, co miała najdroższego: gabinet i bibliotekę, a brat jej męża, książę Jabłonowski, na umieszczenie tychże oddał swój pałac w Warszawie (dzisiejszy

[14] Kluk. Zoologia. Str. 21 i 22.
[15] „Czas" z r. 1859 Nr 232 i 234.

ratusz) oraz i fundusz odpowiedni na ich utrzymanie i służbę potrzebną, nawet i na pomnożenie zbiorów zakupnami nowemi. Lecz odpowiedziano jej, że Rzeczpospolita nie potrzebuje teraz osobliwości, tylko pieniędzy i broni."

Księżna zmarła 3 marca 1800. Gdy po jej śmierci zaczęto się krzątać w Warszawie pod przewodem ks. bisk. Albertrandyego i Stan. Staszica nad wznoszeniem zrębów nowego przybytku dla polskiej nauki pod nazwą „Towarzystwa Przyjaciół Nauk", zbiory siemiatyckie, które mogłyby być dla tego Towarzystwa poważną podporą w pracy naukowej, zostały sprzedane przez spadkobierców cesarzowi Aleksandrowi I za 50 000 dukatów — sumę stanowiącą zaledwie cząstkę tego co kosztowały. Wywieziono je do Moskwy, gdzie podobno spaliły się w r. 1812, a po części do Petersburga, gdzie się rozproszyły wśród innych zbiorów.

* * *

W nowszych czasach w wieku XIX sprawa muzeów przyrodniczych w Polsce weszła na nowe tory. Odrodzone do nowego życia uniwersytety zaczęły gromadzić w swych gabinetach przyrodniczych zbiory niezbędne do pracy naukowej, zakładając nowe lub rozwijając już istniejące ogrody botaniczne, które dla muzealnictwa botanicznego miały pierwszorzędne znaczenie. W Krakowie tworzyły się zbiory dzięki pracom Jana Jaśkiewicza, Alojzego Estreichera, R. Czerwiakowskiego i M. Nowickiego, w Krzemieńcu zabiegami Bessera i Andrzejewskiego, w Wilnie z inicjatywy ks. St. B. Jundziłła, Józefa Jundziłła, J. Wolfganga i St. Górskiego i Szymonowicza, we Lwowie — zaczęli tę sprawę Hiacynt Łobarzewski, Szymon Syrski i inni, w Warszawie Szubert, Jarocki, Pawłowicz i Wojciech Jastrzębowski. Po powstaniu 1830 roku wywieziono zbiory wileńskie i krzemienieckie. W Warszawie zbiory przeżywały różne dzieje, bywały lata gdy były w pakach, zaczęły znów rosnąć w czasach Szkoły Głównej zwłaszcza Gabinet zoologiczny i dzięki kustoszom Polakom takim, jak Taczanowski, Wałecki, dzięki Benedyktowi Dyboskiemu, który słał z Syberii do Warszawy swoje zdobycze i licznym polskim ofiarodawcom, wzrastały bez przerwy aż doczekały się znów uniwersytetu polskiego w Warszawie. W Poznaniu zbiory polskie skupiły się przy Towarzystwie Przyjaciół Nauk, gdzie straż nad nimi długie lata trzymał dr. Franciszek Chłapowski. Oprócz uniwersytetów, na polu muzealnictwa nie brak było

w ciągu XIX w. inicjatywy prywatnej. Hr. Konstanty Tyzenhaus (1786—1853) utworzył w Postawach w woj. Wileńskim wielkie Muzeum Ornitologiczne oraz wspaniały zbiór jaj ptasich, co posłużyło za podstawę do opracowania cennego dzieła; Stanisław Pietruski założył w r. 1833 w Karpatach, w Podhorodach, piękny prywatny zwierzyniec do badania życia zwierząt i zebrał duże zbiory, pochłonięte niestety, w kilkanaście lat później przez pożar; uratowane jednak notatki posłużyły do ogłoszenia ciekawych obserwacyj naukowych. Znany miłośnik ptaków i autor popularnych szkiców z ich życia, hr. Kazimierz Wodzicki (1816—1889), zgromadził w Olejowie na Podolu wielki zbiór ptaków, który przekazał Akademii Umiejętności w Krakowie. Duży zbiór konczyliogiczny (około 8000 gat.) zgromadzł ks. Władysław Lubomirski (1824—1882). Zjawili się wreszcie magnaci, którzy poszli w ślady Anny Jabłonowskiej, lecz stwarzając na wielką skalę instytucje muzealne urządzili je bardziej celowo, aby mogły służyć stale rozwojowi nauki polskiej. Takimi byli hr. Włodzimierz Dzieduszycki (1828—1899), twórca Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, gdzie zasłużonym kustoszem był Marjan Łomnicki (1845—1915) i hr. Konstanty Branicki (1824 do 1884), który mając do pomocy dzielnych podróżników, jak Konstanty Jelski i Jan Sztolcman, zarazem kustosz, stworzył w Warszawie cenne muzeum zoologiczne, które po odzyskaniu niepodległości przez połączenie się z Gabinetem Uniwersytetu Warszawskiego stało się podstawą Państwowego Muzeum Zoologicznego.

Dla botaniki cenne zbiory zielnikowe wraz z bogatą biblioteką florystyczną zgromadził w Spiczyńcach na Ukrainie dr. Franciszek Błoński (1867—1910); po jego zaś śmierci zbiory zostały nabyte przez Towarzystwo Naukowe Warszawskie.

Wspaniały zbiór minerałów z wielkim znawstwem zgromadził chemik — przemysłowiec Stanisław Zaleski[16] (1867 do 1933) zamieszkały ostatnio w Skarżysku. Po jego śmierci w myśl jego życzeń kolekcja ta została przekazana Uniwersytetowi Warszawskiemu.

W wolnej Polsce sprawę muzealną załatwiono tylko cząstkowo, powołując do życia Państwowe Muzeum Zoologiczne, które niestety, w pożarze straciło swe cenne zbiory wystawowe i nie mogło się doczekać specjalnego gmachu.

[16] B. Hryniewiecki, Wspaniały dar. — Kurjer Warszawski. 14 XII. 1933.

Zbiory botaniczne w Warszawie rozsiane po różnych polskich instytucjach zostały skupione w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin, jaki powstał przy Ogrodzie Botanicznym. Znalazły tu się zbiory Muzeum Przemysłu i Rolnictwa (zielniki sporządzone przez współpracowników „Pamiętnika Fizjograficznego". jak K. Drymmer, F. Kwieciński, Majchrowski, Ejsmond i inni), zbiory Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego (T. Chałubińskiego, F. Berdau'a, K. Łapczyńskiego) zbiory Towarzystwa Farmaceutycznego (zielnik Ferdynanda Karo), Zielnik i Biblioteka Fr. Błońskiego z Tow. Nauk. Warsz., nie licząc różnych prywatnych ofiarodawców. Umieszczone na razie w ciasnym pomieszczeniu Zakładu wraz z odrodzonym do nowego życia Ogrodem, służąc postępowi badań nad florą Polski, czekały na urzeczywistnienie planu stworzenia nowego pięknego Ogrodu Botanicznego z odpowiednim gmachem dla pomieszczenia zbiorów.

Polska Akademja Umiejętności, posiadłszy znaczne zbiory dzięki działalności Komisji Fizjograficznej, nie mając na razie pomieszczenia, przechowywała je przez długie lata po różnych zakamarkach, utrzymując je dzięki ofiarnej pracy zbieraczów i bezpłatnych kustoszów, doszła wreszcie do rozbudowy własnego Muzeum.

Powstały nadto różne muzea regionalne uwzględniające w mniejszym lub większym zakresie i nauki przyrodnicze. Niektóre z nich wybiły się na poważne placówki naukowe, jak Muzeum Śląskie w Katowicach lub Muzeum w Białowieży, które dzięki pracom prof. J. Paczoskiego i inż. Karpińskiego wraz z tamtejszym Parkiem Narodowym stało się idealnym terenem do badań przyrodniczych.

Gdy wyjaśnimy sobie po zawierusze czasu wojennego nasze straty, a wiemy dziś, że są one olbrzymie, staje znów przed nami sprawa muzealna w całej rozciągłości. Nowe pokolenie, jak to nieraz w Polsce bywało, będzie musiało znów zacząć budować od fundamentów.

Julian Krzyżanowski

NA DRODZE DO DZIEJÓW BAJKI LUDOWEJ

Przy całym swym niewątpliwym bogactwie, humanistyka polska ostatniego półwiecza, w szczególności zaś nasza nauka o literaturze, wykazuje pewne znamienne niedociągnięcia i niedomagania. Dotyczą one m. in. folklorystyki czyli nauki o literaturze ludowej (tradycyjnej czy ustnej), tj. szerzącej się i żyjącej w przekazie nie piśmiennym lecz ustnym, literaturze, która, podobnie jak jej siostrzyca oparta na tekstach pisanych, obejmuje poezję, dramat i prozę. Niedomagania te występują szczególnie dotkliwie na tle lat międzywojennych, w których folklorystyka europejska wykazała tyle prężności i osiągnęła takie rezultaty, iż z powodzeniem zabiegać dzisiaj może o godność samodzielnej dyscypliny humanistycznej czy przynajmniej naukowo-literackiej. Gdy mianowicie jej pionierzy, badacze dawniejsi, albo poprzestawali na gromadzeniu i ogłaszaniu surowych materiałów, a więc na stadium zbieractwa, albo też opracowywali tematy tradycyjne w sposób niekiedy genialnie wnikliwy, przeważnie jednak dowolny i wskutek tego naukowo bezwartościowy, przeskakując przedwcześnie w stadium dociekań genetyczno-historycznych, pracownicy międzywojenni usiłowali utrzymać się w granicach dwu stadiów pośrednich, poprzestawali na dociekaniach morfologicznych i systematycznych, wiodących ostatecznie do ustalania związków i pochodzenia utworów literatury tradycyjnej. W przeciwieństwie nadto do czasów dawniejszych, koncentrujących swe zainteresowania przede wszystkim na „pieśni gminnej", folklorystyka międzywojenna jęła skupiać uwagę na prozie tradycyjnej, usiłując odrobić te zaległości, o których przekonywa choćby pobieżny rzut oka na zagadnieniom tym poświęcone ustępy monumentalnego dzieła K. Moszyńskiego, ukazującego obraz „Kultury ludowej Słowian". Do nas to nowinkarstwo naukowe przenikało — jak się dalej okaże — w stopniu bardzo nikłym, co tym osobliwsze, że potrzebę jego już przed laty czterdziestu żywo odczuwał i jasno formułował jeden z najpracowitszych etnografów - zbieraczy, Seweryn Udziela. Już mianowicie w r. 1905 ogłosił on w lwowskim „Ludzie" artykuł: „O potrzebie zestawienia i uporządkowania

opowiadań ludowych", w którym uzasadniał ze względów praktycznych konieczność sporządzenia „Księgi opowiadań ludowych", szkicował jej układ i w konkluzji akcentował:

> Zauważyć jeszcze wypada, że literatura nasza wykazuje mniej więcej 6000 opowiadań ludowych, że zatem opracowanie całego materiału wymagać będzie bardzo wiele pracy i czasu. Gdyby ktokolwiek... mógł przy innych zawodowych zajęciach rozebrać i wciągnąć do tworzącego się dzieła jedno opowiadanie dziennie, potrzebowałby 20 lat czasu na uporządkowanie i zestawienie zbiorów dzisiejszych. A przecież tak długo czekać nie powinniśmy, czekać nie możemy.

Radę na pokonanie trudności Udziela widział w pracy zbiorowej pod „jednolitym kierownictwem według dokładnie opracowanego schematu". Apel ten pozostał bez echa, upłynęło lat niemal, a obecnie nawet dokładnie, dwa razy po dwadzieścia, i nauka polska w ich przeciągu nie zdobyła się na częściowe choćby wykonanie słusznego zadania.

Przymusowe w pierwszym roku wojny oderwanie się od „zajęć zawodowych" i wieczory wydłużone przez wynalazek „godziny policyjnej" umożliwiły mi wykonanie pomysłu Udzielowego. Pracę tę podjąłem bez zważania na dylemat, czy bajkoznawcą powinien być etnograf, specjalista od stroju lub obyczaju ludowego, czy też badacz zjawisk literackich, praktyka bowiem własna przekonała mię, że ludowe i nieludowe w naukowym poznaniu literatury oddzielić się bez szkody dla jej całości nie da. Dwa z okładem lata pracy systematycznej pozwoliły cały niemal materiał ująć w ramy przejrzystego systemu i utrwalić na papierze. Tragiczny sierpień zeszłoroczny zniszczył warsztatową część wykonanej pracy, kartoteka polskiej bajki ludowej spłonęła na Starym Mieście. Miesiące następne przyniosły dalsze zniszczenie, którego ofiarą padła druga połowa gotowej pracy. To jednak, co ocalało, stanie się podstawą rekonstrukcji, indywidualnej czy zbiorowej, a w każdym razie stanowi podstawę do spojrzenia na pewną ilość zagadnień bajkoznawczych, mogącego rościć sobie pretensję do przymiotnika „naukowy".

Z tym wszystkim wspomniana na początku obcość tych zagadnień naszemu myśleniu naukowenu sprawia, iż pierwsza próba systematyki części naszej prozy tradycyjnej, a więc bajki ludowej, wymaga pewnego uzasadnienia, choć nie jest ono oczywiste dlatego chyba, że obejmuje mnóstwo spraw natury zarówno teoretycznej jak praktycznej.

Rozpoczynając od ostatnich, nie trudno dostrzec, że naukowo poprawna systematyka bajek ludowych, a więc różnorodnych opowiadań tradycyjnych, we właściwym znaczeniu tego wyrazu (trado-przekazuje) bajek zwierzęcych, baśni czyli bajek fantastycznych, legend, powiastek budujących i powiastek komicznych, jest nieodzowna dla etnografa-zbieracza, który zapisuje bądź chwyta na wałek fonografu przeróżne odmiany opowieści ludowej. Są bowiem wśród nich pozycje zasługujące na utrwalenie i pozycje, które na nie nie zasługują. Bajki rzadkie, spotykane wyjątkowo, z natury rzeczy uważać się musi za cenniejsze od pospolitych, występujących nagminnie, znanych każdemu bajarzowi czy bajarce. Napotykając odmiany pospolite, poprzestać od biedy można na krótkim ich streszczeniu, dostatecznym dla ustalenie zasięgu w czasie i przestrzeni danego wątku bajkowego. Bajki natomiast rzadkie a wskutek tego trudniejsze do zapamiętania, pozbawione tego środka upowszechnienia,jakim jest wielokrotne powtarzanie, wymagają zapisu szczegółowego, bardzo dokładnego.

O słuszności tego stanowiska wymownie świadczy karta z nienapisanych dziejów folklorystyki polskiej, związana z początkami wspomnianego tu czterdziestolecia. Gdy dawniejsze tomy wydawnictw ludoznawczych, takich jak „Lud", „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej", „Wisła" i in., bywały nieraz przeładowane surowcem bajkowym, w tomach nowszych stał się on rzadkością. Wpłnęły na to niewątpliwie uchwały zjazdu etnografów polskich w r. 1905 podkreślające problematyczną wartość gromadzenia materiałów bez ich równoczesnego opracowywania naukowego, na które, jak wskazuje wezwanie Udzieli, nie było sił ni środków. Już dawniej zresztą, bo w r. 1888 Dygasiński, omawiając w „Wiśle" ogłoszone przez J. Karłowicza „Podania i bajki ludowe zebrane na Litwie", usprawiedliwiał go przed zarzutami, „że bajki powyższe wydaje bez komentarzy porównawczych, że je ułożył w porządku geograficznym i że niektóre z nich lub do nich podobne dawniej już drukowano". Gdy z biegiem lat zarzuty te otrzymały postać wskazań czy zasad dla zbieraczy, osiągnięto nimi rezultat podwójnie nagatywny, nie zdobyto się bowiem na „naukowe" opracowanie materiału bajkowego, a zaniechano drukowania materiałów „nienaukowego".

Sporządzona systematyka usiłuje i powinna położyć kres anormalnym stosunkom panującym u nas od lat w dziedzinie

podstawowej pracy nad bajką ludową. Przynosi ona podsumowanie stuletniego dorobku etnografów-zbieraczy, od Wójcickiego, Balińskiego i Siemieńskiego począwszy, możliwie bowiem wyczerpująco inwentaryzuje materiały dotąd drukiem ogłoszone. Dzięki temu automatycznie otwiera pole do pracy dalszej, umożliwiając bowiem doraźną orientację, wskazując zasięg terytorialny danego wątku, umożliwia stwierdzenie, czy i w jakim stopniu jest on w danych okolicach znany, a tym samym powinna uchronić zbieracza od marnowania czasu i sił na zdobywanie pozycyj pospolitych, powszechnie znanych, a skierować jego uwagę na zjawiska, które utrwalić warto jako nieznane lub przynajmniej znane niedostatecznie.

Dotyczy to również innej, bardzo zasłużonej kategorii zbieraczy bajek ludowych, zapisywanych dla celów nie folklorystycznych lecz językowych. Przerzucając „resumé" ich wieloletniej działalności, wydany starannie przez K. Nitscha „Wybór polskich tekstów gwarowych" (1929), spotyka się w nim mnóstwo pozycyj o wartości bajkowo bardzo wątpliwej, zanotowanych z ust dzieci szkolnych, które nie potrafiły pamięcią ni wyobraźnią opanować skomplikowanej materii baśniowej; defekt ten nie umniejsza oczywiście przydatności danych tekstów dla poznania gwary, w której je zapisano; a jednak trudno zrozumieć, dlaczego właściwości gwary ma się demonstrować na przykładach jaskrawo nieudolnych, skoro to samo zrobić można na materiale o takich czy innych walorach artystycznych. Teksty śląskie L. Malinowskiego lub kaszubskie F. Lorentza, zapisane z pedantyczną wręcz dokładnością językową, dowodzą, że inteligentny językoznawca znakomicie może pogodzić wymagania lingwistyczne z folklorystycznymi. Nie ma zresztą potrzeby rozwodzić się nad wyższością współpracy nad jej brakiem w dwu ościennych dziedzinach naukowych, i to operujących wspólnym materiałem.

Przechodząc od stanowiska etnografa-zbieracza do innych, również praktycznych, niepodobna przeoczyć znaczenia systematyki bajek dla celów popularyzatorskich w słowie i piśmie, dla słuchowisk radiowych, recytacyj estradowych, dla publikacyj wreszcie udostępniających „skarby" wyobraźni ludowej dzieciom itp. Nie mamy dotąd wzorowego wydania bajek ludowych tego typu, co zbiór braci Grimm w Niemczech, Afanasjewa w Rosji lub Sebillota („Contes des provinces de France", 1920) we Francji, posługujemy się wciąż jeszcze lichym „Bajarzem polskim" Glińskiego, nabierając z niego

wyobrażenia o charakterze baśni polskiej. Nie zdajemy sobie sprawy, że ten nieudolny plagiator do zbioru swego, wznawianego po dzień dzisiejszy, wplatał marne przekłady wierszowanych bajek Puszkina, że dał tam nawet streszczenie „Rusłana i Ludmiły" (kilkakrotnie drukowane również oddzielnie), podobnie jak nie domyślamy się, że niejeden inny zbiór czy zbiorek popularny zawiera rzeczy również z naszą kulturą ludową mało mające wspólnego[1]. Dziwić się tym i tym podobnym nieporozumieniom trudno, zważywszy na okoliczność, że mnóstwo najlepszych tekstów bajkowych kryje się po niedostępnych czasopismach i dawno wyczerpanych książkach, do których nie mogą sięgnąć bez odpowiedniego przewodnika ani ci, co chcieliby znamienne okazy autentycznego folkloru polskiego pokazać czytelnikowi własnemu, ani ci, którzy, jak S. Strowska, próbami z tej właśnie dziedziny budzą żywe zainteresowanie u miłośników bajki poza Polską.

Daleko rozleglej przedstawia się pole zastosowalności systematyki bajkowej w pracach teoretycznych, naukowych, zarówno specjalnych, folklorystycznych, jak wszelkich innych.

Odmianę pierwszą można zademonstrować na naszych najnowszych studiach ludoznawczych. Jeśli wyniki wycieczki na podwórko etnografii nie wypadną korzystnie, jedno z nich przynajmniej da się wynieść, przekonanie, że badania przeprowadzane nad kulturą wsi polskiej nie mogą się obyć bez poprawnego posługiwania się materiałem bajkowym. Ostatnie mianowicie lata przedwojenne i znamienny dla nich wzrost zainteresowań regionalnych przyniosły sporo prac naukowych o kulturze tych czy innych dzielnic. W obrazie kultury duchowej czy umysłowej, a nawet materialnej, niepodobna oczywiście pominąć opowiadań prozaicznych, rzecz jednak w tym, by oprzeć się na tym, co istotne a nie na relacjach przypadkowych lub znamiennych nie tylko dla danego terytorium, ale również dla innych, o odmiennej strukturze kulturowej. Syntetyk, podejmujący się nakreślenia takiego obrazu, podoła zadaniu, jeśli będzie miał materiały należycie usystematyzowane, w przeciwnym razie praca okaże się nad jego siły i da wyniki, których niepodobna brać poważnie. Jak to wygląda w praktyce, wskazuje doskonale skądinąd pomyślane dzieło zbiorowe o Kaszubszczyźnie („Kaszubi, kultura ludowa i język", 1934),

[1] Praktyki J. Piątkowskiej zdemaskował niedawno K. Moszyński; Kolberg („Poznańskie") brał na serio fabrykaty grafomanek romantycznych (E. Puffke) i wcielał je do swego zbioru itd. itd.

wykonane przez takich specjalistów jak Fr. Lorentz, A. Fischer i T. Lehr Spławiński. Charakterystykę bajek kaszubskich dał tu najlepszy ich znawca, Lorentz, ich zaś stosunkiem do materiału ogólnopolskiego zajął się Fischer. Pierwszy poprzestał na serii uwag, dalekich od pochwycenia podstawowych cech charakteryzowanego materiału, drugi zaś, oparłszy się na kompendium Boltego i Polivki, tej nieocenionej księdze, o której niżej, raz po raz stwierdza, że wątki kaszubskie pospolite są również na innych terytoriach Polski, że baśń o „Darach wiatru północnego" (o obrusie samonakrywającym się i kijach samobijach) „tak bardzo rozpowszechniona w całej Polsce, znana jest również na Kaszubach", że „kaszubska baśń o głupim co nie znał strachu i koniecznie chciał go poznać, posiada liczne analogie w Krakowskim koło Wadowic i Nowego Sącza" itd. itd. Wszystkie te konstatacje są niewątpliwie słuszne, z równym jednak powodzeniem można by je przeprowadzić na materiale niemieckim, rosyjskim, białoruskim lub czeskim, zaczerpniętym z tego samego kompendium, i osiągnąć te same rezultaty. Wnioski zaś dla folkloru kaszubskiego istotnie ważkie otrzyma się dopiero i jedynie na tle systematycznie zebranego, możliwie pełnego czy przynajmniej obfitego materiału polskiego. Z tego stanowiska uderzyć musi znamienny dla Kaszubszczyzny brak baśni o „Królewnie i smoku", niezwykła zaś obfitość baśni o „Trzech prządkach". W wypadku pierwszym (w systematyce międzynarodowej oznaczanym jako T 300) na 30 wariantów polskich przypada na Kaszuby tylko 4, w wypadku drugim (T 501) z Kaszubszczyzny mamy wariantów 13, z reszty Polski tylko jeden. Podobnych przykładów przytoczyć by można daleko więcej, a podstawowym zadaniem etnografa byłoby wyjaśnić, czy i o ile popularność lub niepopularność pewnych wątków da się uzasadnić jakimiś specjalnymi właściwościami kaszubskiej kultury ludowej. Nawet nie etnograf wytłumaczy sobie tu pewne sprawy bez większego wysiłku. Nikogo więc nie zdziwi fakt, że na 10 wariantów bajki o rybaku i jego chciwej żonie (T 555), szeroko zdawałoby się spopularyzowanej przez Glińskiego, z Kaszubszczyzny pochodzi 7, przyczym niektóre z nich uderzają niezwykłym artyzmem płynącym m. in. z umiłowania i znajomości morza. Podobnie każdy, kto pamięta skrzydła wiatraków tak znamienne dla pejzażu kaszubskiego, warunkami gospodarczymi regionu wyjaśni sobie bogactwo folkloru młynarskiego na Polskim brzegu. Reprezentują ten dział życia zarówno specjalnie kaszubskie bajki

o młynarczyku zdobywającym królewnę czy też o chytrym młynarczyku, który podstępnie osadza diabła na kręcącym się kamieniu młyńskim, jak osobliwe odmiany wątków ogólnopolskich. Do ostatnich należy humoreska o Belfagorze (T 1164), której naczelny motyw, ucieczkę diabła od żony-sekutnicy, spopularyzowała ballada Mickiewicza o „Pani Twardowskiej". W wariantach polskich i niepolskich diabeł odwdzięcza się chłopu za pomoc w przeprawach z żoną w ten sposób, że każe mu leczyć opętane przez siebie panny. Warianty kaszubskie mają tu coś innego: diabeł psuje młyny, chłop doprowadza je do ładu i dzięki temu zdobywa majątek. Słowem — dopiero i jedynie na tle całego materiału bajkowego zebranego systematycznie występują w całej pełni właściwości folkloru danych ziem i jego związki z kulturą materialną i społeczną środowisk, w których folklor ten kwitnie.

To samo, mutatis mutandis, skonstatować można również w próbach uchwycenia całokształtu naszej tradycyjnej prozy ludowej nawet pod względem bibliograficznym. Rzecz znamienna, choć zrozumiała, że próby te są zazwyczaj niepełne, pomijają bowiem pozycje rzekomo niepolskie: idzie tu mianowicie o zbiory poczytywane za ukraińskie i białoruskie, takie np. jak S. Barącza „Bajki, fraszki, podania i pieśni na Rusi" (1866) lub „Lud białoruski" M. Federowskiego (1897—1903). Żaden z nich nie wszedł do Gawełka „Bibliografii ludoznawstwa polskiego", w pracach zaś obcych, jak wspomniane dzieło Boltego i Polivki lub jak „Bajka rosyjska" Sawczenki, występują one jako rzeczy traktujące o folklorze ukraińskim lub białoruskim. Tymczasem sprawa przedstawia się zgoła inaczej. Barącz, reprezentant romantycznego synkretyzmu na polu folkloru, nie odróżniał rzeczy polskich, szlacheckich, i ukraińskich, ludowych, i pod wspólnym tytułem dał równie dobrze facecje dworskie i klasztorne, jak anegdoty szkolne, jak baśni ukraińskie, ormiańskie i żydowskie, znane mu z terytorium Rusi. W „Ludzie białoruskim" Federowskiego znowuż znajdujemy mnóstwo opowiadań zebranych wśród szlachty zagrodowej okolic Grodna, Wilna i Mińska, podanych w języku polskim, dalej opowiadań polsko-białoruskich, w których osobistości niechłopskie przemawiają po polsku, opowiadań wreszcie białoruskich pochodzenia polskiego, tak silnie związanych z folklorem polskim, że w jego obrazie pominąć ich niepodobna. A to samo dotyczy innych zbiorów kresowych, takich choćby jak „Chełmskie" Kolberga lub „Przemyskie" tego samego

autora, zawierających materiały polskie zmieszane z ruskimi. Nie okładka tedy i tytuł, lecz systematyka decyduje o poprawnym włączeniu materiałów wymienionych i niewymienionych tutaj do dziedziny, do której należą.

A dalej, od czasów Udzieli i jego rówieśników dzielą nas lata wspomnianego na wstępie, bogatego rozkwitu folklorystyki europejskiej, w której studia bajkoznawcze wyemancypowały się tak wyraźnie, że trzeba się z nimi liczyć jako z zapowiedzią odrębnej dyscypliny humanistycznej. Studia te, zadokumentowane pracami takimi, jak ogromny, pięciotomowy komentarz Boltego i Polivki do bajek Grimmów i ponad sto tomów serii FFC (Folklore Fellows Communications), wydawanej przez Akademię fińską, nie mówiąc już o innych rozprawach czeskich, francuskich, niemieckich, rosyjskich i skandynawskich, nie przeszły bez echa również w nauce polskiej. Prace mianowicie, zapoczątkowane przed laty przez Jana Karłowicza i St. Ciszewskiego, znalazły kontynuatorów w W. Klingerze, A. Fischerze, J. Janowie i J. Krzyżanowskim. Studia jednak i dawne i nowe stale chromały i chromają, ich autorom bowiem nigdy nie udało się opanować całego materiału, zawsze po ogłoszeniu okazywały się w nich luki, nieraz nawet bardzo dotkliwe. By nie szukać daleko, wskażę na własny szkic o „Dwu żartach Gonelli w Dworzaninie polskim" (w zbiorze „Paralel", 1935), poświęcony rzadkim humoreskom o potłuczeniu garnków już to za sprawą, czarnoksiężnika (T 616) już to dzięki figlowi franta, wsadzającego kobyle hubkę w ucho (T 1679). W wypadku pierwszym przytoczyłem wariant z kronikarza bizantyjskiego i byliny rosyjskiej, w drugim facecje ludowe z Podhala i Olkuskiego, nie wiedząc, że powiastka druga znana jest na Kaszubach, u Słowińców, i że polską odmianę pierwszej wydrukował przed stu laty Wójcicki. Zbyteczna dodawać, że uzupełnienia te znacznie zmieniają pogląd na rozpiętość terytorialną obydwu opowiadań i mogą zaważyć w dalszych nad nimi studiach.

W tej samej sytuacji znajdowali się i znajdują ci folkloryści europejscy, którzy podejmując studia nad wątkami bajkowymi z konieczności nawiedzali również teren polski. W pracach więc tak nawet prezyzyjnych, jak monograficzne rozprawy profesora dorpackiego, W. Andersona o facecji „Król i opat" (T 922) lub profesora leningradzkiego N. Andrejewa o „Zbóju Madeju" (T 756 B) stwierdza się raz po raz luki i niedomówienia, wynikające z niedostępności materiału polskiego, naj-

bardziej zaś autorytatywne dzieło folklorystyki dzisiejszej, brane — jak wiemy — za punkt wyjścia w naszych studiach porównawczych, mimo całej staranności Polivki, który opracował w nim materiały słowiańskie, a więc i nasze, podaje niejednokrotnie połowę tylko znanych dzisiaj wariantów polskich (np. T 670). W takim stanie rzeczy doprowadzona do końca systematyka bajki polskiej, mimo niewątpliwych przeoczeń i luk, staje się czymś w rodzaju nieznanego dotąd w Polsce centralnego archiwum folklorystycznego i przygotowuje grunt do nowych prac nad naszą prozą tradycyjną, odpowiadających wymaganiom nauki dzisiejszej.

Jej przydatność rysuje się zupełnie wyraźnie również na polu studiów naukowo-literackich, zwł. dla prac porównawczych z pogranicza literatury i folkloru, uprawianych u nas oddawna a dających wyniki zazwyczaj problematyczne. Tak więc wyrazistość elementów ludowych u Mickiewicza i in. pisarzy romantycznych sprawiła, że zagadnieniom tym poświęcono dużą a chybioną monografię (St. Zdziarskiego „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej", 1901), której autor uwikłał się w ogromnym ale nieopanowanym materiale i wskutek tego niczego w badanej dziedzinie nie wyświetlił. Nie lepiej przedstawiają się te sprawy w zakresie literatury dawniejszej, gdzie prace A. Bruecknera, I. Chrzanowskiego i moje, dotyczące staropolskich kazań, facecjonistyki i powieści wyjaśniły mnóstwo związków między literaturą pisaną i ustną, ale do zupełnie zadowalających wyników nie doprowadziły, studiom tym bowiem brakło tej naturalnej podstawy, jaką daje systematyczny przegląd materiału folklorystycznego.

W związku z tym zaznaczyć warto, że sporządzona systematyka usiłuje wyzyskać rezultaty dociekań dotychczasowych w tym zakresie i zaznacza, gdzie się dało, łączność obydwu dziedzin, wymienia więc zarówno aluzje literackie do tych czy innych bajek, pozwalające ustalić ich u nas znajomość w dawnych wiekach, jak przenikanie motywów bajkowych do dzieł literackich. Spostrzeżenia te mają z konieczności charakter przygodny i marginalny, mimo to zebrało się ich tyle, że na ich podstawie już teraz odrzucić wolno lekkomyślną formułę Polivki, głoszącą, że „Jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy dawna, arystokratyczna (?) literatura Polski wywarła wpływ na właściwą tradycję ludową[2], zestawienia bowiem, do których się

[2] Bolte-Polivka: Anmerkungen 5, 136.

dochodzi, potwierdzają, szczgólnie w zakresie humorystyki tradycyjnej, zjawisko doskonale znane z naszej poezji ludowej, w której niejednokrotnie konstatowano, że między „szlachecką“ przeszłością a „chłopską“ teraźniejszością istnieją żywe związki, z genialną intuicją wyczute przez twórcę „Pana Tadeusza“, a więc „historii szlacheckiej“, zakończonej dwuwierszem przeniesionym na karty poematu z baśni ludowych:

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem.

2

Przystępując do systematyki naszych materiałów bajkowych, musiałem zastanowić się nad obraniem takiego układu, który by dawał największe szanse dokładności i przejrzystości. Alternatyw było sporo. Można więc było pokusić się o stworzenie systemu własnego, albo zmodernizować system „filozoficzny“ J. Karłowicza, który pierwszy u nas sprawami tymi żywo się interesował, albo wreszcie pójść za którymś z systemów stosowanych w dzisiejszej folklorystyce europejskiej. Wzgląd tak oczywisty jak konieczność utrzymania kontaktu z nią właśnie i zachowania osiągniętego w niej poziomu kazał mi wybrać alternatywę ostatnią. Ale i tutaj nie brakło trudności. Folklorystyka bowiem dzisiejsza obok systemów metodycznych ma systemy przypadkowe, z rozmaitych względów stosowane przez świetnych nieraz znawców literatury tradycyjnej. Tak więc Bolte i Polivka w swych „Uwagach do Bajek Braci Grimmów (Anmerkungen zu den Kinder- und Hausmärchen der Brüder Grimm, 1913—1932) zachowali przypadkową kolejność komentowanego przez siebie zbioru niemieckiego, co Bolte przeniósł na ogromną kolekcje humanistycznych facecyj Niemca Paulego (Schimpf und Ernst), a Penzer na klasyka barokowej baśni włoskiej, Basilego (Il Pentamerone przekł. ang., 1932). Łatwy i wygodny system komentatorski, obrany przez tych uczonych, odznacza się z natury rzeczy powójnym defektem, jest przypadkowy i — wskutek tego właśnie — nieprzejrzysty, oświetla tylko materiały zawarte w zbiorze komentowanym, inne zaś uwzględnia tylko fragmentarycznie i przy najmniej oczekiwanych okazjach. Ten wzgląd kazał mi odrzucie metodę obraną przez folklorystów niemieckich. Podobne motywy nie pozwoliły mi pójść za bajkoznawcą czeskim, V. Tillem, który duży materiał czeski ujął w ramy, przypominające nieco pomysły naszego Karłowicza,

tj. ugrupował go wedle ogromnej ilości haseł, podanych w niezupełnie uchwytnej kolejności. Sprawę komplikuje jeszcze okoliczność, że bajek, których istotę uchwycić by można w jednym haśle, jest stosunkowo bardzo niewiele, ponadto nie zawsze ma się pewność, czy odpowiednie hasło udało się dobrać właściwie. Dość spojrzeć na układ pierwszego lepszego wątku, zapisanego przez kilkunastu zbieraczy i zaopatrzonego w różne tytuły, by przekonać się, jak znaczna występuje rozbieżność między tytułami właśnie, a one przecież stanowią pewien surogat haseł.

Trudności te najłatwiej zilustrować odwołaniem się do systemu, za którym również nie poszedłem, mimo iż spotyka go się dzisiaj powszechnie w najnowszych wydawnictwach bajkowych. Jest nim układ Amerykanina S. Thompsona, autora olbrzymiego rejestru motywów bajkowych (Motif-Index of Folk-Literature, 1932—1935), operującego znakami literowo-liczbowymi. Spoglądając z całym uznaniem na zestawienie kilkunastu tysięcy tych motywów, niepodobna nie zdawać sobie sprawy, że ich rejestracja nie wystarcza, by mieć wyobrażenie o ich wzajemnych stosunkach w wątkach, których są naturalnymi składnikami, a więc w układach, które nauka niemiecka oznacza terminem „Märchentypus" (Mt), angielska zaś terminem „Type" (T), stosowanym przeze mnie i tutaj. Otóż w każdym wątku, składającym się z kilku motywów, jeden z motywów jest trzonem całości, inne mają znaczenie podrzędne, system więc, który tej hierarchii nie uwzględnia, nie zdoła zaspokoić wymagań, które mu stawiamy.

Z tego względu daleko przydatniejszy wydaje się system obmyślony przez Finna A. Aarnego, jednego z twórców „szkoły fińskiej", która dzięki swym pracom, skoncentrowanym w wydawnictwie FFC, obejmującym studia wielu wybitnych folklorystów eurepejskich i amerykańskich, wysunęła się na miejsce czołowe w dzisiejszych badaniach nad dziejami i naturą bajki, a nawet całej literatury ludowej. Aarne (w książce: Verzeichnis der Märchentypen, 1911, FFC No 3) ujął całość materiału bajkowego w układ ramowy, obliczony na 2500 pozycyj, rozbijając go na trzy kategorie podstawowe: I. bajki zwierzęce (fabuła, fable, basnja, Tiermärchen), II. bajki właściwe, inaczej baśnie (conte de fées, fairy tale, Märchen, skazka), do których dołączył legendy, nowele, powiastki budujące i humoreski o oszukanym potworze (ogre, u nas zwykle diabeł), wreszcie III. różne kawały i anegdoty, Grupa pierwsza otrzymała nu-

meracje T 1—299, druga T 300—1199, trzecia T 2000—2400. Sam Aarne wyzyskał część tylko ram swego układu, resztę uzupełnił tylko co wspomniany folklorysta amerykański, Thompson, tłumacz pracy jego na angielskie (The Types of the Folk-Tale, 1928, FFC 74). Układ ATh (Aarne-Thompson) ma duże wady i znaczne zalety. Ostatnie sprawiły, że zdobył on rychło znaczenie klucza międzynarodowego, że wedle niego sporządzono inwentarze bajek fińskich, estońskich, łapońskich, norweskich, fińsko-szwedzkich, flamandzkich i liwońskich, ogłoszone w FFC, że na nim oparli się folkloryści rosyjscy, jak Andrejew, że zastosował go w swym doskonałym wydaniu bajek łotewskich świetny ich znawca, P. Szmits. Dzięki temu ogromna masa materiału wielojęzycznego została uporządkowana, sprowadzona do wspólnego mianownika, udostępniona studiom porównawczym. Główną zaletę systemu fińskiego stanowi jego uniwersalność i jego względna przejrzystość, względna, bo potykająca się, choć w mniejszym stopniu, o trudności, wspomniane poprzednio przy układzie hasłowym. Co to znaczy, można zademonstrować na humoresce z „Pentameronu" Basilego o przygodach głupiego Vardiella, znanych doskonale również, choć w innej postaci, z gruntu polskiego. Vardiello, nie umiejący gospodarzyć i psujący matce cały zapas potraw (A), idzie na targ z suknem, sprzedaje je figurze przydrożnej, upomina się u niej o pieniądze, a nie otrzymawszy ich, uderza ją kijem, przewraca i odkrywa pod nią dzban złotych monet (B); matka głupca, z obawy by syn o skarbie się nie wygadał, zasypuje go deszczem z fig i rodzynek, gdy zaś Vardiello tajemnicę istotnie wypaplał, dodając, że pieniądze znalazł w czasie owego niezwykłego deszczu, opowiadanie jego nie znajduje wiary i matka może skarb spokojnie zachować (C). Treść „Vardiella" można wyrazić przy pomocy haseł: „Chłop gospodarujący zamiast żony", „Głupiec i figura", „Żona gadatliwa i skarb", przyczem każde z nich oznacza tu samodzielny wątek bajkowy, funkcjonujący w wariancie Basilego jako motyw składowy jego całości. Całość tę wedle klucza ATh można oznaczyć jako sumę wątków T 1408+1643+1381, odpowiadających członom podanym wyżej jako A, B, C. Oznaczenie to jest daleko prostsze od systemu motywów Thompsona, w którym układ ten wyglądałby jako J. 2442 — J. 1853 — N. 521 — J. 2351. Rzecz znamienna, że sam Thompson w komentarzu do omawianego wariantu zastosował, omyłkowo chyba, znak T 1642, popełniając przytem błąd drugi, jedynie bowiem wielo-

mianem, a nie jedną liczbą określić można złożoność naszej humoreski.

Niedomagania systemu fińskiego leżą gdzieindziej. Jego twórcy, świetnie zorientowani w folklorze anglogermańskim i ugrofińskim, słabiej orientowali się w materiałach bajkowych ludów romańskich i słowiańskich, stąd pewnym grupom wątków wyznaczyli w zbudowanych przez siebie ramach zbyt mało miejsca. Tak np. dla anegdot w ich systemie przypada tylko 800 pozycyj (T 1200—1999), tymczasem Andrejew na Ukrainie naliczył wątków anegdotycznych 1350. Humoreski natomiast o oszukanym potworze mają tu 200 pozycyj (T 1000—1199); ilości tej niepodobna zapełnić, nawet gdy się zrobi tak, jak postępuje ATh, tj. rozbije wątki na ich motywy składowe potraktowane jako całostki autonomiczne. Systematyka wreszcie legend i powieści budujących, pospolitych w krajach o kulturze religijnej katolickiej lub prawosławnej, nie daje się zamknąć w obrębie stu pozycyj (T 750—849), zbiory bowiem ukraińskie mają w tej grupie 196 wątków, polskie zaś zbliżają się do tej liczby (176).

Co niemniej dotkliwe, twórcy systemu fińskiego z tych czy innych względów zlekceważyli pewne baśni o rozległym nieraz zasięgu i poważnym wieku. Dla przykładu wskazać można „Zdradziecką żonę" (oznaczam ją jako T 568), usiłującą trzykrotnie zgładzić męża, który przy pomocy metamorfoz w drzewo, ptaka i zwierzę odradza się i ostatecznie tryumfuje. Baśń ta należy do najstarożytniejszych, motywy jej bowiem przewijają się już w staroegipskim opowiadaniu o „Dwu braciach". Podobnie, znajdując jako prowizoryczny T 1164, trudno się domyślić, że znakiem tym opatrzono „Belfagora", a więc wątek znany nietylko z folkloru estońskiego, fińskiego, lapońskiego i rosyjskiego, lecz bardzo pospolity w tradycji ustnej i literaturze całej Europy, i to od czasów pisarza, który nadał mu postać doskonałej noweli, a którym był Machiavelli. Tego pokroju uchybień, wynikających z niedostatecznej orientacji w materiale bajkowym ogólnoeuropejskim oraz z braku studiów nad większością wątków tradycyjnych odnaleźć można w systemie ATh znacznie więcej i one to, zwł, spotęgowane przez wspomniane poprzednio traktowanie motywów składowych jako wątków samodzielnych, zmniejszają przydatność klucza fińskiego. Z tym wszystkim praktyka ostatnich lat trzydziestu dowiodła, że po wprowadzeniu nieodzownych modyfi-

kacyj posługiwać się nim można skutecznie — i to właśnie zadecydowało o zastosowaniu go do materiału polskiego.

Z systemu Aarne-Thompsona biorę tedy numerację wątków, odchylając się od niego tam tylko, gdzie w grę wchodzą jego opisane niedomagania. Odstępstwo najważniejsze dotyczy grupy opowiadań ajtiologicznych, tłumaczących powstanie świata, ludzi,zwierząt, roślin itp. Grupa ta, na ogół bardzo jednolita, co poniekąd jest wynikiem jej pochodzenia z apokryfów średniowiecznych, w systematyce fińskiej niemal całkowicie pominięta, w „Indeksie motywów" Thompsona rozpoczynająca klasyfikację, w układzie polskim idzie na końcu (od T 2441a), inaczej bowiem w ramach przyjętych nie dałaby się zmieścić. Odstępstwo inne dotyczy motywów lub ich mniejszych zespołów, występujących samodzielnie, poza obrębem wątków, w których się je zazwyczaj spotyka. Tak więc motywy wysoce zawiłego T 400, takie jak wyzwolenie zaklętej królewny za cenę trzech nocy męczarni, lub jak baśń o królewnie-łabedziu, która po odzyskaniu skrzydeł odlatuje od męża, traktuje osobno, pierwszy jako T 400*, drugi jako T 400**. Podobnie jako T 676* wydzielam normalny epilog baśni o Alibabie i czterdziestu rozbójnikach, przedstawiający ich zabicie w beczkach czy worach, jako T 756* opowiadanie o wędrówce do piekła po odbiór cyrografu młodzieńca, którego ojciec bezwiednie zaprzedał diabłu itp. Jako rezultat czynników, nad którymi niepodobna tu się zastanawiać, a które w życiu bajki mają znaczenie decydujące, słowem jako rezultat dezintegracji wątków, pewne motywy ulegają usamodzielnieniu tak zdecydowanie, że systematyk musi się z tym zjawiskiem liczyć i wyznaczyć mu w swej pracy odpowiednie miejsce.

Z innych względów nie można było w układzie pominąć niektórych podań, takich jak o „Śpiących rycerzach" (T 776), o „Janosiku" (T 982), „Panu Twardowskim" (T 814) lub o nieudałym wybawieniu zaklętej królewny (T 464 i 482). Wszystkie te podania wykazują wyraźną domieszkę pomysłów bajkowych, niekiedy zaś występują w oderwaniu od tła topograficznego czy historycznego, mają więc charakter czysto baśniowy. Przykładem wymownym może tu być występowanie na Kaszubach T 482, znanego ze sporej ilości wariantów w obydwu postaciach, podaniowej i baśniowej; głupi chłopak spotyka królewnę albo na określonym miejscu, przy ruinach znanego kościoła lub zamku, albo na miejscu najzupełniej nieokreślonym, a więc w typowej krainie baśni.

Z układu Aarne-Thompsona systematyka polska przejęła dalej schematy strukturalne wątków zarówno w postaci ich oryginalnej, jak odpowiednio zmodyfikowanej. Wypadek drugi zachodzi wszędzie tam, gdzie ujęcie Thompsona nie wyczerpuje pospolitych alternatyw motywów wiążących się w dany wątek. Tak np. w „Poszukiwaczu strachu" (T 326) Thompson zna tylko motyw spadania stracha kominem i gry w kręgle, podczas gdy w wariantach polskich daleko pospolitszy jest motyw częstowania stracha potrawą, której ten początkowo odmawia, a gdy później o nią się dopomina, spotyka się z kolei sam z odmową, a więc, by dodać nawiasem, motyw bardzo stary i niewątpliwie pierwotniejszy od ukazanego przez systematyka amerykańskiego. Podobnie w humoresce „Złodziej nad złodziejami" (T 1525D) dodać wypadło koncept spryciarza, polegający na wetknięciu w bagno głowy ukradzionego wołu, itp. itp.

Sprawa zastosowania schematów wątkowych ATh jest zresztą wcale skomplikowana i wymaga pewnych wyjaśnień, które równocześnie powinny uzasadnić, dlaczego przenoszę system wątkowy nad motywowy, Aarne-Thompsona nad samego Thompsona. Przyjęte przez szkołę fińską układy strukturalne odtwarzają idealną, w postaci czystej rzadko spotykaną postać normalną wątku baśniowego, układ więc ustrojowy obejmuje, w miarę możności, te wszystkie alternatywy, które w danym wątku występować mogą, choć występują przeważnie tylko w ilości ograniczonej. Odstępstwa pospolitych wariantów od postaci normalnej idą zwykle w trzech kierunkach: 1) warianty wykazują brak pewnych motywów, 2) zmianę w ich kolejności, 3) nadmiar motywów, wywołany przez krzyżowanie się jużto motywów jużto całych wątków. Wypadek pierwszy można tu pominąć, bywa on bowiem ważny tam tylko, gdzie zanik pewnych motywów przy równoczesnym pozostawieniu ich konsekwencyj sprawia, że warianty, w których to zachodzi, są kalekie i wskutek tego niezrozumiałe. W każdym razie sprawa ta wkracza w zakres zagadnień związanych z morfologią bajki i na tym polega jej doniosłość teoretyczna. Ze stanowiska zaś morfologii donioślejszy bo pospolitszy, jest wypadek drugi, a więc przestawienie kolejności motywów w wątku, dające się uchwycić i uwydatnić jedynie przy pomocy symboliki wątkowej, a więc w ramach systemu ATh, nieuchwytne zaś przy zastosowaniu systemu motywów. Wspomniana poprzednio humoreska „Złodziej nad złodzieje" (T 1525 A) kończy się zazwyczaj przyniesieniem do dworu i osadzeniem

w kurniku księdza sprytnie zwabionego do worka. W wypadkach tych pan mści się na proboszczu za drwiny, że pozwolił się kilkakrotnie oszukać pomysłowemu złodziejowi, którego kawały stanowią strukturę tego popularnego wątku. Zdarzają się jednak warianty, w których złodziej popisy swe rozpoczyna właśnie od porwania plebana a potem dopiero płata figle panu, kradnąc prześcieradło z sypialni, konia ze stajni itp., w rezultacie więc zamiast kolejności naturalnej I abc—II ab mamy przestawienie II ab—Iabc. Gdybyśmy każdy z tych motywów oznaczyli symbolami motywów jako jednostek samodzielnych, jak to robi Thompson, a nie znakami określającymi ich miejsce jako składników w wątkach, uniemożliwilibyśmy sobie orientację,-czy stanowią one integralną część wątku o ustalonym w pewien sposób ustroju, czy też są w nim elementem przesuwalnym, przygodnym i zmiennym. Stosując do kawału o księdzu w worku znak Thompsona (K 841) wskazuję, że kawał ten jest znany w świecie baśni i właściwie tylko tyle; oznaczając go natomiast jako T 1525 A IV, automatycznie ustalam, że chodzi tu o integralny składnik humoreski „Złodziej nad złodziejami" i wprowadzając ten właśnie znak w opisie jakiegoś innego wątku, automatycznie ukazuję, że wątek ten zawiera to, co poprzednio określiłem jako wypadek trzeci odstępstw wariantów od postaci normalnej, że stanowi on produkt zjawiska tak pospolitego w świecie bajki jak krzyżowanie wątków.

Ustalenie odpowiedniej symboliki wyrażającej krzyżowanie wątków nastręcza trudności może największe. Zdarza się wprawdzie, że krzyżowanie polega na mechanicznym zsumowaniu wydarzeń związanych osobą bohatera. Pospolite są np. bajki o przygodach lisa, który kradnie ryby z wozu (T 1), namawia wilka, by zamroził sobie ogon w przerębli (T 2), zaprasza go na wesele (T 3) i zbitemu przez chłopów każe się odnieść do domu. Formuła takiego wątku da się wyrazić jako prosta suma T 1+2+3+4, tak jak to było z humoreską o głupim Vardiello. Trudności rozpoczynają się tam, gdzie w obrębie danego wątku pojawiają się najrozmaitsze wstawki różnego pochodzenia. Formuła więc baśni o „Poszukiwaczu strachu" (T 326) w postaci: T 326 Iab+IIc*+T 818—326 II hi znaczy, że bohater danego wariantu wyzwala stracha w zamku dzięki temu, że na jego kichnięcie reaguje pozdrowieniem, T 818 bowiem jest budującą powiastką o kichającym widziadle. W formule tej człon II c zaopatrzono gwiazdką, by zaznaczyć, że odbiega on od postaci normalnej, różnica jednak jest tak

drobna, że szczegółowy jej opis należy do specjalnego studium, monografii danego wątku, w inwentarzu zaś ogólnym może być pominięty, tu bowiem idzie o ustalenie cech podstawowych. Warianty wielowątkowe, a więc typowe składanki, wymagają formuł znaczenie bardziej skomplikowanych. Tak np. interesująca baśń sieradzka, rozpoczynająca się — niby średniowieczna opowieść „Vaticinium" (T 671) — od antagonizmu ojca z synem, który rozumie mowę ptaków, splata się z motywami humoreski o „Głupcu pasącym zające" (T 750) i przygodami „Parszywka" (T 314). kończy się zaś epilogiem przejętym z innej humoreski, o „Synu marnotrawnym", świniopasie i małżonku królewny (T 935). Chcąc wyrazić całą tę skomplikowaną treść w formule, trzeba użyć całego szeregu znaków, przypominającego długie wzory chemiczne:

T 671+570 I+314 VIac+570 IIIa+314 VIIa+935 IIIe.

Przykład ten nieźle ilustruje inną trudność związaną z klasyfikacją wątków. Przystępując do niej, staje się nieraz wobec pytania, który ze składników wariantu wielowątkowego, a więc składanki, uznać za naczelny i, w następstwie tego zabiegu, pod który „Typ" dany wariant należy poprawnie podciągnąć. Sprawa to praktycznie doniosła, każdy bowiem, kto sięgnie do systematyki, zechce zorientować się, gdzie ma potrzebnego mu tekstu bajkowego szukać. W przypadku konkretnym; tylko co przytoczonym, można przecież sięgnąć równie dobrze do T 671, jak T 570, jak T 314 czy jeszcze innego. O zasadzie klasyfikacji składanek decyduje jedno, czynnik, niestety, subiektywny, wyczucie autora wyrobione dzięki wieloletniemu zżyciu się z baśnią ludową i na nim oparte w miarę możności ustalenia ich funkcji w danym wariancie. Subiektywizm ten można jednak znacznie ograniczyć przy pomocy całej sieci odsyłaczy. Uznając więc wariant sieradzki za T 50, gdzie formułę jego znajdzie się w całości, systematyka sygnalizuje go pod każdym z jego składników, pod numerami zatem T 314, 670, 935 podaje „cf. T 570", dla zaznaczenia, że wątki te występują również w którymś z wariantów T 570. Cytelnik więc, który zidentyfikuje choćby jeden ze składników omawianego wariantu sieradzkiego, dzięki odsyłaczom przy owym składniku prędzej czy później odnajdzie pozycję poszukiwaną.

Czy jednak cała ta „chemia bajkoznawcza" wyrażająca się niekiedy w długich łańcuchach „znaków kabalistycznych", jest

nieodzowna i czy nie odstraszy czytelnika? Niestety, każda nauka buduje własny system terminów i usiłuje je w miarę możności wyrażać specjalnymi znacznikami, symbolami, które czytelnik o zainteresowaniach naukowych musi sobie przyswoić. Tej zasady ogólnej niepodobna uniknąć i w traktowanym naukowo bajkoznawstwie, przemawiają za nią zaś dodatkowo bardzo istotne względy praktyczne. Pierwszy z nich to możność uniknięcia wieloznaczności, która zawsze grozi przy opisach słownych, drugi zaś to krótkość znacznika. Co to znaczy? Dla przykładu biorę znaną bajkę o „Starym psie i wilku" (T 101). Najzwięźlejsze jej streszczenie brzmi:

> a) Stary pies wygnany spowodu niedołęstwa z domu, szuka służby u wilka; b) wilk symuluje porwanie dziecka, które pozwala sobie odebrać psu, dzięki czemu rzekomy wybawca odzyskuje względy gospodarzy; (c) z wdzięczności zaprasza wilka do komory, gdzie ten upija się, zdradza wyciem i zostaje zabity (cf. T 3); (d) pies, gdy wilk stawia mu nadmierne wymagania, zwabia go w zasadzkę, gdzie ludzie go zabijają.

Oszczędne streszczenie wymaga około 50 wyrazów, które zastąpić można znacznikiem kilkuliterowym T 101 abcd. W układzie, w którym dany wątek przytaczać się musi kilkanaście lub kilkadziesiąt razy wyższość symbolu nad opisem jest tak oczywista, iż nie ma potrzeby nad nią się rozwodzić. To też folklorystyka nowoczesna, zarówno w dziele Boltego-Polivki jak w monografiach specjalnych ucieka się do całego systemu znaczników, dlatego też rozbudowali je Aarne-Thompson i sam Thompson, dlatego wreszcie niepodobna było obyć się bez nich w systematyce bajki polskiej. Jeśli zaś system ich nastręcza początkowo pewne trudności, to wydaje mi się, że są one znacznie mniejsze aniżeli przy posługiwaniu trzechtomowym zestawieniem bajek czeskich u Tillego, operującym tylko streszczeniami, ale też wskutek tego właśnie pełnym manowców uniemożliwiających nieraz orientację.

Mimo zastosowania takiej właśnie metody, spotykanej raczej w monografiach szczegółowych, przegląd naszych bajek rozrósł się do rozmiarów dużej książki, znacznie przecież mniejszej od pracy Tillego, a jednak zawierającej materiał daleko obfitszy i przygotowany w sposób nie tylko inwentaryzacyjny, bo dający nie tylko stwierdzenie, że dany wątek w naszej tradycji ludowej istnieje, ale i coś więcej, bo jego — może nie zawsze dokładną-charakterystykę z wyznaczeniem,

dzięki analizie morfologicznej, miejsca danego wariantu na porównawczym tle baśni ościennych, na tle systemu ogólnopolskiego.

3

Pozostaje jeszcze garść uwag o stronie technicznej układu. Po schemacie ustrojowym stanowiącym streszczenie wątku w jego postaci normalnej idzie bibliografia studiów nad nim, a więc tomy i stronice Boltego i Polivki (BP), monografie i rozprawy specjalne. Ubóstwo tej bibliografii tłumaczy się faktem, że nawet podstawowe wydawnictwa bajkoznawcze należą do rzadkości w naszych bibliotekach publicznych, zasobna zaś w tego rodzaju dzieła biblioteka autora spłonęła w czasie bombardowania Warszawy we wrześniu r. 1939. Po bibliografii następują warianty „literackie" wątku, zwłaszcza stare, pozwalające ustalić choćby w przybliżeniu, od jak dawna znamy go na gruncie polskim. Warianty wreszcie ludowe idą w kolejności geograficznej, od północy ku południowi i od zachodu ku wschodowi. Na czele ich pomieszczono zapisy zbieraczy najstarszych, topograficznie zazwyczaj nieoznaczone, a więc teksty Siemieńskiego, Wójcickiego, Balińskiego, Glińskiego, Barącza i in.; przy Glińskim podaję ogółnikowo Białoruś, przy Barączu Lwów, choć w wypadku tym równie dobrze mówić by można o Stanisławowie lub Tarnopolu. Z nazw miejscowych pierwsza oznacza powiat wedle mapy z r. 1936, druga miejscowość, z której wariant pochodzi; niekiedy wypadło poprzestać na ogólnikowym określeniu terytorium (Kaszuby, Warszawa, Dobrzyńskie), zbieracze bowiem nie podali miejscowości, w których przeprowadzali swe poszukiwania. Naturalnym dopełnieniem powinny być tu mapki, wskazujące zasięg danego wątku na terytorium Polski. Pomijając inne drobiazgi, jak wyróżnianie przedruków tekstów bajkowych, jak uwzględnianie przekładów ich na języki obce, dodać winienem, że systematyka polska obejmuje również dodatkowo materiał niepolski, pochodzący z terenów mieszanych czy pogranicznych ogłoszony w naszych wydawnictwach naukowych a zebrany przez folklorystów polskich. Materiał ten, wyróżniony graficznie, jest nie tylko świadectwem prac folklorystyki polskiej, ale zarazem stanowi nieraz naturalne dopełnienie polskiego, wykazuje bowiem wielorakie z nim pokrewieństwa.

Jako żywa ilustracja metody służyć mogą dwa wątki, jeden prosty i stosunkowo mało, jak większość bajek zwierzęcych,

rozpowszechniony, drugi z tej samej kategorii, wykazujący jednak krzyżowania i wskutek tego bgaty w warianty o charakterze typowych składanek.

T 155. WĄŻ, CZŁOWEK I LIS.

(a) Człowiek uwalnia z pęt węża (smoka, niedźwiedzia), który przyrzeka mu się odpłacić, tak jak świat zwykle odpłaca przysługi, i chce zjeść bądź swego wybawcę bądź jego konia; (b) wezwane na sędziego zwierzę orzeka, powołując sie na własne doświadczenie, że nie ma wdzięczności na świecie i popiera pretensje węża; (c) sędzia drugi (filozof lub lis), pragnąc rzekomo zorientować się w sytuacji, poleca człowiekowie przywiązać węża z powrotem do drzewa, przywalić go skałą itp. — i tam obezwładnionego pozostawić; (d) człowiek, który swemu wybawcy z kłopotu przyrzekł nagrodę (lisowi obiecał żywić go kurami), początkowo spełnia obietnicę później zabija go podstępnie.

Gesta Roman. 174 (cesarz, wąż, filozof). — wersja z lisem pospolita w średniow. Ezopach. — BP 2,240.

Przechodzień i wąż, Rymarkiewicz Wypisy pol. 261. — Dygasiński A., O zajączku sprawiedliwym (Zając, 1900, 253—61).

1. Lwów (Barącz „Wilk) BF 229 No 112 (abcd).
2. Wejherowo Dargolewo (Lorentz) TP 404 No 519 (abcd).
3. Kościerzyna („Jak to za dobry złym płacą") Gryf I, 75 (abcd).
4. Kraków Szczodrkowice (Ciszewski „Chłop, niedźwiedź, koń, zając i lis, czyli jaka jest wdzięczność na świecie") KR 310 No 258 9 ab, koń, zając — T 70, cd).
5. Kraków Luborzyca jw. 312 No 259 (chłop, smok, lis, abc, d — T 163).
6. Kraków (Kolberg „O smoku, kobyle i lisicy") 8,235 No 99 (abcd).
7. Przasnysz (Chełchowski „O chłopie i lisie") PiO 1,86 No 13 (abcd, chłop, słon, wilk i lis).
8. Krosno Iwonicz (Gustawicz „Jak świat płaci") Lud 7,243 No 60 (abcd).

Lit. Dowojna PŻ 1,125 No 56. — BR Federowski LB 2,22—3 No 24—5.

Schemat ten operuje całym systemem skrótów, a więc KR to „Krakowiacy", PiO „Podania i opowieści", PŻ „Podania żmujdzkie" itp., słowem tytuły zbiorów bajkowych, wyliczone

w dokładnej bibliografii, poprzedzającej właściwą systematykę i opatrzonej odpowiednim kluczem.

Z wątku drugiego, bardzo popularnego bo zapisanego w 33 wariantach, poprzestaję na najznamienniejszych morfologicznie, wskazujących znaczną swobodę bajarza w posługiwaniu się motywami składowymi.

T 130. ZWIERZĘTA W CHACIE ŻBÓJECKIEJ.

I. Wyprawa w świat. (a)Krzywdzone przez gospodarzy zwierzęta wyruszają w świat; (b) hasło do wędrówki daje zwykle gęsior lub koń, któremu grozi kara; (c) po drodze przyłączają się inne zwierzęta, (d) na czele gromadki staje człowiek, (e) który niekiedy posługuje się towarzyszami włóczęgi do wypłoszenia niepożądanych gości.

II. W zbójeckiej chacie. (a) Zwierzęta zatrzymują się na noc w pustej chacie (diabelskiej, zbójeckiej, wilczej lub nawiedzanej przez strachy); gdy zjawia się jej właściciel, każde zwierzę turbuje go dotkliwie w ciemnościach, a więc koń go kopie, wół bodzie, kot drapie, rak szczypie itp., tak że przerażony ucieka.

III. Zakończenie. (a) Zwierzęta osiadają w zdobytej chacie i (b) zabierają znalezione w niej skarby.

GrM 27. — BP I, 237. — A. Aarne: Die Tiere auf der Wanderschaft, FFC II.

Sieroszewski W., Bajki, 1910.

1. Lwów Barącz „Rozbójnicy" BF 167 No 91 (Ide—IIab—IIIb).
2. Puck Mrzeżyno (Lorentz) TP 193 No 264 (IIab—IIIa).
4. Wejherowo Miłoszewo jw. 396 No 508 (Iabc, osieł, pies, kot i kur muzykanci — IIab — IIIa).
15. Głubczyce Karniów (Malinowski) MAAE 5,58 (Iabc—IIab, zwierzęta się rozchodzą).
18. Biała Rybarzowice (Kosiński) MAAE 7,27 No 78 (zapewne frgm związany z T 130 z naśladowaniem głosu drobiu skarżącego się na złe utrzymanie na plebanii; „indyczka woła: źle, źle, źle! indyk: diabli by tu byli! kaczka: tak, tak, tak! kogut: pójde i joooo!")
27. Nowy Targ Ponice (Ulanowska „Gadka o zbójnikach") Wisła 3,780 (Iac — IIab — IIIa, zwierzęta pozostają na służbie u leśniczego, któremu ocaliły dobytek).

28. Sztum Mirany (Łęga „O chłopie co pojechał do młyna i o zwierzętach co go obroniły przed zbójcami") ZM 171 T 158, chłop zabiera po drodze cegłę, psa i kota — T 130 Ie — IIab — T 480, inny chłop, który odmówił zwierzętom pomocy, ginie).

29. Lublin Józwów (Kowerska „Bajka o ocaleniu dziewczyny przez zwierzęta") Wisła 7,685 (Iac — IIab, zwierzęta ocalają dziewczynę, którą diabli chcą sądzić — III, dziewczyna opiekuje się swymi wybawcami).

33. Łańcut (Saloni „O złodziejach") MAAE 6,401 No 62 (Id — IIab — IIIb).

Łot. Ulanowska ZWAK 18, 242 No 3.

R. Kolberg - Tretiak Wołyń 418 No 5. — Kolberg Chełmskie 2, 119 No 20.

BR Federowski LB 2, II No 13.

Ujęty w tego rodzaju schematach morfologiczno-systematycznych materiał pochodzi ze zbiorów drukowanych oraz z periodyków i dzienników, nie obejmuje natomiast tekstów rękopiśmiennych, z wyjątkiem tylko dwu zbiorów J. Lompy, znanych dotąd i cytowanych na podstawie opisów i streszczeń. Zbiory te zresztą były przygotowane do druku i miały pojawić się przed ogłoszeniem systematyki, tak że włączenie ich było całkiem naturalne. Podstawą poszukiwań stała się oczywiście „Bibliografia" Gawełka, z przewodnikiem tym jednak rychło wypadło się rozstać, dlatego że pominął on mnóstwo pozycyj, które z konieczności do systematyki wejść musiały, podał natomiast sporo innych, które po zbadaniu okazały się mało przydatne lub zgoła nieprzydatne. Dotyczy to np. przeróbek bajek dla dzieci, które nie zawsze bywają u nas ludowe a nawet nie polskie.

Nie mam oczywiście złudzeń, że opracowana systematyka naszej bajki ludowej jest rzeczą doskonałą, że udało się w niej wyzyskać wszystkie materiały, rozproszone w ciągu przeszło stulecia w najrozmaitszych, bibliograficznie niezbadanych wydawnictwach, zwł. w przeróżnych periodykach. Wiem nadto, że wobec ogromu pracy, dokonanej nie zbiorowo lecz wysiłkiem jednego człowieka, wkraść się do jej wyników musiało wiele nieścisłości i błędów. Z tym wszystkim, uważając „Polską bajkę ludową w układzie systematycznym" za robotę wstępną, udostępniającą dziedziny rzadko nawiedzane, ukazującą całe ich bogactwo, torującą drogę pracom dalszym, zbierackim, które

powinny skupić się w centralnym archiwum folklorystycznym, która to instytucja powinna u nas powstać i zgromadzić materiały rozproszkowane po prowincjonalnych muzeach etnograficznych, archiwach i bibliotekach tak publicznych jak prywatnych, następnie dalszym studiom bibliograficznym, od których wolno oczekiwać uzupełnienia materiałów tutaj uporządkowanych, a wreszcie rozprawom monograficznym, nauce naszej dotąd prawie nieznanym, sądzę, że czyni ona w pewnym przynajmniej stopniu zadość potrzebom, o których mówiłem w uwagach wstępnych.

Praca ta przekonywa nadto, że nie miał słuszności Udziela, gdy tak oto charakteryzował trudności, które dostrzegał w pracy nad systematyką bajkową:

> Nie zapominajmy, że do przeprowadzenia pracy, o jakiej mowa, trzeba wielkiego zaparcia się, trzeba poświęcenia. Człowiek, który z własnego ducha pragnie samodzielnie snuć własne myśli, szerzyć poglądy własne, który światu ogłosić pragnie owoc własnej pracy twórczej — tutaj musi wyrzec się tego wszystkiego, aby rok za rokiem przez długie lat szeregi porządkować zbiory cudze, myśli cudze.

Dziwną, a jakże doskonale znaną parafiańszczyzną tchną te dziwne słowa, parafiańszczyzną, polegającą na gonieniu za łatwymi efektami, na budowaniu domu od dachu nie od fundamentów. Parafiańszczyzną, która nie zdaje sobie sprawy, że w dobrze zagospodarowanej nauce do naprawdę efektownych wyników dochodzi się dopiero po długich i mozolnych stadiach przygotowawczych, u nas stale zaćmiewanych przez błyskotliwe i tanie tzw. syntezy.

O niesłuszności wywodów zasłużonego etnografa świadczy najwymowniej okoliczność, że uporządkowanie, jak to nazywał, zbiorów cudzych i myśli cudzych, wiedzie do syntezy zupełnie nieoczekiwanej, możliwej dzięki żmudnemu zestawieniu materiału bajkowego Polski, i to syntezy odsłaniającej jego istotne i niezwykłe bogactwo. Syntezy opartej nie na frazesach o niewyczerpanej skarbnicy fantazji ludowej, przedziwnym pięknie naszego folkloru itd. itd., lecz na liczbach i przy ich pomocy dającej się wyrazić. Uporządkowanie mianowicie bajek polskich wedle systemu międzynarodowego pozwala na zestawienie ich z zasobami narodów ościennych, chlubiących się swym folklorem, Czechów i ludów Rusi. Wyniki obliczeń są w obydwu wypadkach zaskakujące. Tak więc, porównując

liczby wariantów bardzo popularnych wątków w Czechach i Polsce, wątków dobranych przypadkowo a więc nie dających pełnego obrazu, otrzymuje się liczby następujące:

Typ	Tytuł	Czechy[1]	Polska	Tille str.
363	Upiór narzeczonym	12	7	2,2,336
325	Uczeń czarownika	12	20	1,132
330A	Kowal i diabli	13	30	1,590
331A	Bieda	5	8	1,599
550	Ptak złotopióry	13	25	2,1,2
676	Sezam (Ali-baba)	12	30	1,36
785	Kto zjadł serek	9	16	1,600
956B	Narzeczona zbójnika	29	25	2,2,301
1000	Zakład o nos	16	11	2,2,871
1525	Złodziej nad złodzieje	20	36 + 27	2,2,283
1535	Unibos	14	25	2,2,145
1539	Sprytny oszust	7	24	2,2,154
	Razem	162	364	

Biorąc pod uwagę przypadkowość dobranych wątków, pozwalającą przypuszczać, że dobór inny dałby inne wyniki, oraz okoliczność, że bajkoznawca czeski nie rozróżniał wątków pokrewnych (np. połączył T 1535 i 1539), co również mogłoby spotęgować rozbieżności liczbowe, trudno przecież nie dostrzec, że nasze zasoby bajkowe przedstawiają się znacznie bogaciej niż u naszych pobratymców, co tym bardziej zastanawia, że — wedle obiegowych poglądów — Czesi jako naród przeważnie chłopski powinien by w konserwatywnym środowisku wiejskim rozwinąć bajkę bogaciej aniżeli w bardziej klasowo zróżnicowanym społeczeństwie polskim.

Rzecz jednak znamienna, że mogące budzić uzasadnione wątpliwości zestawienie poprzednie znajduje poparcie w rzucie oka na narody Rusi, a więc również rolnicze i również słynące z bogactwa swej literatury tradycyjnej. Najruchliwszy mianowicie z dzisiejszych folklorystów rosyjskich, N. P. Andrejew, swą „Charakterystykę bajek ukraińskich" zaopatrzył w tabelkę, ukazującą ich stosunek do wątków objętych systemem Aarne-Thompsona i do materiału rosyjskiego. W świetle obliczeń Andrejewa, mogących budzić zastrzeżenia co do niezwykłej ilości facecjonistyki ludowej na Ukrainie, zasobność naszej bajki tradycyjnej przedstawia się bardzo korzystnie:

[1] Soupis ćeskych pohadek, Praha 1929—37,3 tomy.

	Grupy wątków	ATh	Rosja	Ukraina	Polska
1	Bajki zwięrzęce	118	67	314	83
2	Bajki fantastyczne	162	144	187	243
3	Bajki religijne	47	56	196	176
4	Bajki nowele	58	74	154	106
5	Bajki o głupim diable	108	45	76	47
6	Kawały i anegdoty	291	297	1350	482
	Razem	784	683	2277	1137

Spoglądając na zestawienie o charakterze statystycznym, można oczywiście zastanawiać się nad przydatnością takich obliczeń w sferze zjawisk humanistycznych, zapytywać o wzajemny stosunek ilości i jakości i nim mierzyć dorobek folklorystyczny różnych ludów itd. itd., odpowiedź jednak na wątpliwości takie czy inne mogą przynieść tylko studia specjalne oraz naukowe udostępnienie całego materiału. Nim to kiedyś nastąpi, systematyka pozwala na jedno: daje gwarancje, poparte obliczeniami liczbowymi, że na drogę tych prac, wiodących ostatecznie do dziejów bajki i umieszczenia jej na należnym jej miejscu w naszej kulturze duchowej wogóle a literackiej w szczególności wejść warto. A zdobycie tego przekonania stanowi dostateczną kompensatę wysiłku włożonego w poprawne uporządkowanie dorobku folklorystycznego, nagromadzonego przez trzy pokolenia miłośników i zbieraczy polskiej bajki ludowej.

PRZEGLĄDY

KRONIKA LITERACKA

Luty — Wrzesień 1945.

Od chwili, kiedy w naszych ośrodkach kulturalnych, leżących na zachód od Wisły i Bugu, życie literackie zaczęło się toczyć trybem zbliżonym nieco do normalnego, a wyszedłszy z podziemi daje możność obserwacji i krytyki, upłynęło przeszło pół roku. Jest to okres niewątpliwie za krótki na to, by pisać historię zjawisk i faktów literackich, które w nim wystąpiły; nie będzie jednak przedwczesna prosta kronika tego skromnego zasobu wydarzeń, kronika wyzbyta ambicji pragmatyzowania, sądzenia, klasyfikacji, a przeciwnie poprzestająca na zwykłym zarejestrowaniu tych i owych tytułów, nazwisk, wystąpień.

Można powiedzieć, że życie literackie, o ile nie zostało przyniesione na bagnetach i szablach szybko kroczącej armii, to w każdym razie postępowało w jej tylnej straży, czym się tłumaczy błyskawiczne i niezwykłe w normalnych warunkach powstawanie nowych ośrodków krystalizacyjnych myśli i natchnienia, coraz to bardziej wysuniętych na zachód.

Tłumaczenie tych pośpiesznych zmian, które kiedy indziej trwają długo i są wynikiem skomplikowanych procesów historycznych, w naszym wypadku nie nastręcza trudności. Taki Lublin czy Radom leżały zawsze w orbicie przeważających wpływów kulturowych najbliższego wielkiego ośrodka, samodzielnie w niewielkiej tylko mierze stanowiąc centrum miejscowego ruchu o znaczeniu partykularnym. Przed niedawnym zaś czasem stały się jedynymi „rezydencjami" maszyny drukarskiej i składami pewnej, zbyt skąpej zresztą, ilości papieru. Ponadto, co ważniejsze, skupili się w nich ludzie rzuceni tam trafem, bądź ściągający do gniazd odbudowującej się administracji, i ci właśnie, wydobywając z tek pisarskich rzeczy gotowe, albo wrażenia chwil bogatych w przeżycia zamykając w pośpiesznym reportażu, czy krótkim utworze lirycznym, zasilili rynek tym pierwszym „towarem".

Z chwilą, gdy po uprzątnięciu gruzów i opanowaniu najgorszego chaosu udało się wrócić do dawnych mieszkań, czy miejsc, w których one niegdyś stały, gdy następnie uruchomiono tam drukarnie, dowieziono papier, a jeszcze o wiele wcześniej otworzono pierwszą, drugą i dziesiątą kawiarnię — miejsce spotkań „producentów" kultury", z tą chwilą zaczął wracać dawny porządek rzeczy, dawne ośrodki odzyskują utracone chwilowo stanowisko, a przy tym powstają nowe w miejscach, które z tych, czy innych powodów stały się, jak Łódź np, wielkimi skupiskami ludzi.

W chwili obecnej polskiemu ruchowi kulturalnemu przoduje Kraków, nieco w tyle podąża za nim Łódź, tradycjami niedawnej żywotności karmi się Lublin, od czasu do czasu rzuci ktoś nazwę Radomia. Można się spodziewać, że w najbliższych miesiącach ożyje Warszawa, teraz zbyt jeszcze oszołomiona gorączkowym tempem odbudowy i z dnia na dzień nowymi zdobyczami technicznymi. Nie mało jej w tym dopomoże Uniwersytet, który od listopada rozpocznie swoją działalność.

Niebawem też zapewne usłyszymy o Poznaniu, a pierwszymi owocami pionierskiej działalności podzielą się z

rzeszą czytelników Wrocław i Gdańsk. Przewidujemy, że miasta największe, dawnym rzeczy porządkiem, zajmą czołowe miejsca w pochodzie kultury polskiej.

Nie wchodźmy jednak w dziedziny przyszłości, zadowalając się ogólnym rzutem oka na dorobek już osiąnięty. Wydawnictwa książkowe Polski roku 1945 rozpadają się na trzy kategorie: propagandowo-informacyjnych, dydaktycznych (podręczniki) i literackich.

W zakresie tych ostatnich w rubryce autorskiej czytamy nazwiska mające już swój walor i historię w piśmiennictwie okresu poprzedzającego rok 1939, obok nowych, które debiut swój święciły niejednokrotnie na łamach prasy konspiracyjnej.

Putrament, Ważyk, Przyboś, Nowicki, Julia Hartwig, Anna Kamieńska — oto, między innymi nazwiska autorów owych książeczek lubelskich, raromskich, wreszcie krakowskich, wzruszających lichotą papieru i ubóstwem typograficznym.

Zawartość tych kart poetyckich na ogół dwojaka pod względem treści, a jednolita, gdy mowa o formie. Są to w ogromnej większości utwory liryczne, z których część w swej tematyce odbiegła od życia, chroniąc się za mury poezji przed jego brutalnością i okrucieństwem, część zaś stanowi raptularzowe jego odbicie w piosence żołnierskiej, obozowej.

Na podstawie nielicznych objawów twórczości, zebranych w książkach, lub rozsianych po czasopismach, trudno wydać o nich sąd ogólny. Co jednak rzuca się w oczy i to nawet, a może w szczególności właśnie, czytelnikowi niewykształconemu literacko — to ich trudność, „niezrozumiałość", jak powiedzą inni. Jakby na przekór tendencjom czasu utwory te w żadnej mierze nie urzeczywistniają haseł demokratyzacji sztuki, choć ich twórcy rekrutują się z grup radykalnie demokratycznych. Ta niedbałość o szerokie rzesze czytelnicze sięga nierzadko granic zapomnienia o tym, że literatura jest sztuką słowo zaś z natury rzeczy ma jakieś znaczenie, domagające się honorowania w utworach, których tworzywem jest język.

Być może, iż trudność percepcji wiersza jest godziwą ceną za osiągnięcie jego piękna — trzeba jednak wprzód zdobyć pewność, że piękno to rzeczywiście w nim się znajduje. Zbyt często niestety dochodzimy do wniosku, że jeśli wolno nadal kierować się dawnym smakiem — wiele rzeczy przyjdzie odrzucić, wiele kwestionować. Nie będzie urojeniem jedynie obawa, że literatura do skarbca nieprzemijających wartości dopuści zaledwie parę utworów zasługujących na miano prawdziwej poezji.

O ile wypuszczone ostatnio spod prasy zbiorki poezji swą zawartością liryczną manifestują odgrodzenie sztuki od życia, liryka bowiem najbliższa jest ideału poezji czystej, to czasopisma — przeciwnie — są wskaźnikiem ogólniejszych tendencji doby obecnej, wyrażających się w dążeniu do wprzęgnięcia sztuki w służbę idei, uczynienia z niej zwierciadła pewnych stron życia i megafonu pewnych głosów społeczeństwa. Ujawnia się to faktem znamiennym, że nie ma dotąd niemal ani jednego pisma, które by na swych łamach dawało gościnę sprawom wyłącznie kulturowym. Dominuje typ pisma literacko-społecznego, przy tak szerokim rozumieniu obu terminów, że pod literaturę podciąga się i inne dziedziny sztuki, a często i nauki, a do spraw społecznych dorzuca się gospodarcze, a niekiedy nawet polityczne.

Z tych dwóch przeciwieństw: odrębności lirycznej wydawnictw książkowych i silnego wciągnięcia w nurt spraw bieżących periodyków, raczej objaw drugi uznać należy za „signum temporis", w którym hasło „sztuka dla sztuki" ustępuje bardziej utylitarnym i, mówiąc stylem schyłku ubiegłego stulcia, bardziej pozytywnym.

W sumarycznym przeglądzie żniwa czasopiśmienniczego ostatnich siedmiu miesięcy pierwsze spojrzenie „z wieku", a może i z „urzędu" przypadnie „Odrodzeniu".

Po dwunastokrotnym wystąpieniu w Lublinie, numer trzynasty-feralny wg. jednych, wg. innych szczęśliwy, ujrzał światło dzienne w Krakowie. Papier niektórych numerów, format pisma, krój czcionek, Boy na pierwszej stronie i, być może, ambicje redakcji, jeśli idzie o poziom, żywo przypominają niedościgłe, jak dotąd, „Wiadomości Literackie", po których pod pewnymi względami, pomijając ideologie, „Odrodzenie" dziedziczy.

Nie miejsce tu szczegółowo rozpatrywać różnorodną zawartość trzydziestu z górą numerów krakowskich musimy się zadowolić zanotowaniem dwóch ciekawszych sporów literackich, które obok gościnnych występów Boy'a stanowią godne uwagi pozycje tego tygodnika.

Pierwszą dyskusję rozpoczął Adam Ważyk swoimi „Uwagami o Norwidzie i norwidyzmie" (nr. 16). Wspomina on, że zainteresowania przedwojenne i wojenne twórczością i osobowością tego poety były dwukierunkowe. Jedni szukali związków norwidyzmu z parnasizmem francuskim i dawali się wciągać w dyscyplinę moralną tego pisarza, drudzy zaś, ze względu na swe przekonania polityczne — autor werbuje tu nieodłączną frazeologię z „Ozonem", reakcją i sanacją na czele, — drudzy zatem szukali w poecie wygodnego antidotum na niemiłe sobie tendencje romantyzmu, który w osobie Mickiewicza „dogalopował się do sformułowań socjalistycznych".

Stąd wniosek, że trzeba „przywrócić Norwida jego epoce". Jak widzimy pobudki artykułu są wyraźnie rewizjonistyczne.

W dalszym ciągu umieszcza Ważyk Norwida w sferze wpływów środowiska i filozofii wybranej przez poetę, a ponadto wywodzi pewne jego predyspozycje z faktu, iż był synem drobnej szlachty, pełnej fałszywej dumy uzależnionej od magnaterii, stanowiącej podstawę sił reakcyjnych. Z opałów tych wychodzi Norwid niemal jako feodał, od autentycznego tym tylko łagodniejszy w swej „reakcyjności", że powołuje się na argumenty religijne i moralne, nie dorzucając tradycyjnego.

Nic dziwnego, że tak wielostronnie obciążony spotka się Norwid z wyrzutem Ważyka, iż w swojej krytyce kapitalizmu nie zawarł żadnych cech realistycznych, a obierając „lud" za podstawę społeczeństwa nie zadał sobie trudu rozwiązania problemu pańszczyzny.

Słowem „wiele uczonej spekulacji można znaleźć u Norwida na temat ludowości. Nie odpowiada jej prawie żadna praktyka poety."

Drugi pozytywny postulat Norwida — „praca" również nie znajduje uznania w oczach krytyka, gdyż ideał wyciągnięty na wierzch, „gdy sanacja zaczynała swój „wyścig pracy" działał hamująco na wszelkie idee postępowe, oddalając poetów od współczesnego świata pracy, a skierowując ich „do solidaryzmu społecznego, który sanacja i wszelkie grupy faszyzujące propagowały pod skrzydłami obszarników i karteli".

Artykuł kończy się spostrzeżeniem, że poeci współczesnej demokracji nie spotkają się z Norwidem na drodze idei, które, choć bez winy ich twórcy, stały się chlebem macierzystym maskarady urządzanej przez „Ozon".

Na tak sformułowane poglądy pośpieszył z odpowiedzią Kazimierz Wyka. W artykule swym p. t. „Norwid nieobecny" (nr. 19) zwraca on uwagę na trzy sprawy: 1) Norwid był poetą-lirykiem, a nie pisarzem — realistą, czy ideologiem, którego musiałaby dyskwalifikować rozbieżność z epoką. 2) Norwid czuł się obco w swej epoce. 3) Nordwidyści często fałszowali Norwida.

Zaczynając od końca: Ważyk za błędy czytelników i krytyki uczynił odpowiedzialnym pisarza; nie jest to słuszne, gdyż „sylweta ozonowa poety nie stanowi ani najważniejszej, ani należącej do przyszłości".

Przeciwstawmy, powiada Wyka, punkt widzenia „małej socjologii" stanowisku „wielkiej socjologji" i dialektyki, na którym stanął Ważyk. Wówczas przekonamy się, iż Norwid, chronologicznie należąc do II poko-

lenia romantyków „sam siebie adoptował na następcę" generacji wieszczów i jako taki tragicznie odskoczył od „całej drugiej, a wysokiej fali emigracji". W tej sytucji wystąpi Norwid, jako „moralista o argumencie satyrycznym", jednocześnie jednak nie przestaje być obserwatorem i socjologiem, „pojmującym układ, siłę i organiczną cywilizacyjną składność Zachodu". Stąd pochodzi dwoistość jego postawy, stąd możemy się domyślać, że cień Norwida, który przetrwa, będzie cieniem poety, uznającego za własny obiektywny świat kultury, bo kulturowe i historyczne dziedzictwo zachodu jest miąższem jego wyobraźni.

Prawdziwego Norwida poznamy z poezji, a drogi jego jako poety zbiegną się z drogami młodych trzeciej niepodległości.

W sześć tygodni później Adam Ważyk dał wyraz swemu zniecierpliwieniu polemicznemu, ogłaszając artykuł „Norwid urojony". Gniewa się w nim na Wykę, że ten przekręca jego poglądy, bądź je omawiając, bądź zręcznie sztukując cytaty. Ponadto roztrzygnięcie sporu uniemożliwia różność metod. Autor wolałby spotkać się na arenie dużej, prawdziwej socjologii „i poczuć deskę pod łopatkami, byleby prawda na tym zyskała". Przede wszystkim więc „mała socjologia nie może być stosowana w roli metody naukowej. Z tego też powodu „cień Norwida" w ujęciu Wyki jest zwykłą konstrukcją, nie wiele mającą wspólnego z Cyprianem Kamilem. Ważyk nie będzie tworzył własnej konstrukcji, domaga się tylko bacznej obserwacji poety, w okresie, kiedy podręcznik historii literatury zostawia go samego na emigracji, przechodząc do omawiania romantyzmu do kraju.

W rezultacie obaj przeciwnicy zostają przy swoich zdaniach.

Zwykły to los dyskusji dawno już sformułowany: „Quot capita, tot sententiae", Przypadł on w udziale następnemu, dużo obszerniejszemu sporowi na temat realizmu. Tyle w nim „dotknięto punktów głównych", tyle się piór skrzyżowało w pojedynku teoretycznym, że musimy tu poprzestać na najogólniejszej charakterystyce.

Jerzy Andrzejewski wydobył z teki wojennej artykuł „O realizmie i fantastyce" (Nr. 21). Z naukowego punktu widzenia metoda autora, którą możnaby określić, jako omijanie drogi wprost do celu wiodącej, łatwo prowadzi na manowce, często skazuje na mówienie o niczem. Istotą tych labiryntowych rozważań o tchnieniu metafizyki tajemniczej jest zwykłe przesunięcie terminologiczne, które da ująć się w dwóch tezach: 1) Zakres i treść pojęcia „realizm" i pojęcia „fantasyka" zmienia się w czasie. 2) Realizmem jest opisywanie faktów zewnętrznych, a fantastyką — opisywanie wiażeń, które nigdy nie są objektywnie dane do obserwacji.

Konsekwencją takiego założenia jest zdanie, że Swift opisujący fakty zewnętrzne w krainie Liliputów i Olbrzymów jest „bratem w realizmie" Balzaka, który opisuje takież fakty, tylko występujące gdzie indziej.

Unifikację tego przykładu atakuje Kott (Nr. 26), dowodząc, że idzie tu o dwa odrębne realizmy — Swifta oparty na poglądach filozofii mechanistycznej, racjonalnej, według której zmianom ilościowym nie odpowiadają jakościowe, i Balzaka — realizm płynący z wiedzy empirycznej, przyrodniczej, mający swoją odrębną od pierwszego prawdę — śmiałe zatem zestawienie dokonane przez Andrzejewskiego jest fałszywe.

W związku z tą dyskusją pisał Kott „O bohaterze" (Nr. 22), doczekując się odpowiedzi Sandauera („Możliwości nowej prozy"), (Nr. 27). W artykule tym na marginesie sprawy bohatera, charakteru, osobowości i struktury, mimochodem dotknięto kwestii realistycznego traktowania tematu. Autor nie poprzestał na tym zdawkowym ujęciu, lecz powraca do zagadnienia w trzy tygodnie później. Jego artykuł „Zawile" zwraca uwagę na zazębienie propagandy prorealistycznej z postulatem tworzenia, bohaterów w rozumieniu Kotta, tj. postaci wyolbrzymionych i uproszczonych, niby wzorców do naśladowania. Prowadziłoby to do

realizmu idealizującego, który być musi, zdaniem Sandauera, zjawiskiem sprzecznym wewnętrznie. Jeśli realizm, to pełny — domaga się autor.

Raz po raz główny nurt dyskusji rozsyła jakieś rozgałęzienia boczne, wiodące do rozlicznych kwestii literackich, z których każda jest bardzo skomplikowaną machiną. Wiodą one również na łamy innych pism. (Jastrun „Poza rzeczywistością historyczną" — Kuźnica Nr. 1.) Niepostrzeżenie rozmowa schodzi na temat symbolizmu, nie stroniąc od poruszenia sprawy historyczności dzieła literackiego. W rezultacie realizm powraca nie jako problem, lecz jako lekarstwo na psychologizm.

Co znaczą te terminy, nie dowiemy się od autora, który tytuł artykułu — „Zawile" — przyjął widać za motto.

W tym samym, 31 nrze. „Odrodzenia" wystąpił Brandys ze swymi „Drogowskazami"; można je uznać za manifest realizmu wojującego, który ukazuje się nie jako jeden z prądów literatury, czy ogólniej sztuki, lecz jako postulat estetyczno-moralny o niezwykle szerokim zasięgu. Występuje antyteza dwóch mglistych potęg, z których jedna — błogosławiona — realizm, a druga — przeklęta — formalizm.

Manieryzm, psychologizm, imagilizm i estetyzm odrzuca się jako dzieci znienawidzonych czasów przedwrześniowych, realizm zaś wysuwa się, aby uleczyć „głębokie nawarstwienia treści nie tylko artystycznych".

Zasługą niewątpliwą artykułu jest określenie formalizmu, i próba charakterystyki narodowej struktury psychicznej z punktu widzenia jej podatności na działanie realizmu i prężności produktywnej w tym kierunku.

Stronę ciemną stanowią czynniki wrogie chłodnemu rozmysłowi „sine ira et studio": patos, fanatyzm, mistycyzm — wyczuwalne jako nurt podziemny zdań zewnętrznie trzeźwych.

Na marginesie właściwej dyskusji odzywa się znowu głos Kotta „W obronie bohatera", gdzie wprowadza on rozróżnienie dużego i małego realizmu. W odpowiedzi na to i na artykuł Kisielewskiego w „Tygodniku Powszechnym" („Jeszcze o realizmie i formalizmie") atakuje Sandauer (Nr. 35) pojęcie wielkiego i małego realizmu, by, nareszcie, sformułować pogląd własny: „przez realizm rozumiem przeciwieństwo fantastyki". (Gdybyż jeszcze dodał, co rozumie przez fantastykę!)

Wygłos artykułu świadczy, iż idzie mu o realizm behawiourystyczny, ukazujący psychologię w postępkach.

Hołdując modzie nazywania artykułu przysłówkiem, napisał Jastrun „Nijako", aby wyjaśnić swój pogląd na „przyszłościowość" w realizmie humanisycznym i rozprawić się z zarzutami Sadauera. Jak dotąd jest to głos ostatni w chórze realistów. Na pewno nie zamyka on dyskusji, która prędzej, czy później ożyje.

Obok dwóch przedstawionych sporów literackich, rozgrywały się w „Odrodzeniu" inne, czas jednak porzucić to pismo, by zająć się w paru słowach młodszym nieco „Tygodnikiem Powszechnym". W założeniu swym miał on przede wszystkim drukować artykuły o charakterze poliyczno-społecznym i światoglądowym, a na drugim planie dopiero rozprawy z zakresu kultury i sztuki.

Zrazu więc różnił się jaskrawo od „Odrodzenia", tym bardziej, że wydająca go Kuria Metropolitalna wycisnęła na całnym piśmie wcale odmienną pieczęć w porównaniu z tą, której używa kolegialna redakcja omawianego przed chwilą tygodnika. Pierwsze numery tego katolickiego czasopisma określić wypadnie jako nieco kaznodziejskie i dość monotonne. Z czasem jednak pismo ożywiło się znacznie, co szło w parze z umyślną, czy mimowolną — o to mniejsza — ewolucją w kierunku nadania mu tonu literackiego. Nazwiska Słonimskiego, Pigonia, Czapskiej, Parandowskiego i Kisiela są tej przemiany widocznym znakiem.

W przeciwieństwie do „Odrodzenia", które operuje zamkniętą listą haseł autorskich, gdyż redakcja jego stanowi koło raczej ekskluzywne, „Tygodnik" z niewielkimi wyjątkami oparł się na wkładach gości nadsyłających swe artykuły z całej Polski. Wyniki

kilkumiesięcznej działalności są istotnie duże: w dwie godziny po opuszczeniu drukarni numer w samym Krakowie już jest nie do zdobycia. Jeśli zmniejszanie nakładu tego ciekawego pisma będzie trwać w dalszym ciągu (bo jak dotąd zmusił do tego niedostateczny przydział papieru), to „Tygodnik Powszechny" stanie się „białym krukiem", co mu doda nowego smaku — bibliofilskiego.

Aby skończyć z Krakowem, wspomnić wypadnie o grupie młodych z Adamem Włodkiem na czele. W zimie i na wiosnę podnajmowali oni sublokatorskie pomieszczenie w „Dzienniku Polskim" jako dodatek literacko-społeczny — „Walka". Gdy skończyły się gorycze mieszkania kątem, było o nich naogół głucho. Ktoś się na kogoś obraził, starsi koledzy dali radę w sposób nie dość delikatny, redaktor zanim doszło do dyskusji o meritum sprawy, musiał odpierać te i owe zarzuty metrykalne.

We wrześniu widzimy ich na własnych śmieciach: swą jednodniówkę zatytułowali z odrobnią młodzieńczej fanfaronady — „Inaczej".

Zespół ten zasługuje na krytykę taką, jaką się stosuje do grup pisarzy młodych — nie tylko za osiągnięcia, ale i na kredyt, bo są obiecujące.

Część poetycka numeru sprawia wrażenie dodatnie, choć bezwarunkowo ustępuje pod względem poziomu twórczości poetów, warszawskich z Baczyńskim na czele.

Drugi po Krakowie ośrodek kultury polskiej — Łódź w dziale literackim wykazać się może miesięcznikiem „Kuźnica" wydawanym przez zespół radykalnie postępowy. Sprawy społeczne, którym w podtytule pisma przeznaczono pierwsze miejsce, w numerach początkowych były traktowane na równi z literackimi, w dalszym zaś ciągu zostały nieco przez te pierwsze przesłonięte.

Nazwiska autorów znane z „Odrodzenia": Kott, Sandauer, Jastrun, Zawieyski, Ważyk, Kurek.
Raz i drugi odnajdziemy tu odpryski wielkiego sporu teoretyczno-literackiego. Poziom ogólny dorównuje tygodnikowi krakowskiemu, co nie stanowi bezwzględnego komplementu, ponieważ miesięcznik winien się spotkać z innego zakroju wymaganiami. I jeśli z tą myślą zestawimy krakowską „Twórczość" z „Kuźnicą", to tytuł do chwały wydawnictwa łódzkiego jeszcze się zmniejszy.

„Twórczość", w której czytamy nazwiska Staffa, Iwaszkiewicza, Miłosza, Przybosia, Kurka, Peipera, Wyki i i., zapowiada się na najpoważniejszy miesięcznik literacki w całej Polsce.

Na marginesie wartoby zwrócić uwagę, by redakcje periodyków literackich nie drukowały pewnych utworów epidemicznie: tak np. w sierpniowych numerach „Twórczości" i „Kuźnicy" czytamy ten sam wiersz Hołuja — „Wiem, zdechnąć mogę".

Konkurentem najpoważniejszej „Twórczości" jest najwykwintniejszy dwutygodnik poznański „Życie literackie", redagowany przez Jarosława Iwaszkiewicza.

Pismo to, obok dopiero co wymienionego miesięcznika krakowskiego, posiada najmniej domieszek pozaliterackich, a te, które w nim można odnaleźć, dadzą się zaliczyć do spraw kulturowych w ściślejszym znaczeniu tego słowa.

Obok literatów miejscowych występują w nim gościnnie Kott, Czachowski, Krzywicka, Lec i i.

Ośrodki peryferyczne życia kulturowego — Katowice i Lublin — również mają swe pisma literackie o wyraźnej nadwyżce spraw społeczonopolitycznych: mowa tu o katowickiej „Odrze" i lubelskim tygodniku „Zdrój", który dzięki wspaniałomyślności czasów nienormalnych może się poszczycić nazwiskami współpracowników takich, jak Kleiner i Parandowski.

Ten sumaryczny i z konieczności niekompletny i niedokładny przegląd potwierdza zdania skreślone na wstępie, pozwalając dorzucić i to spostrzeżenie, że jak dotąd nie wyszliśmy, co zrozumiałe ze względu na warunki techniczne, spod obsesji słowa wydzielanego porcjami codziennie, co tydzień, co miesiąc. Nasze życie

kulturowe ma na razie krótki oddech, ale wracamy powoli do sytuacji normalnej, w której obok ruchu czasopiśmienniczego będzie równolegle narastała produkcja wydawnictw nieperiodycznych zamknięta w tomach poezji i prozy.

Jerzy Pelc.

SEZON ZAWIEDZIONYCH NADZIEI

(Kronika teatralna, luty-wrzesień 1945)

Natychmiast po uwolnieniu reszty Polski z niemieckiej niewoli, w całym kraju rozpoczął się żywy ruch teatralny, który trwa do tej pory, a przejawia się powstawaniem w dużych i mniejszych miastach coraz to nowych placówek sztuki scenicznej, wystawiających swym dobrym prosperowaniem najwiarygodniejsze świadectwo „głodni teatru" w naszym społeczeństwie, co można było przewidywać już w czasie okupacji. Warszawa rozproszyła swe zespoły teatralne po całej Polsce, lokując je głównie w Krakowie i Łodzi. Stolicą teatralną stał się w chwili obecnej Kraków, dysponujący pięcioma scenami (czterema teatrami), z szóstą w stadium organizacyjnym. Po Krakowie następne jakościowo miejsce zajmuje Łódź, z Teatrem Wojska Polskiego, a ilościowo Warszawa z dwoma scenkami już grającymi, i dwoma scenkami mającymi niebawem rozpocząć pracę.

Z pierwszym powojennym sezonem teatralnym łączyliśmy ongiś wielkie nadzieje. Miał on być z jednej strony uroczystym festiwalem naszego klasycznego repertuaru, za którym byliśmy tak stęsknieni i brak którego odbijał się niekorzystnie na wykształceniu naszej młodzieży, z drugiej strony — sezon ten miał stać się arcy — ciekawą rewią sztuk powstałych pod okupacją, miał sprawdzić legendę o bujnej twórczości dramatycznej czasu niewoli. Gdy do tego jeszcze wyzwolenie kraju stało się zaczątkiem nowej rzeczywistości społecznej, wydawało się, iż teatr zacznie próbować przekształcać się — zgodnie z postulatami i zapowiedziami — w teatr dla mas.

Pisząc te słowa mamy już za sobą osiem miesięcy pracy teatrów, którą mogliśmy obserwować w trzech najpoważniejszych jej ośrodkach: krakowskim, łódzkim i warszawskim — i z całą gorzką stanowczością musimy uznać ten okres za sezon zawiedzionych nadziei.

Sezon powojenny rozpoczęto w większych miastach szablonowo. Najpierw Teatr Wojska Polskiego pod dyrekcją mjr. Krasnowieckiego wystawiał „Wesele", które swe wielkie powodzenie zawdzięczało tym razem tylko koniunkturze chwili i Wyspiańskiemu. Przedstawienie krakowskie było niewiele lepsze od dobrego teatru amatorskiego. Aktorzy dziwnie nieporadnie ruszali się po scenie. Krasnowiecki w roli Gospodarza był nużąco jednakowy, podobnie jak przed wojną Węgierko w „Hamlecie". Stosunkowo najlepiej grała Kossobudzka jako Rachela, Maliszewski — Dziennikarz i Kreczmar — Poeta. Podobno łódzkie przedstawienie „Wesela" było znacznie szczęśliwsze; w międzyczasie zespół Teatru WP powiększył się o pierwszorzędne siły aktorskie. Wystawienie „Wesela" miało — poza stroną uczuciową, jako sztuką szczerze polską — swoje uzasadnienie ideologiczne. I rzeczywiście stało się ono nieoczekiwanym symbolem nadchodzącego sezonu teatralnego. Złoty Róg polskiego teatru ciągle jeszcze nie został odnaleziony.

Dwie były sztuki, którymi znakomita większość teatrów otworzyła swoje podwoje: teatry o większych ambicjach dawały „Przepióreczkę", o mniejszych „M o r a l n o ś ć P a n i D u l s k i e j". W Krakowie w Miejskim Tea-

trze im. J. Słowackiego (pod dyrekcją K. Frycza) „Przepióreczkę" wystawił Osterwa, sam reżyserując i sam grając główną rolę. Było to przedstawienie znakomite. Zespół krakowski nie był tylko tłem dla Osterwy, lecz każdy jego uczestnik stworzył oddzielne, trafne kreacje. W sumie złożyło się to na rzetelny koncert gry scenicznej, w którym może tylko jedna Ciechanowska, jako Księżniczka, uderzała czasami w fałszywy ton.

Zastanawiająca jest ta jednomyślność w wybieraniu właśnie tej sztuki na inaugurację. Jest to tym charakterystyczniejsze, iż pierwszą polską sztuką graną po wrześniu, jesienią 1939 roku w Rumunji i zimą 1940 roku w Paryżu była też „Przepióreczka" z Eichlerówną i Ziembińskim. Wskazuje to na wyjątkowe wprost zespolenie się sztuki z psychiką naszego narodu.

Wystawienie „Moralności Pani Dulskiej" miało być zapewne kompromisem między naiwnie pojętą tendencją społeczną a dobrze zrozumiałym interesem kasowym. Ta cięta komedia Zapolskiej — źle czy dobrze grana może liczyć zawsze na powodzenie. Tym nie mniej, jako program inauguracyjny po takim kataklizmie dziejowym i w trakcie takich zmian Polski — komedia Zapolskiej wydaje się mocno nie na miejscu.

Jedynym i cennym wyjątkiem od inauguracyjnego szablonu stał się dramat „Mąż doskonały", Jerzego Zawieyskiego, wystawiony przez dyrektora Ronarda Bujańskiego w „Starym Teatrze" w Krakowie. Tragedia Zawieyskiego, utwór najbardziej aktualny, o tendencjach mesjanistycznych, — głównie przez swój biblijny temat (dzieje Hioba) — był pierwszym ukazanym dziełem dorobku wojennego naszej dramaturgii. Dzieło to o walorze niepoślednim. Jedyne, które wywołało polemikę prasową, choć polemiki takie chciałoby się mieć i częściej i żywsze. Rzetelną zasługę zdobył sobie „Teatr Stary" wystawiając na inaugurację sztukę orginalną, o tak dużej wadze ideowej. Oczywiście dramat Zawieyskiego nabrałby pełniejszego sensu i inaczej zostałby przyjęty, gdyby został wystawiony nie na otwarcie teatru w Krakowie, gdzie siłą rzeczy nie mógł być dobrze zrozumiany, lecz na otwarcie mizernej scenki w Warszawie, wśród gruzów, na Marszałkowskiej róg Hożej. Tam byłby na miejscu, gdyż tam właśnie z ruin i popiołów powstawało nowe życie. „Mąż doskonały" grany był dobrze przez starannie skompletowany zespół z Januszem Warneckim i Zofią Małynicz na czele. Ciekawe opracowanie sceniczne zawdzięczaliśmy Ronardowi Bujańskiemu, a urzekającą muzykę — Palestrowi.

Po tych wieloznacznych początkach — dyrekcje teatrów poszły po linii najmniejszego oporu, to znaczy wymogów kasy. Pewne wyjątki w rodzaju „Fantazego", „Cyda", „Antygony", czy „Penelopy" potwierdzały raczej regułę. Naogół w Krakowie i w Łodzi otrzymywaliśmy doskonale wystawione i grane spektakle, ale trudno je uznać za spełnienie tych postulatów, które w rojeniach naszych stawialiśmy pierwszemu powojennemu sezonowi teatralnemu.

Najbardziej reprezentacyjna dziś scena polska — Miejski Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie — uprawiał karkołomną politykę repertuarową, której zasadą było: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Dziesięć wystawionych sztuk podzieliła dyrekcja po równo: na pięć pożytecznych i pięć — aczkolwiek dobrze wystawionych — lecz zupełnie niepotrzebnych i błahych.

Do ostatnich należą: Szaniawskiego „Dziewczyna z lasu" — akurat najsłabsza sztuka tego dramaturga i akurat najgorzej dopasowana do czasów reformy rolnej. Fredry „Damy i huzary" — zeszłowieczna farsa, zdolna budzić jeszcze salwy szczerego śmiechu pod warunkiem odpowiedniego wystawienia i dobrej gry. Obu warunków nie spełniono i jeżeli sztuka budziła uśmiech — to tylko zażenowania. Rittnera „Wilki w nocy" — doskonale grane i trafnie — jako komedia oby-

czajowa — wyreżyserowane, głupie farsidło Abrahamowskiego i Ruszkowskiego „Mąż z grzeczności", i koncertowo zresztą grany (co jedynie mogło usprawiedliwić przedstawienie) przez Ćwiklińską, Biegańskiego, Baronówną i Wesołowskiego — „Skiz" Zapolskiej, są to rzeczy, których wybór w tak specjalnym sezonie trudno byłoby dyrekcji uzasadnić

Pięć niepotrzebnych pozycyj na dziesięć sztuk — to stanowczo zbyt wielka rozrzutność pieniędzy, talentów doskonałego zespołu krakowskiego i zbyt lekkomyślne obejście się z głodną dobrego teatru publicznością dzisiejszą.

Jak się rzekło miał jednak Teatr im. Słowackiego i swoje dobre pozycje. Przypatrzmyż się im w kolejności chronologicznej.

Po „Przepióreczce" oglądaliśmy przez długie tygonie fredrowską „Zemstę". Sprawiedliwie nieodzowny składnik naszego wielkiego repertuaru, wobec nowego rozdziału w historii politycznej Polski i Rosji, nabrał swoiście aktualnego sensu. Komedię wystawiono dobrze, z wciąż powiększającym i polepszającym się, w miarę upływu tygodni, zespołem aktorskich tuzów, tak iż w końcowych przedstawieniach występowało już znakomite trio: Ćwiklińska, Solski i Leszczyński, a raczej kwartet, gdyż Karbowskiego należy bezspornie zaliczyć do grupy czołowych aktorów polskich. Dobrze się stało, iż teatr, który z natury swojej przeznaczony jest do pielęgnowania i upowszechniania naszego wielkiego repertuaru, tym przedstawieniem zdecydował się przyjść w sukurs odradzającej się szkole. Wielu młodych widzów po raz pierwszy zapewne oglądać mogło wielką komedię na prawdziwej scenie.

L. H. Morstina „Penelopa" — jest JEDYNĄ nową polską sztuką wystawioną w Krakowskim Teatrze Miejskim i to akurat charakter jej — zabawki literackiej — jest tego rodzaju, iż spierać się można o to, czy właśnie na tej scenie winna odbyć się jej prapremiera. Nie jest to najlepsza sztuka Morstina, daleko jej do „Rzeczypospolitej Poetów", nie mniej jest to rozkoszna komedia, sielanka sceniczna, tym większym ciesząca się powodzeniem, iż w przejrzystej aluzji porusza nader aktualne kłopoty, tak oczywiste w czasie, gdy wielu Odyssów wraca do swych Penelop. Autor obsypuje słuchaczy barwnym confetti mądrych, dobrych, wyrozumiałych, rzetelnym humorem przepojonych sentencyj, przypominając nimi tak bardzo Anatola France'a. Przedstawienie w Teatrze Miejskim miało jedną wadę zasadniczą. Gra aktorów była może zbyt dostojna, i tym kłóciła się zarówno z tekstem jak i z „cukierkowato-jarmarcznymi" dekoracjami Eilego. Ten właśnie zarzut zbytniego dostojeństwa sędziwej matrony zrobić można, jako jedyny zresztą, doskonałej grze Jaroszewskiej. Jest to niewątpliwie jedna z najlepszych naszych aktorek i szkoda, iż tak rzadko możemy ją podziwiać. Wysokim poziomem swej gry dorównał Jaroszewskiej jej partner — Leszczyński, jako powracający, pełen zazdrości, choć mający niezbyt czyste sumienie, Odyss. I Lidia Próchnicka nie ustępowała swą grą parze scenicznych małżonków.

Konstantego Simonowa „Rosjanie", — reportaż sceniczny na wysokim poziomie, wystawił dobre świadectwo współczesnej dramaturgii sowieckiej. Radziecki dramaturg-dziennikarz szczęśliwie ominął niebezpieczeństwo związane — płytkiego szablonowego patosu cierpienia czy bohaterstwa z tematem „wojny ojczyźnianej". Wybitną zaletą sztuki jest jej bezpośredniość, świeżość; błędem zaś — zbyt wielka rożnorodność sytuacji i obrazów (9 obrazów!) co niekorzystnie odbija się na napięciu dramatycznym. Cały ogromny zespół, złożony z trzydziestu bezmała wykonawców stanął na najwyższym poziomie gry. Najmniejsza rólka epizodyczna nie została zlekceważona. Szczególnie wyróżniał się Leszczyński w roli, jakby dla niego specjalnie pisanej, felczera pułkowego, bohatera i kobieciarza w jednej osobie — Głoby. Dzielnie mu sekun-

dował Butkiewicz — jako nieludzki, trafnie przez autora narysowany kapitan SS. Gra całego zespołu i reżyserja sprawiły, iż mimo dłużyzn zainteresowanie sztuką nie słabnie u widza ani na moment. Było to obok „Przepióreczki" najlepsze przedstawienie w Teatrze Miejskim.

„Antygona" Sofoklesa w przekładzie i z aktualizującym ją prologiem L. H. Morstina — była przedstawieniem wielce nierównym. Gra miejscami wręcz zła (scena pierwsza, gdy Zaklicka-Antygona ukazała się jako jakowaś sekutnica) — miejscami była doskonała (Antygona przed zamknięciem do groty, Kreon-Karbowski). Reżyserja niepotrzebnie męczyła widza brakiem przerw. Jeżeli chce się oddać możliwie najautentyczniej atmosferę ateńskich spektakli, co jest wysoce godne pochwały, zwłaszcza w dzisiejszych, antyklasycystycznych czasach, to należałoby „Antygonę" pokazać na otwartym jakimś „theatrum"; jeżeli się tego nie robito równie dobrze, bez żadnej dla niej szkody, można sztukę Sofoklesa podzielić na akty. Wiecznie aktualna, problematyka greckiego mędrca, słowa Morstina, muzyka Maklakiewicza stworzyły — mimo wad reżyserji i gry — widowisko specjalnie przyjemne i doniosłe dla ogólnej kultury dzisiejszego młodego pokolenia.

Przy tym wszystkim Teatr Miejski w Krakowie w swych pięciu trafnie dobranych inscenizacjach nie miał żadnej linji przewodniej, która by je splatała w jakąś jedną repertuarową całość. I to jest bardzo ważny mankament.

Na marginesie godzi się wyróżnić dekoracje Karola Gajewskiego, naogół bardzo dobre.

Taki sam brak jakiejś wyraźnej linii repertuarowej dał się zauważyć w „Starym Teatrze". Postulaty wysuwane teoretycznie w „Froncie Teatralnym" nie znajdowały należytego uwzględnienia w repertuarze. Po zobowiązującej prapremierze „Męża Doskonałego" — nieoczekiwanie uraczono publiczność „Teorią Einsteina" Cwojdzińskiego — komedią wprawdzie zgrabną i zabawną, lecz nieco przebrzmiałą. Dobra gra Chanieckiej i Ciecierskiego nie potrafiła nas jednak przekonać, iż akurat „Teoria Einsteina" należy do tych sztuk, których brak tak bardzo odczuwaliśmy przez sześć lat teatralnego postu.

Mniejwięcej podobny osąd można wydać o następnej, świetnie granej przez Małynicz, Brodzikowskiego, Ciecierskiego i Warneckiego sztuce Nałkowskiej „D z i e ń j e g o p o w r o t u". Sztuka ta może winna wywołać żywą dyskusję nad jej problemem. Czy jest nim — jak chcą jedni — fatalna zbrodniczość Ksawerego, czy też — jak mi się wydaje — chodzi o t e r m i n ujawnienia końca miłości Moniki do Ksawerego, czy winien on nastąpić w trakcie pobytu Ksawerego w więzieniu, czy też w dniu jego wyzwolenia. Jeżeli by za istotny problem sztuki uznać moją koncepcję — znaleźlibyśmy może usprawiedliwienie jej wystawienia. Byłaby to jeszcze jedna wersja aktualnej sprawy, poruszonej przez Morstina w „Penelopie".

Po „Mężu doskonałym" najlepszym niewątpliwie przedstawieniem „Starego Teatru" był „Cyd" w tłumaczeniu Wyspiańskiego, grany w lecie na starym dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej. Dzieła wielkiego repertuaru, jak już raz rzekliśmy, mają ogromne znaczenie dla wychowania kulturalnego młodzieży, której wywołane wojną zaniedbania pod tym względem są wręcz rozpaczliwe. Stary widz z radością oglądał na gotyckim dziedzińcu Biblioteki znany sobie dobrze dramat, nawiązując tym mocno potargane więzy z kulturą zachodniej Europy. Znawca teatru miał możność obejrzeć ciekawe — choć w tym wypadku niekoniecznie trafne rozwiązanie inscenizacyjne; scenę wielopłaszczyznową. Gra, a raczej recytacja — po tej linji poszedł reżyser — całego zespołu bez zarzutu, należycie podkreślała piękno wiersza Wyspiańskiego.

Jesienią na miejsce Ronarda Bujańskiego dyrektorem Starego Teatru został Pronaszko, który sezon bieżący

rozpoczął przemiłą farsą Marivaux „Igraszki Trafu i Miłości" w tłumaczeniu Boya. Trudno jeszcze w tej chwili ocenić, czy przedstawienie to jest trafnie czy nie trafnie wybrane, czy jest ono jeszcze jednym z przypadków czy też zaczątkiem wyraźnej linji repertuarowej, stawiającej sobie za cel popularyzowanie teatru francuskiego. Byłoby to wielce korzystne. Przemiła błahostka Marivaux grana była bardzo starannie przez Chaniecką, Szaflarską, Ciecierskiego, Sheybala i Fuldego.

Omawiając osiągnięcia „Starego Teatru" nie wolno przeoczyć świetnej parodii „Męża doskonałego" ułożonej i wykonanej przez słuchaczy studia dramatycznego Starego Teatru. Było to jedno z najciekawszych wydarzeń krakowskiego sezonu teatralnego. Ten sui generis samorodny teatr wystawiając jaknajlepsze świadectwo talentom uczniów Studia, nałożył równocześnie na kierownictwo teatru obowiązek baczenia, by obiecujące talenty nie zmarnowały się. Dwa pokazy teatralne tego samego zespołu uczniowskiego były bardzo niejednakowe. „Powrót Odyssa" Wyspiańskiego był przedstawieniem słabym, podczas gdy odtworzeniu „Niespodzianki" Rostworowskiego można tylko zarzucić — uwzględniając szkolny i debiutancki jego charakter — zbyt naturalistyczne potraktowanie utworu.

W sumie więc osiągnięcia zespołu „Starego Teatru" są rzetelnym dorobkiem na odcinku gry aktorskiej i opracowań reżyserskich, jednak i im brak było wyraźnej linii repertuarowej.

Wydarzeniem o dużym walorze artystycznym jest powstanie w Krakowie pod dyrekcją Władysława Jaremy Teatru Lalki i Aktora „Groteski" stawiającego sobie ciekawe zadanie. Jest to mianowicie połączenie teatru kukiełek, poruszanych na wzór włoskiego teatrzyku kukiełkowego „Picollominiego" za pomocą niteczek, z grą normalnych, żywych aktorów. Pierwsze przedstawienie „Cyrk Tarabumba" było udanym eksperymentem. Scena, w której kukiełka-tancerka akrobatyczna tańczy na ramionach zakochanego w niej klowna - jedynego żywego aktora, jest tak pełna liryzmu i poezji, jak drugiej trudno by znaleźć w którejś z równocześnie granych sztuk „normalnych". Ten jeden jedyny już fragment wart był specjalnego przedstawienia i dalszych kontynuacji tego gatunku sztuki teatralnej.

Teatr Kameralny TUR-u, założony jesienią, jest teatrem źle poczętym. Organizacja, która go powołała do życia, zapewne w intencjach stworzenia sceny odpowiedniej dla robotniczych mas, winna była zrozumieć, że przy tak wygórowanych cenach żaden robotnik na przedstawienie nie pójdzie i to w dodatku na przedstawienie właśnie takiej sztuki. „Lato w Nohant" należy do tych utworów dramatycznych, z których może, w zależności od złej czy dobrej gry, powstać sztuka albo bardzo dobra, albo bardzo zła. Poza tym jest to sztuka obliczona na widza i czytelnika o wyrobionym guście literackim i pewnej erudycji historyczno-artystycznej. „Lato w Nohant" z Ziembińskim jako Chopinem przed wojną w Teatrze Polskim w Warszawie cieszyło się wielkim powodzeniem. Teraz — grane bardzo słabo, — jest na scenie TUR-u wielkim nieporozumieniem.

Poza teatrami stałymi Kraków oglądał gościnne występy licznych teatrów objazdowych. Niektóre bawiły nawet nader krótko, jak ten wystawiający „Jeńców" Rydla, podobno niefortunnie. Większym powodzeniem cieszyła się „S p r a w a M o n i k i" (Teatr Objazdowy im. Bogusławskiego) z Różańską, Zahorską i Zielińską. Sztuka grana była, w innych nieco zespołach, w całej niemalże Polsce. Jest to potworna sztuka, będąca przykładem roztopienia dobrego wątku we frazeologicznej wodzie. Jej dawne powodzenie, na którego kredyt ciągle wegetuje i straszy, wystawia smutne świadectwo gustom ówczesnej publiczności teatralnej. Dziwić się należy, iż na wystawienie tej sztuki znalazły się fundusze i dobre chęci wykonawców, a fakt, iż sztuka wymaga

tylko trzech aktorów i że dekoracje do niej znajdą się wszędzie, nie stanowi argumentu na rzecz jej wystawiania!

Podobny zapewne powód zadecydował o wyborze dokonanym przez zespół artystów Teatru Polskiego w Warszawie, który przyjechawszy do Krakowa sprezentował „Lekkomyślną siostrę" Perzyńskiego. Komedia nie pasowała zupełnie do poniemieckich mebli ustawionych na scenie i współczesnych strojów, które wyraźnie kłóciły się z mocno dziś już wyblakłą problematyką młodzieńczego utworu Perzyńskiego. Dobra gra Barszczewskiej i Grylewskiej nie ratuje sytuacji. Teatr Wojska Polskiego w Łodzi postąpił roztropniej grając — najniepotrzebniej w świecie — tę samą komedię w strojach i wśród rekwizytów jej właściwych, t. j. z końca zeszłego stulecia.

Pisząc o teatrze w Krakowie nie wolno zapomnieć o „Teatrze Rapsodycznym" Kotlarczyka. Jest to zespół recytacyjny, teatr tylko słowa, będący jawną kontynuacją imprez konspiracyjnych. W dobie tak wielkich braków w wykształceniu humanistycznym i literackim młodzieży-teatr recytacyjny, wygłaszający najwybitniejsze dzieła naszej poezji wielkiej, ma ważką rolę do odegrania. Dziwnym więc jest, iż po urządzeniu paru poranków dla młodzieży, nagle zamilkł. Czyżby klimat podziemi konspiracyjnych był korzystniejszy dla tego rodzaju przedsięwzięć, tak doniosłych dla kultury żywego słowa?

Teatr Wojska Polskiego, ustaliwszy się w Łodzi i dobrawszy pierwszorzędne siły aktorskie, zrezygnował ze swej „bojowości" i rozpoczął żywot podobny innym wielkim teatrom. Po „Weselu" ukazał, dla równowagi, „Dożywocie". Ta jedna z najlepszych komedii Fredry została wystawiona znakomicie, według przedwojennej inscenizacji Aleksandra Węgierki, przynosząc chlubę zarówno odtwórcom z Woszczerowiczem na czele, jak i reżyserowi Kreczmarowi. Kapitalnym pomysłem było wywieszenie na kurtynie, przed przedstawieniem, odnośnych ustępów kodeksu handlowego, by wyjaśnić tym widzowi sens perypetyj komediowych. Przy tym wszystkim jednak — jeszcze raz wypada nam uczynić powtarzane już zastrzeżenie — „Dożywocie" nie jest chyba tym utworem który specjalnie godziłoby się dać spragnionym polskich sztuk Łodzianom. To samo powiedzieć można o wystawianych tamże „Lekkomyślnej siostrze" czy sowieckiej komedii „Niepokojąca starość".

Dwie natomiast są pozycje, których wprowadzenie na scenę poczytać należy dyrektorowi Krasnowieckiemu za zasługę.

Jedna to „Świętoszek" Moliera nawiązujący łączność widza polskiego z wielkim repertuarem światowym. Komedia wybrana trafnie — grana była fatalnie. Daczyński zimny, łotrzykowsko wyrafinowany, nie miał w sobie nic z uwodzicielskiej obłudy Tartuffa. Widz nie rozumiał orgonowskiego zaślepienia. Równie źle obsadzony był Grabowski jako Orgon, który przeszarżował całą rolę. Najlepszą była para młodych debiutantów — Łapicki jako Damon i Bugajski — „Pan Zgoda".

Druga — to niespodziewanie aktualny, wspaniały, zbyt rzadko wystawiany dramat Słowackiego „Fantazy". Było to najlepsze przedstawienie teatralne w Polsce od czasów wyzwolenia. Wystawa czarowała widzów swym bogactwem i urokiem. Osterwa wyreżyserował to trudne dzieło z mistrzostwem godnym swej własnej sławy. — Z pięknej poezji Słowackiego, z bogactwa jego słowa i wewnętrznego dynamizmu całego poematu nie zostało nic uronione. Aktorzy stworzyli kreacje godne poematu: Barszczewska-Dianę, Romanówna - Idalię, Kreczmar - Fantazego, Grolicki - Rzecznickiego.

Linja Teatru WP jest nierówna i ciągle jeszcze zaskakuje nas niespodziankami zarówno w złym jak i dobrym sensie, zarówno w repertuarze, jak i w wykonaniu.

Warszawa dysponuje jak dotąd dwoma prymitywnymi scenkami: na Pradze przy ul. Zamojskiego i na

Marszałkowskiej. Lada tydzień otworzyć mają swe podwoje reprezentacyjny Teatr Państwowy pod dyrekcją Szyfmana w gmachu Teatru Polskiego i teatr spółdzielni artystów w sali teatru Malickiej (Marszałkowska 8). Dwie obecne scenki są niewiarygodnie słabe. Zamiast rozpocząć sezon w niepodległej Warszawie „Mężem doskonałym" — rozpoczęto go „Moralnością Pani Dulskiej", „Szczęściem Frania" i płaską farsą Austryjaka czy Węgra W. Fodora „Sekretarką Pana Prezesa". Abstrahując już od kiepskiego wykonania — sam fakt ich wystawienia był kompromitacją dobrej teatralnej sławy naszej stolicy.

Do sztuk trafniej dobranych zaliczyć należy Meaterlincka „Burmistrza Stylmondu" — dramat laureata Nobla osnuty na tle okupacji niemieckiej Belgii w roku 1914. Dramat robi wstrząsające wrażenie. Przez trzydzieści lat Niemcy nie zmienili się na jotę. Tragedia burmistrza Stylmondu była tragedią może Starzyńskiego, a może i wielu innych burmistrzów i sołtysów polskich wsi i miasteczek. Dramat ten trzeba było pokazać naszej publiczności w roku 1939. Warto go pokazywać i teraz, lecz stanowczo nie należy tego tak robić, jak w teatrzyku przy ulicy Marszałkowskiej. Sztuka grana była źle. Prócz doskonałego w roli niewinnie oskarżonego ogrodnika Claussa - Dominiaka, cały zespół grał fatalnie, robiąc z dramatu melodramat. Było to zresztą i winą reżysera; nie porobił on w sztuce koniecznych skrótów.

Po „Mężu doskonałym" i „Penelopie" trzecią nową, nawet bardzo świeżą, gdyż powstałą już po wojnie, sztuką jest grany w teatrze przy ul. Marszałkowskiej reportaż sceniczny Heleny Buczyńskiej „Obcym wstęp wzbroniony". Sztuka Buczyńskiej jest rzeczywiscie tylko reportażem scenicznym wiernie fotografującym życie artystek prowadzących czasu okupacji tak popularne podówczas kawiarnie aktorskie. Fotografie Buczyńskiej wiernie odtwarzają i przypominają okupacyjne życie, prawdziwie zachowują proporcje między naturalnym, może trochę desperackim humorem codziennego, okupacyjnego bytowania a patosem niebezpieczeństwa i konspiracji. Z patosem dała sobie autorka gorzej radę niż z humorem. Humor przyjmowała widownia gorącą aprobatą, patos wydawał się jej zlekka fałszywy, a niebezpieczeństwo w postaci wpadających na scenę żandarmów - przyjęto śmiechem. Śmiech ten — jest groźnym ostrzeżeniem dla współczesnych pisarzy, czy potrafią oni odtwarzając grozę minionych dni wywołać w żyjącym pokoleniu pożądaną reakcję. Całość zgrabnie zbudowanego reportażu psuł akt czwarty, dziejący się w Warszawie obecnej, artystycznie zupełnie od reszty oderwany, a nadomiar złego robiący wrażenie propagandowego skeczu. Z dobrej gry całego zespołu szczególnie wyróżniali się Gruszecka, Kawińska, Borowy i Milecki.

Grana w teatrzyku na Pradze „Przeprowadzka" Rostworowskiego była w przeciwieństwie do większości sztuk wystawianych w ubiegłym sezonie — przykładem sztuki trafnie i ze względów artystycznych i ideowych wybranej, lecz skandalicznie wystawionej. Zbyt daleko posunięty naturalizm przedstawienia wpadał miejscami w zbędny trywializm (Ciepielowa) lub też przeradzał się w płytką farsę. Brak elementarnych rekwizytów (szafy płaskie, wycinane z dykty, lampa z tektury) robił wrażenie amatorskiego teatru w podłej mieścinie. Całość ratowała tylko dobra gra Kalinowskiego i Bończy-Tomaszewskiego oraz w roli charakterystycznej Bogusińskiego.

Tak więc na trzydzieści parę wystawionych sztuk - ujrzeliśmy zaledwie trzy nowe polskie dramaty, mimo iż T. Breza sygnalizował nam ich we „Froncie Teatralnym" kilkanaście, a na przeszkodzie przecież papier nie stoi. Sztuki wielkiego repertuaru, których brak tak bardzo dziś odczuwa pokolenie starsze, a kiedyś odczuje młodzież - wystawiano raczej dorywczo. Utworów scenicznych o proble-

matyce społecznej dostosowanej do wymagów chwili bieżącej - wogóle nie było.

Jeżeli do tego jeszcze dodać, iż każde większe miasto i mniejsze miasteczko cierpi obecnie na prawdziwą inflację rewii, kabaretów pseudoarystycznych, fars, poziomem swym wahających się od rzeczywiście dobrych występów łódzkiego zespołu „Syreny" pod kierownictwem Jurandota do (niestety najczęściej) szmir najgorszego gatunku i przedziwnego autoramentu, i że te wszelkiego rodzaju rewie najniepotrzebniej w świecie zajmują sale teatralne, podczas gdy w takiej Łodzi zespół Teatru Miejskiego pod dyrekcją Szletyńskiego musiał dla braku sali ulec rozwiązaniu, mimo iż w tym samym mieście jest sala w Domu Milicjanta i wiele sal kinowych — to obraz otrzymany nie będzie specjalnie budujący.

Żywiołowy wprost rozwój teatrów, przy braku stosownych sal i scen oraz doskonałe inscenizacje niepotrzebnych naogół sztuk — oto zasadnicze cechy minionych miesięcy teatralnej pracy, aż nadto usprawiedliwiające określenie ich, jako sezonu zawiedzionych nadziei.

Kazimierz Koźniewski

Z OSTATNICH WYDAWNICTW

Terror niemiecki w Zamojszczyźnie 1939—1944, Zamość 1945, 8-ka, str. VII, 170, nlb. 2.

Na tle obecnego zastoju wydawniczego wśród którego pojawiają się jedynie nieliczne tomiki poezyj i broszury o charakterze doraźnie użytkowym, wyraziście odcina się grupa wspomnień więźniów politycznych, przedstawiających swe przeżycia w niemieckich więzieniach i obozach karnych. Większość tych rzeczy ma niewątpliwą, choć niejednolitą wartość dokumentarną i powinna znaleźć sie raczej w materiałach komisji badającej zbrodnie niemieckie aniżeli na półkach księgarskich, rzadko bowiem sprawy w nich poruszane, przy całym swym znaczeniu dla specjalisty, ujęte są w sposób, zdolny przemówić do czytelnika, dla którego są z racji wyjścia drukiem przeznaczone. W tym stanie rzeczy bardzo dodatnio wyróżnia się tom wspomnień, rozpoczynający „Wydawnictwo materiałów do dziejów Zamojszczyzny w latach wojny", bardzo starannie redagowane przez dra Zygmunta Klukowskiego. Już szata graficzna, dowodząca, że gospodarka okupanta nie zdołała zniweczyć pięknych tradycyj bibliofilskich przedwojennego Zamościa, dobry papier, piękny krój czcionki, wzorowa korekta, przygotowuje do dobrej treści. O dobroci jej zaś stanowi umiejętna selekcja wspomnień, wskazujących, ile to talentów pisarskich drzemie w ukryciu, skąd wydobywa je przeżyty wstrząs oraz inicjatywa redaktorska. Pełne grozy relacje o sposobach „pacyfikacji" wsi podzamojskich, uderzające opanowaniem wewnętrznym wspomnienia potwornego bytowania więziennego i obozowego, rzeczowe i rzeczowością tą wstrząsające obrazy przebytych tortur w czasie przesłuchiwań, obiektywna kronika poczynań architektonicznych w zakątku, który administracja niemiecka zamierzała zrobić ośrodkiem germanizacyjnym, dorywczy notatnik „chłopca z lasu", znaleziony przy jego zwłokach — wszystko to odznacza się na kartach wydawnictwa zamojskiego wymową nie tylko dokumentarną ale i głęboko ludzką. Tym samym książka o „Terrorze niemieckim" ustala poziom, który w tego typu publikacjach należałoby utrzymać.

Bigay-Mianowska Aleksandra: Społeczeństwo polskie w twórczości Elizy Orzeszkowej. Kraków, S. Kamiński (1944) str. 191.

Studium o Orzeszkowej, niezależnie od swej wartości naukowej, jest

bardzo osobliwym wydarzeniem, jest bowiem jedyną książką naukowo-literacką, wydaną na ziemiach polskich czasu okupacji, oczywiście nie za zgodą cenzora niemieckiego. I to wydaną w sposób w wydawnictwach podziemnych niespotykany, staranny, z wyjątkiem dwu tylko dotkliwych przeoczeń informacyjnych, brak jej bowiem nie tylko nieodzownego indeksu ale nawet spisu rozdziałów.

Autorka, dobrze do pracy swej przygotowana, książka bowiem powstała w atmosferze wzorowo pracującego seminarium polonistycznego, na plan pierwszy wysunęła nie wzbogacenie naszej, chudej zresztą, wiedzy o Orzeszkowej, nie wyzyskała tedy nawet tego, co o twórczyni „Chama" powiedziały komentarze nieodżałowanego wydawcy jej dzieł, L. B. Świderskiego, nie sięgnęła do bezcennego, na szczęście uratowanego archiwum Orzeszkowej. Nie robię jej z tego powodu wyrzutów, równocześnie jednak nie mogę tej sprawy przemilczeć, dopiero bowiem zapoznanie się z materałami archiwalnymi w ich całym niewiarygodnym bogactwie ukazuje i pozwala zrozumieć zarówno zdolności obserwatorskie Orzeszkowej jak jej zdumiewającą sumienność w pracy nad obrazem społeczeństwa polskiego, utrwalonym na kartkach kilkudziesięciu tomów jej nowel i powieści. A takie właśnie zadanie postawiła sobie monografistka, rozwiązując je w sposób poprawny wprawdzie ale tak uproszczony, że otrzymana jako jego wynik schematyczna ogólnikowość nie wzbogaca, jak się rzekło, naszej wiedzy o powieściopisarce grodzieńskiej. Nad tym jednak zadaniem ściśle naukowym, w rozprawie górę wzięło inne. pragnienie mianowicie spopularyzowania dorobku powieściowego Orzeszkowej przez uwypuklenie jego różnorodności, dorobku ogółowi czytelników niemal niezanego, bo uniedostępnionego przez wieloletni brak nowych wydań. I z tak pojętego zadania wywiązała się świetnie, dając żywy i zajmujący szkic grup społecznych ukazanych w powieściach Orzeszkowej, oraz ustalając, zweryfikowany odwołaniem się do głosów prasy ówczesnej stosunek tych grup do aktualnych w epoce powstawania „Nad Niemnem" zagadnień społecznych. Dzięki takiemu ujęciu sprawy książka krakowskiej wielbicielki Orzeszkowej stała się czymś w rodzaju przewodnika po świecie, stworzonym przez wyobraźnię autorki „Australczyka", i to przewodnika tak dobrze rozplanowanego i jasnego, że zadanie swe spełnia on w sposób doskonały. J. K-i.

*

* *

Ukazał się tom 33 czasopisma naukowego Fundamenta Mathematicae, poświęcony kilkunastu współpracownikom tego wydawnictwa, pomordowanym przez Niemców w czasie wojny. 5 arkuszy tego tomu wydrukowano przed wojną, reszta t. j. około 20 arkuszy, już w tym roku. Tom ten na blisko 400 stronach druku zawiera 30 prac z dziedziny teorii mnogości, topologii i teorii funkcji 19 autorów, w czym ośmiu obcych (amerykańskich, belgijskich, czeskich, francuskich i hinduskich).

Niemal wszystkie prace autorów polskich (drukowane w językach francuskim i angielskim) są dokonane w czasie wojny. W tomie tym liczba ogólna prac, ogłoszonych dotąd w wydawnictwie Fundamenta Mathematicae przekroczyła tysiąc. Tom ozdobiony jest portretem zmarłego w tym roku współzałożyciela i współredaktora wydawnictwa, Prof. Dra Stefana Mazurkiewicza. Obecnie redaktorami są Prof. Dr. Kazimierz Kuratowski i Prof. Dr. Wacław Sierpiński, zaś Sekretarzem Redakcji Prof. Dr. Karol Borsuk. Druku dokonała Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Subwencji na wydanie udzielił Wydział Nauki Ministerstwa Oświaty.

Przed wojną wydawnictwo Fundamenta Mathematicae zaliczane było do najpoważniejszych czasopism naukowych na świecie.

TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO

NAUKA

SZTUKA

PRZEGLĄDY